

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000231565

5001 Followup

31/124

BIBLIOTEKA
LAUREATÓW NOBLA



WŁ. ST.
REYMONT
PĘKNIĘTY
DZWON



*BIBLIOTEKA
LAUREATÓW NOBLA*

*POD REDAKCJA
DRA STANISŁAWA LAMA*

TOM 30.

*WŁADYSŁAW ST. REYMONT
PĘKNIĘTY DZWON*



*LWÓW—POZNAŃ 1927
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO*

WŁADYSŁAW ST. REYMONT
PĘKNIĘTY DZWON

WYDANIE DRUGIE



LWÓW—POZNAŃ 1927
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

PIERWSZE WYDANIE TEJ KSIĄŻKI WYSZŁO p. l.:
ZA FRONTEM.

I 29.543



WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

ODBITO NA PAPIERZE BEZDRZEWNYM
DRUKARNIA CONCORDIA SP. AKC. POZNAŃ.

Akc. Nr. 15-1852/58

PĘKNIĘTY DZWON

Hen, gdzieś, w jakimś kraju dalekim, za siedmioma morzami, na górze straszliwie dzikiej i nieba sięgającej, na wieży, co niby skamieniała pięść, groziła przelatującym chmurom, wisiał dzwon, pęknięty na trzy części i z sercem wydartem.

Wisiał dzwon, pęknięty dusza zabitego narodu.

Jak trup żaloszny, wisiał w niemocie i opuszczeniu.

Przed wiekami to było, przed prawiekami, gdzieś za ludzką pamięcią. Wiedziały jeno o nim podania, pieśń o nim szła z pokolenia w pokolenie, roily sny młodzieńcze i starców trwożne szep-tania przedzgonne.

I wiedział królewski ptak, siwy orzeł, prawieczny strażnik pomarłych wieków.

Góra wynosiła się samotnie, niby wyspa na morzu wiecznych mgieł, milczenia i mroków. Nigdy nie wschodziło nad nią słońce, stała jak

grób umarły. Nie były w nią pioruny, nie huczały nad nią wichry, omijali ją nawet ptakowie. A miasto traw i kwiatów, pokrywały zbielale kości jakichś niepamiętnych wojów i rdzawe strugi krwi zakrzeplej.

I wieczne, trupie milczenie, pękniętego dzwo-
nu posępne milczenie...

Zasię niekiedy, raz na sto lat, zrywał się kró-
lewski ptak i cichym lotem płynął w niziny, za
mgieł granice, w słoneczne żary, w życiowy gwar.

Od sinych gór aż po bursztynem dzwoniące
fale morza leżały ziemie ogromne, gdzie nigdy nie
obsychały łąki, gdzie niema rozpacz siedziała na
progach chat, gdzie na rozstajach Chrystusy ocie-
kały żywą krwią męczeństwa i jęk był codziennym
pacierzem żywota...

Drzewiej tu było inaczej, inaczej. Niegdyś,
przed dawnymi laty ziemie te miodem płynęły
i mlekiem. Miały grody wspaniałe i zamki strze-
liste. Rycerzy miały walecznych i piękne kró-
lewny. Z litego złota gontyny i srebra kowane.
I ryby w rzekach, i zwierza w kniejach, i skarbów
wszelakich pełne komory.

Od sinych gór po bursztynem dzwoniące fale
szczęście mieszkało człowiecze.

Pieśni nie milkły, nie ustawało wesele. Nie
wiedziano, co strach i niedola. I łez nie znano.

Falsz się nie plenił, ni zdrada. Święty dzwon co dnia bił wieść słoneczną, Boga dobrego głosił wspaniałość i wszystkim stworom szczęście zwiastował. On złe przemagał swym świętym dźwiękiem, duszą był żywą narodu, modlitwą jego, żywota nieśmiertelnym głosem.

Aż uderzyła przeznaczeń straszna godzina. Złe moce wojnę wydały.

Nieszczęścia ślepy cios się zwałił. Zadrżały serca od zgrozy. Wróg wdarł się w otwarte granice, mieczem pobił niewinne i ogniem się srożył.

Uderzył święty dzwon na trwozę. Królewski ptak zakrzyczał na bój.

Jak jeden stanęły wojów kohorty. Kurzawa krwi przysłoniła słońce. Szczęk mieczów zgłuszył pioruny. Huf serc żelaznych i ramion zwarł się dokoła góry samotnej. Dzwonu, swej duszy, bronili mocą rozpaczny. Plugawym siłom dawali krwawą odprawę. Z nawałą szatanów walczyli.

Z północy hordy płynęły rzekami, ze wschodu Tatar uderzał okrutny; z zachodu sąsiad nikczemny; z południa zwierzów zwścieklonych zastępy.

I niby fale spiętrzone runęły. I niby orkan piorunów uderzał. Czerwona, krwawa hostja słońca zagasła w odmęcie. Padły obrońce! Przemogły

szatańskie moce. Sądny dzień nastał. Pociętych wojów krukowi rzucono na żer. Zburzono grody wyniosłe i chramy, w pęta lud mnogi pobrano.

Święty dzwon zamilkł na wieki, wydarto mu serce, rozbito.

Nieszczęście siadło królować na smętarzyskach trupom i mogiłam. O dolo człowiecza, dolo żalosna, dolo nieprzeblagana! Ni pieśń wyspiewa okrutność twoją, ni rozum pojmie, ni serce zdzierzy tve ciosy srogie.

Od sinych gór po bursztynem dzwoniące fale noc się żalobna zasląła, milczenie mogił, opary płaczów i bólów żrące rany.

Umarła radość, umarło szczęście, umarła wielkość i chwała.

Przechodził czas. Płynęły wieki, jak chmury z obcych, dalekich stron, co echem ech przynoszą wieść umarłą, praojców głos nieznany i niepojęty... Na sto lat raz królewski ptak uderzał krzykiem — surmy bojowej krzykiem ogromnym:

„Kto jeno żyw, niech wstanie, podniesie miecz, na czyn się waży.

„Pęknięty dzwon zahuczał! Zmartwychpowstania ziści się cud!“

Na odzew jeno brzęk kajdan z nizin zagadał, skarga bezsilna i pogrzebowe lamenty. Bez echa leciał orłowy krzyk, w pustce się głosił. Ktoś

jeno oczy podnosił zdumione za cieniem skrzydeł olbrzymich, ktoś żegnał się trwożnie przed marą, ktoś rzucał kamieniem...

Nie drgnęły już serca niewolą zatrute. Umiłowali kazamat ciemnice, straszne im były słoneczne blaski, niezrozumiała pieśń bojów. Odlatywał ptak na górę samotną, na niemym dzwoonie przysiadł i dumiał dumy posępne. I czekał kresu przeznaczeń strażnik niezłomny.

Zarosły groby, bluszcze zwiędziły ruiny, wyschły źródła gorzkich łez, przeszłość odeszła w dal siną. Nawykli kajdan. Rycerzów syny odrodne przed wrogiem biły pokłony. Za ochłap życia strój obcy wzięli i wiarę, nowym się panom stali opoką, lud w uległości ćwiczyli. Brzęk złota pieśnią stał się nowego żywota. Jarmarcznym swarem karmiły się rzesze. Mędrcze cielątek pisali herbarze, Bogiem głosili zyski plugawe, miasto ołtarzów kramy wznosili. Uczeni w piśmie nad rozkopaną mogiłą zasiedli, a jadem grobów zatruci, mówili: umarła! — oplwali trupa, królewskie szaty zeń zwlekli, nożem rozumów i pychy krajali. Nawet imienia się zrzekli, nawet już pieśni o zmarłej wzbraniłi: umarła na wieki! — uczyli.

O, nie umarła! W sercach maluczkich tała żywot swój wieczny. Pod niską strzechą miała świątynię i wiernych. Czciły jej imię zgłodniałe

rzesze, wydziedziczonych była pacierzem nadziei,
dusz zrozpaczonych wiarą jedyną i mocą. W ta-
jonych pieśniach głos jej przemawiał potężny.
Przez wieki ciemne i straszne jako pochodnia
jaśniała bezdomnym. Pokoleń łańcuch niósł ją
pokoleniom. Głosiły o niej puszczy dzikich ostępy,
zapadłe groby, nieczytelne runy. Śpiewała zie-
mia, okuta w niewolę... Śpiewały wody sple-
śniałe. Wichry wiosenne wieść o niej nosiły.
Stygmaty kładła na czoła wybrane. I żyła wielka,
nieśmiertelna, święta!

Aż przeznaczenia przyszedł kres, nowe się
lata zaczęły, znowu królewski ptak zakrzyczał
surmy bojowej krzykiem ogromnym:

„Kto jeno żyw, niech wstanie, podniesie miecz,
na czyn się waży.

„Pęknięty dzwon zahuczy, zmartwychwstania
ziści się cud!“

Od sinych gór po bursztynem dzwoniące fale
zadrgały serca.

Z przyziemnych siedzib porwał się bojów huf,
a, przodem leciał królewski ptak na krwawych
zorzach rozpięty.

Uderzyć w dzwon! Uderzyć w dzwon! Cud
zmartwychwstania się ziści!

Runęli w bój i śmierć, poszli kupić zwycię-
stwo!

Na trupie trup się piętrzy, krew potokami się leje, huragan bojów się miota. Obca im trwoga, nie straszna śmierć, ni wraże zastępy.

Jako lwy walczą. Cóż, że ich garść, wiara im daje nadludzką moc. Nadzieja żywi zwycięstwa. Przeparli rabów kohorty, przemogli szatańskie moce, po wałach trupów drą się na górę, pod wieżę...

Uderzyć w dzwon! Uderzyć w dzwon! Cud zmartwychwstania się ziści!

Dosięgli skarbu, już rąk tysiące targnęło śpiż, już krzyk zwycięstwa uderzył w niebo, już wrogów serca upadły.

Dzwon nie zahuczał, serce miał wydarte, był na trzy części pęknięty! Jakoby w otchłań, w dzwon się rzucili; w spękany kielich śpiżowy rozpaczonym miotem serc zadzwonili, ciał swoich mocą, szalem uniesień i krwi ofiarnej potokiem wrzącym.

Zagadał głucho, jakby z za grobów echem nadziei.

Za tysiącami poszły tysiące, a każdy śmiercią własną uderzał w spękane, nieme śpiże. Cały się naród uwiesił dzwonu. Cały się naród zwał przy tym znaku. Cały się naród przemienił w ciosy. Zaś ptak królewski wciąż wołał — surmy bojowej głosem ogromnym:

„Uderzyć w dzwon! Uderzyć w dzwon! Cud
zmartwychwstania się ziści!”

Za tysiącami poszły tysiące na krwawą pracę
zbawienia. Po trupach ojców syny się parły
złym mocom wydrzeć zwycięstwo. Ilu tam padło,
Bóg jeden wie i matki dzieci rodzące.

Ale przemogli! Rzeki ofiarnie wylanej krwi
stopiły śpiżę spękane, ziścił się cud, głosem zwy-
cięstwa zahuczał dzwon!

Opadły więzy, opadły mroki, rozbłysło słońce
wolności. Od sinych gór po bursztynem dzwo-
niące fale bił dzwonu głos nieśmiertelny, zmar-
twychpowstania zwiastował cud. Na nowy ży-
wot zwoływał.

2-go października 1914 roku.

NA NIEMCA

Jakaś czwórka wali, — zauważył Franek Kulesza,
obcierając kosę.

— Kobierzycki dziedzic skręca do Charłupi,
— dorzuciła kobieta i, odłożywszy sierp, poszła,
rozpinając stanik, do dziecka kwilącego pod
krzakiem.

Franek zaostrzył kosę i, powlókłszy oczyma
za powozem, ledwie widnym z kurzawy, zawołał
niecierpliwie:

— Maryś, do wieczora niedaleko, a tyła jesz-
cze roboty! — I splunąwszy w garść, wparł się
mocno w ziemię, przygiął i puścił kosę w zwartą,
wyrośniętą ścianę pszenicy. Ciął zamazyście, pół-
kolistym, rozkolebanym ruchem, że zboże padało
mu do nóg z sypkim chrzęstem złota. Ko-
bieta szła w jego tropy i, podbierając sierpem
nacięte garście, kładła je grubą warstwą wpo-
przek zagonu. Pracowali pośpiesznie, ze wszyst-
kich sił i w nabożnym prawie skupieniu. Słońce
doskwierało niemiłosiernie, zasię od zbóż i ziemi

buchało jakoby z rozpalonego pieca. Najmniejszy powiew nie chłodził, pola stały w żarze ognistym, spiekota zapierała dech. Odpoczywali jednak zrzadka, tyle jeno, by grzbiet sprostować, kosę naostrzyć i jakieś słowo przemówić. W którejś chwili Franek, wykruszywszy kłosa, odezwał się radośnie:

— Pszenica będzie sypała.

— Żydy się już o nią przewiadują. Judka powiedział, jako płaci po siedem.

— Oszukaniec, nie powącha mojego ziarna. Antoni daje po pół ósma.

— Da i po ośm za korzec, czysta kiej złoto, lepsza od dworskiej. Ale, wiesz to, że Stacho molestował dziedzica o te morgi na ogrodach?

— Nadarmo, boć mnie przedać obiecał. Jużem się ugodził. Właśnie za pszenicę pieniądze pójdą na zadatek.

— I po całe trzysta rubli! — westchnęła. — Laboga, czy aby poredzim! Już na nas wisi Józkowe tysiąc rubli, i Magdzina spłata, i w kasie dług...

— Da Pan Jezus zdrowie, uredzim wszystkiemu. Na dziesięciu morgach łącniej się wyrobić. Te dziedzicowe morgi wziąłbym pod buraki, sam mnie do tego namawia. Fabryka daje pożyczki na spłatę burakami.

— Wydolim to sami robocie?

— Dzielkę ci przynajmę, — ozwał się łaskawie.

— Co lepsze, poleciało na Saksy. Ani chcą słuchać o służbie.

— Jużci, każdy szuka większego profitu. Ale może się jaka znajdzie.

— Wiem nawet o jednej w Rakowicach, — podjęła żywo.

Nie słuchał. Żelazo ćwistało monotonnie i ciężko padały podcięte kłosy.

— Wybrany czas na żniwa, — szepnęła znowu po krótkiej przerwie.

Franek przykładał się do roboty coraz zapalczywiej, kosa zjadliwą błyskawicą migotała nad ziemią, pokładając równe, jakby mierzone garście.

— Na Kłockiem już prawie same ścierniska, — zaczęła. — Nawiezą latoś do stodół, nawiezą. Od lat nie było takich urodzajów...

Nie odrzekł, ogarnąwszy jeno oczyma świat pełen zbóż, ludzi, stad, wozów, ciągnących z pól, i kop, poustawianych na zagonach — kosił niestrudzenie. Mokra koszula przywierała mu do pleców, pot ściekał z pod słomianego kapelusza i grzbiet dziw nie pękł z wysiłku, lecz ramiona, niby żelazne wahadła, nie folgowały w pracy ani na chwilę. Pola wznosiły się na wzgórzu, do mie-

dzy szerokiej, nasadzonej kopcami, obrośniętą tarniną; wyboista dróżka wila się tam podwójną nicią kolein. Więc ile razy jej sięgał, prostował gnaty, ostrzył kosę, nabierał tchu i, zawróciwszy, nowy zagon zaczynał.

— Jęczmionom też pora, miejscami już się na pniu sypią.

— A nasze gąski niezgorzej przemłóciły, — mruknął z przekąsem.

— Ino kawalątko za stodołą, — tłumaczyła wystrachana. — Znarowiły się, że nie sposób upilnować. Wypierzą się, to sprzedam, spory grosz kapnie.

Wzruszył pogardliwie ramionami, a i nie czas było na swary, gdyż słońce kłoniło się coraz niżej. Dzień się już miał ku zachodowi, ziemie głośniały, jak zwyczajnie na żniwnem odwieczrze. Pola, pokryte ludzkim mrowiem, zaczynały wrzeć przeróżnymi głosami. Żary były jeszcze od spieczonej ziemi, od zbóż żrących i ciężarnych pełnemi kłosami, ale już wesołe śpiewki podnosiły się rozgłośniej nad zagonami, wybuchały jazgotliwie pokrzyki dzieci. W ścierniskach zagrały brzękliwe kapele koników polnych; suche dźwięki nakowywanych kos przeszywały jakby nożami, turkotały wozy, toczące się ciężko do stodół, a nisko, nad ziemią, rozgłaszał się warkot żniwiarek dwor-

skich, których ramiona wybliskiwały raz po raz zębatego śmigami. Nad omdlałymi w upale drogami snuły się kłęby złotawej kurzawy. Tu i owdzie wzorzyste przyodziewy kobiet wykwiwały ze złotych łąk pszenicy. Stada wróblej hołoty nosiły się z wrzaskiem po ściętych garściach. Gdzie wystraszony zając rwał z pod nóg żniwiarzy, wśród krzyków i naszczekiwania psów. Gęsi odzywały się z nad strumieni, co srebrzystymi nićmi wlokły się wskroś zielonych łąk i pastwisk zrudziałych. Niebo wisiało bez chmur, błękitne, czyste i wysokie; świegotały szalejące jaskółki, a od przywiedłego zapachu zbóż i traw aż dech zapierało z lubości. Oczy niosły się daleko, po ziemiach wzgórzystych i rodnym, po wsiach prawie niewidnych w zielonych groblach sadów, z których jeno gdzieniegdzie wyrwały się czerwone dachy, białe ściany, a złote krzyże kościołów pośniewały żywymi płomieniami. Jakiś dwór pański na wzgórzu, pod strażą drzew niebotycznych, grał w słońcu oknami. Niekiedy głucho dudniała ziemia, leciał przesywający świst i pociąg długi, niby wąż, prześlizgiwał się między wzgórzami, pozostawiając za sobą war-kocz białych dymów.

Kraj był cudny, rozległy, owiany tchnieniem głębokiego spokoju i uroczystej pracy żniw od-

dany. Jakoby bowiem msza odprawiała się na tych nieobjętych polach od rana do wieczora, przydzwaniały jej kosy, celebrowało słońce, a służył wszystkim naród w znojmym, radosnym trudzie. Rok był wyjątkowo urodzajny i pogody sprzyjały żniwom. Przednówek się skończył, troski odeszły na bory i lasy, naród radośnie podnosił uciemnione głowy, radość promieniała w oczach i serca rozpierało poczucie dosyту i szczęsnego spokoju. Więc nadchodzący wieczór po ciężkiej pracy witano dziękczynieniem. Już przygasło słońce, blade mgiełki jęły zaciągać się nad polami, docinano ostatnich pokosów, ostatnie snopy stawiano na zagonach i ostatnie wozy ładowano, gdy na dróżce, biegnącej miedzą po wzgórzu, zaturkotała jakaś bryka.

— Wójt jedzie! — szepnęła Frankowa, prostując utrudzony grzbiet.

— A niechta jedzie! — odparł, nie podnosząc oczu od kosy.

Przycichnął naraz turkot i wójt zawołał:

— Kulesza, chodźcie-no, pilna sprawa.

Wziął kosę na ramię i podszedł nieco zaniepokojony.

— Ino świt, musicie stawić się do powiatu. Sołtys was powiezie.

— Na manewra wołają, czy co?

— Wojna! Zapasowych z czterech lat biorą. Co tylko papier dostałem.

— Jezus, Marja, Józefie święty! — jęknęła kobieta, chwytając się za głowę.

— Wojna! — powtórzył głucho: — Wojna! — Serce mu znagła przestało bić.

— Z Niemcem. A nie spóźnij się, bo sztraf, — upominał wójt, podcinając konie. Podjechał dalej, przystając co kilkanaście zagonów, i nadbiegającym ludziom rzucał tę wieść straszliwą. Jako by gromem roznosiła się po polach. Ludzie kamienieli w zgrozie, stawali bezradni, niemi, bez tchu. Musiał powtarzać, nim zrozumieli nowinę. Płacze wybuchały. Omroczyły się nagle serca i trwoga chwyciła za gardła. Zgniłe tchnienie nieszczęścia zwarzyło bujne, radosne przed chwilą życie. Przed wylękłymi oczami rozwarły się naraż przepaście i groby. Śmierć szła ku nim twarzym, nieubłagany krok. Słońce już zachodziło, pół nieba stanęło w łunach i zrumieniło świat, wszystkie wody zdały się płonąć żywą krwią człowieczą.

Wracali do wsi podobni zmartwiałym bryłom, ciężko i powolnie.

Ucichły gwary, pogasły śpiewki, w bolesną zadumę spowiły się dusze, lęk wyzierał z oczów i w sercach rosła niewypowiedziana straszność.

— Wojna! — szeptały pobladłe wargi. —
Wojna! — wtórzyły trwożne echa. — Wojna!

Franek powracał z drugimi. Kobieta, przytulając dziecko, zanosila się coraz boleśniejszym płaczem. Męża jej brali! Ojca dzieci, gospodarza!

— O Jezu miłosierny! O Jezu litościwy! —
lamentowała żałośnie.

— Cicho! płakaniem nie poradzi! — rzucał
gniewnie i choć głowę podnosił hardo, dygotał
w sobie, zmagaly go troski żrące i złe przeczucia.

Wieś przepelniła się po wręby. Krwawe zorze
zachodu dogasały, nadchodziła krótka lipcowa
noc, upalna i przejęta zapachami pożętych zbóż.
Ziemie oblekły się mrokiem i cichością odpoczy-
wania. Po jasnym, wysokim niebie przelatywały
spadające gwiazdy, niby głuche pioruny. Wieś
zapadała w ciemnych chmurach sadów i nie-
pokojącym milczeniu, że ptak nie zaćwierkał, nawet
psy nie naszczekiwały, a ludzie w posępnem
oniemieniu snuli się po drodze, podobni zniko-
nym, szarym ceniom. Z domów poukrywanych
w gąszczach sączyły się światełka, jak zgorączko-
wane spojrzenia, niekiedy wydzieraly się krótkie
lamenty lub żalosne płacze. Wszyscy bowiem,
czuli się jak struci, ani komu smakowało jadlo,
ni szła robota, zasię udręka coraz srożej trapiła

Rzucali więc wszystko i szli do sołtysa, gdzie na ganku, przy widnej lampie ktoś głośno odczytywał mobilizacyjne wezwanie. Wzdychali ciężko, przestępując z nogi na nogę, aż Franek Kulesza pierwszy rzekł:

— Niema co, zwołują nas na wojnę! — Powiódł oczyma po towarzyszach. Stali pobok w kupie, siedmiu ich było: chłopcy młode, dorodne o żołnierskich postawach, jasnych oczach i suchych twarzach. Wszystko już na swoim, na dorobku, żeniate i ojce dzieciom. Trzymali się hardo, nie dając poznać, co się tam w nich wyrabia. Cała wieś patrzyła na nich. Jakieś kobiety zanosily się ciężkim szlochem. Grobowe milczenie przerwał Józek Bednarek.

— Potrzeba iść, to pójdziemy. Przysięgalim!
— Rozłożył ręce.

— Raz kozie śmierć! — wyrwał się drugi. —
Każą bić, to będziemy prali.

— Nim go dosięgniesz, to ci pierw flaki wypruje, — szepnął ktoś złowróźnie.

— A ze wsi kamienia na kamieniu nie zostawi.

— Na polski naród zawzięty, jak nikt drugi na świecie.

— Cóżby ta szczególniejszego upatryli sobie do nas? — wątpił któryś ze starszych.

— Nie wiecie, co wyrabiają z naszymi w Prusach? — zawarczał groźnie Kulesza. — Chałupy ci nie dadzą postawić na twoim własnym gruncie, pacierza nie pozwolą po polsku i, jak się im spodoba, z ostatniego zagona cię wywłaszczą. A chcesz w sądach dochodzić sprawiedliwości, kryminal wygrasz co najwyżej. Wojnę teraz robią z naszym, bo na ziemię łakomi, ciasno im u siebie i nie ma kto na nich robić. Radziby darmo żywić się naszą krwawicą. Niech jeno przyjdą, zobaczą, co tu będą wyrabiali. Dziedzic, ksiądz, czy chłop, zarówno im jedno, bo jeśli tylko Polak i katolik, za psa go nie uważają. Tyle lat chodziłem na Saksy, to ich spenetrowałem.

— Naszą krzywdą stoją, ostatnie siły z narodu wyciągają.

— Żeby nie nasza robota, źrećby nie mieli co.

— I spanoszyli się na naszej pracy. A jak to nas uważają! Co słowo, to cię taki od polskich świni przeżywa; upomnisz się o swoje, żandarma woła, do kozy wsadza i ciężko zarobionego grosza nie odda! Wilki zapowietrzone, wilki!

— Ludzie, pora spać. — zabrał głos sołtys.

— O świcie musimy ruszyć do Sieradza.

Rozeszli się do domów, jeno poborowi radzili czas jakiś pod chałupą Kuleszy, wspominając krzywdy wycierpiane i upokorzenia, że w sercach

rosła zawziętość i głuche pragnienie pomsty. Rozdrażniali się aż do dygotliwego wrzenia i wściekłości. A teraz spada znowu na nich ta wojna. Żniwa w pełni, tyle roboty i trzeba rzucać wszystko i iść! Dlaczego? Że tym zbójom chce się cudzego! Niedoczekanie wasze! Zaciskały się pięści, płonęły groźnie oczy i serca rozpierało pragnienie walki.

— Trzeba ich tak zabić, żeby się nie było po co schylać! — mruknął Bednarek.

— Człowiek nie doje, nie dośpi, haruje jak wół i, jak może, ogania się przed biedą, a tu przyjdzie wróg i gotów wszystko stratować i spalić...

— I na nic twoja praca, na nic zabiegi, na nic wszystko...

— Czemuż to tak, mój Jezu, czemu? — padały jękliwe słowa skarg.

Strach przejmował nie to przed śmiercią i ranami, a jeno przed jakąś nieubłaganą dolą, jaka się na nich zwałała.

Noc była późna, gwiazdy obficie zrosiły niebo, kożuchy mgieł bielily się nad łąkami, a pierwsze koguty zaczęły pisać, gdy Kulesza, wskazując na lejącą gwiazdę, szepnął ze ściśniętem sercem:

— Może to spada moja gwiazda...

— Bogu jednemu wiadomo, któren z nas powróci... — jęknął któryś trwożnie.

Rozeszli się zaraz. Franek usnął natychmiast, żona po drugiej stronie domu, poplakując i modląc się na przemiany, szykowała mu na drogę węzełki. Na świtaniu, na turkot zajeżdżającej podwoły, Kulesza zerwał się z łóżka i poszedł, jak zwyczajnie, obrządzać inwentarze. Nie szło mu jednak, robota leciała z rąk, kręcił się, nie wiedząc, do czego się prędzej brać.

Skończyło się na tem, że poglaskał kobyłę, aż zarżała, chwytając go pieszczotliwie wargami za ramię, poklepał wypasione boki krowom, zająztał do maciory, nawet gęsiom, siedzącym w sadzie, rzucił dobre spojrzenie i wyszedł w pole za stodołę. Stary Kruczek włókł się za nim krok w krok. Wcześniej jeszcze było, przed słońcem, świt dopiero bielił ziemię, pokryte ciężką rosą. Jęczmiona miał tuż przed sobą, obok zielone pole kartofli, niedojrzałe owsy polśniewały orosiałemi kiściami, zagony prosa, kawał nasiennej koniczyny, wyrosniętej jak bór, żytnie ścierniska, a za niemi het pod wzgórze rudziały pokosy pszenicy, wczoraj pociętej... Brał w siebie ten luby obraz, jakby konającemi oczyma, na wieki. Przecież ten szmat ziemi był mu wszystkim: chlebem i pacierzem, kołyską i całym żywotem. Z każdą grudką tej ziemi czuł się zrosniętym tysiącznemi korzeniami. A wojna wyrywa go

z matczyne go łona i żenie precz, na zatracenie. Oczy mu zamglily, ledwie powstrzymał krzyk bólu, jakby mu szarpano wnętrzności.

— Psiekrwie! Zbóje zapowietrzono! — Złość go oślepiła, byłby pazurami rwał na sztuki pierwszego spotkanego wroga. Żona stanęła przy nim. — Maryś, — podjął, siląc się na spokój — przyjmij, a pospieszaj ze żniwami. Florka zgódź do służby, przyda się w chałupie. A co tylko zbierzesz zapasu w ziarnie, czy pieniądzech, zakop głęboko w ziemię. Te niemieckie wilki gotowe wydrzeć ostatni kawałek chleba. Mój Boże, — westchnął żałośnie — wczoraj człowiek układał sobie na życie, a jutro może już gryźć ziemię.

— Franek, laboga! Franek! — buchnęła płaczem, rzucając mu się na piersi.

— Nie becz! Zapłacimy ścierwom za wszystko, zapłacimy! — obiecywał zapamiętale, lecz do śniadania usiadł chmurny. Kobieta chlipała z cicha, dzieci kwiliły po kątach, w chałupie zrobiło się strasznie, jakby kto umierał. A kiedy sołtys zawołał, że czas, sądny dzień się zrobił. Nie było końca szlochom i krzykom.

— Pilnuj mi tu dzieci i gospodarstwa, zdaję wszystko na twoją głowę, — powiedział na pożegnanie, wsiadając na wóz. Towarzysze już cze-

kali. Cała wieś zebrała się przy nich. Wozy ruszyły zwolna, bo jeszcze każdy miał jakieś słowo ostatnie do rzucenia. Płacz ich przeprowadzał, kobiety ryczały w niebogłosy, niektórym nawet ze starych łzy kapąły z oczu. Jenó poborowi nadrabiali minami, hardo i zgóry spoglądając, zasię Józek Bednarek, żeby zagłuszyć babie lamenty, a może i własne udręki, urznął wściekłego obertasa i przyśpiewywał.

Za wsią pod krzyżem, gdzie droga skręcała do miasta i trzeba się było pożegnać, uczynił się taki lament i krzyk, że sołtys kazał prędzej ruszać. Kulesza wstrzymał wóz i jeszcze zdążył zawołać do żony:

— A dół na ziemniaki wybierz za stodołą. Tam górka, woda nie podciągnie.

Konie ruszyły z kopyta i nie upłynęło Zdrowaś, wozy przepadły w tumanach kurzawy, słychać było jeno harmonijkę Bednarka i jego śpiewanie.

Właśnie i słońce wschodziło promienne i całe w szkarłatach, zrumieniły się rosy, zaszemrały zboża, zagrały z pod mgieł strumienie, ozwały się ptaki, a wszystkim światem powiał radosny głos dnia. Zasię w tych różanych jasnościach poranku, drogami od wschodu i zachodu, od południa i pół-

nocy, turkotały wozy, płynęła nieskończona fala ludzi, a wraz z ziemi podnosił się i grzmiał coraz potężniej ogromny głos:

— Na wroga! Na wroga!

17-go grudnia 1914 roku.

ORKA

W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego! — wyrzekł uroczyście chłop i, przeżegnawszy się z namaszczeniem, ujął za pług: — Wio! Powoluśko a krzepko!

Smagnął batem z przyzwyczajenia. Pług, zaprzężony w krowę i troje ludzi, werznął się w ziemię i odwałwał czarną, lśniącą skibę. Grunt był ciężki, stare koniczynisko wytarte do ostatniego ździebła i ubite niby klepisko, że chociaż pług szedł płytko, skiba kładła się ostro, nastroszona.

Starucha, ledwie kształtem dająca pozór człowieczy, rozbijała motyczką twarde grudy, kilka wron podskakiwało za nią, wybierając z brzoźdy pędraki.

Orka szła niezmiernie ciężko i powoli, pług był stary, na kółkach i zaprząg lichy: w pierwszą parę ciągnęła kobieta z krową, złączone wspólnem, drewnianem jarzmem, zaś na przedzie, zaprzężeni w rodzaj szorów, mozoliła się rosła dziewczyna z chłopakiem. Krowa była jeno szkieletem, ob-

ciągniętym poszerzeniałą skórą, a ludzie za-
ledwie cieniami. Długi uparty głód jednako wy-
zierał im z oczów; okryci w łachmany, wyne-
dziali, bosci ciągnęli jednak zgodnie bez skarg
i wyrzekań, przyginając się w strasznym wysiłku
do ziemi, a z taką mocą, że trzeszczały orczyki
i postronki.

— Choćby ta spyskać ze trzy albo cztery
morgi! — marzył głośno chłop, ledwie się wlekący
za pługiem. Baranicę miał na łbie, strzępy ko-
żucha na plecach i chore nogi okręcone w szmaty.
— Żyto niezgorzej ruszyło, — spojrzął na zielonawe
zagony pobok rozciągnięte — ziemniaków się
nasadzi pod motyczkę, jęczmienia wsieje, ze
ćwiartkę grochu, to się jakoś przy boskiej po-
mocy przebiduje! Wio! Wio! — zachęcał, pchając
usilnie pług.

— I pod len trzaby parę zagonów i pod ka-
pustę! — przypomniała cicho dziewczyna.

— A nie zabrali to siemienia? — wtrąciła ko-
bieta. — Trzymałam na siew i na tę kapkę oleju!
Dobrali się, kieby do miodu! Próżna marnacyja
wszystko i tyla!

— Na deszcz się znowu zbiera! Mówilem ci,
Magduś, spuść wody ze żyta, wygniło przy bróz-
dach. Ani chybi, że idzie deszcz! — zagadywał
żonine wspominki.

Jakoż kwietniowy poranek, chociaż się był podniósł pogodny i jasny, schmurzał się i posepniał, blade słońce przezierało z oparów niby opłatek. Szare, omglone równie rozstaczały się dokoła, jak tylko było można sięgnąć okiem, jeno tu i owdzie naznaczone siwemi płachtami rozlewisk i kępami drzew. Pierwsza wiosna za ledwie tknęła ziemię: już puszczały wierzby, po łąkach żółciły się kaczeńce, na rowach otwierały oczy stokrotki, oziminy nabierały zieleni, a skowronki od świtu do nocy wyśpiewywały, ale na polach było jeszcze szaro, pusto i dziwnie smutnie. Nie było wesela w sercach ludzkich i cmentarna cichość unosiła się nad światem.

— Kto jeno żyw, wychodzi na robotę! — zauważył chłop, gdy, dosięgnąwszy granicy, nawrócili ku wsi. Nikt nie odpowiedział, dyszeli, przykucnąwszy na miedzy.

— I na dworskiem robią! Całe cztery pary, dopieroci parada! — szepnął z politowaniem.

— Nie frasuj się o dziedzicową skórę, poradzi sobie! — mruknęła kobieta. — Jeszcze chłopom nakażą mu pomagać przy orce. A jak to było we żniwa? — Gniew ją przejmował.

— Było tak, juści, nie zadarmo przecież, płacili.

— Co im się spodobało! A przymuszali pomagać dworom, jak za pańszczyznę, — przypominała.

— I, szkoda czasu! Ciągnijta! Tomek już jęczmień bronują! — zauważył, patrząc na lewo.

— Podorał na zimę, to teraz sobie pan i w krowę poradzi. A nie molestowałam cię to świętymi słowami: Wojtek orz! Koń był i czasu miał dosyć. Wolaleś na jarmarki jeździć i po karczmach się uradzać z lajdusami, a teraz we mnie i dzieci orzesz, kieby w bydłeta!

— Twoja prawda, żono, twoja — przyznawał pokornie. — Śmiercibym się pierwiej spodziewał, niżli tego, że na wiosnę konia miał nie będę. Śmierci! — zajęczał boleśnie.

Zmierzali się ku wsi. Rozciągnęła się wpoprzek pól, na łagodnym skłonie pod słońce leżała grobla sadów, z których gęsto sterczały nagie kominy, zręby spalonych chałup i rumowisk budynków. Połowa wsi leżała w gruzach. Dwór, stojący na prawo za wielkim stawem, czerniał się kupą rozbitych ścian, cegły i połamanych dachów, zaś z ogromnego parku pozostały jeno żalosne kikuty postrzelanych drzew, jakoby pięście grożące niebu. Wojna przeciągnęła tędy i na każdym miejscu znaczyły się ślady jej nieubłaganych pazurów. Poszarpała wieś, wyłamała lasy, stratowała pola i na rodnych ziemiach pozostawiła plugawe, żółte groble okopów i nieskończone rzędy mogiłek, obsadzonych białymi drzewami krzyżów.

— Wawrzon orzą we dwie krowy, — zagadał chłopak, przystając przy tej okazji.

— Patrz roboty a nie cudzych ogonów! — posłyszał odpowiedź wraz z poświstem bata.

Przymilkli, ciągnąc pług niestrudzenie, a uważając, jako wkrótce za niemi cała wieś wyszła na robotę i już na każdym poletku ktoś się ruchał. W szarem, przemglonem powietrzu gmerali się, jako te mrówki cicho, zwolna i akuratnie. Kto w konia, kto w krowy, kto jeno w ludzki sprzężaj, a każdego orał, siał lub bronował. A byli, co tylko rydlem, jakby gołemi pazurami, darli tę świętą ziemię z ponurą zawziętością.

— Mój Boże, po inne lata sto koni wychodziło na robotę! — westchnął chłop.

— A jakie to szły śpiewania, pokrzyki, ugwary! Hej! — wspomniała cicho dziewczyna.

— Pan Jezus wiedział, co zrobił! — zamamrotała starucha, przysiadając na skibie, gdy stanęli nabrać nieco sił i oddechu. — Tyle się rozmnożyło złego, że kara przyjść musiała! Spokornieją ścierwy, spokornieją! Wynosił się jeden nad drugiego i pysznił! W morgi jeno wierzyli, a w pełne sakwy! Za nic mieli biednego, za nic sprawiedliwego. Rozwalał się jeno po świecie, którego rublami sypał! Dał wam Pan Jezus radę!

— Ale i pocziwym stała się niemała krzywda!
— wtrąciła posępnie młodsza.

Orali znowu, w głębokim milczeniu, chłop rozważał babczyne słowa i pilnie szukał w sumieniu, czemu się zasłużył na ukaranie, aż wkońcu rzekł twardo:

— Panowie sobie wojują, a chłop w skórę bierze. — Splunął i prał krowę, aż zaryczała.

— Człowieku, dyć to ostatnie bydłatko! — spróbowała mitygować kobieta.

— Cicho! Wio, ścierwy, bo gnaty poprzetrącam! — grzmiał rozsrożony.

— Tatul, boćki przyleciały! — zakrzyczał naraz chłopak, wskazując ręką. — Boćki, łaboga!

Przystanęli, patrząc za bocianami, krążącemi nad zburzonym dworem i parkiem.

— Kajże to se założą gniazda, kaj! — westchnęła współczująco kobieta. — Biedne sieroty!

— Nawet tej suchej topoli nie darowali. Wszystko im na przeszkodzie! — wrzał głucho.

Bociany spłynęły na zalane łąki, jakiś pies gnał ku nim z radosnem naszczekiwaniem. Wszystkim zrobiło się jakoś weselej, jakby z bocianami wraz zakwitła w sercach nadzieja.

— Ciągta ludzie! Józiek, nie wykręcaj łbem, bo weźmiesz batem! — upominał chłop, ale już go

gniew opuszczał i sam co chwila niósł się oczami na łąki, a coś w sobie rozmawiał:

— Jak wracają na gniazda bociany, to wojna odlatuje! — wyrzekł z głębokim przeświadczeniem.

I znowu podały się karki jarzmom, przygięły się plecy, nogi wparły się w ziemię i pociągnęły pług w głuchem milczeniu. Zmroczyło się naraz i zaczął padać drobny, uprzykrzony deszcz. Sypał obficie niby przez sito, zasnuwając świat jakby rozdrzanem szkliwem, przenikającym do kości chłodem i wilgocią. Wiosenna plucha zaniosła się na dobre i orka stawała się coraz cięższa i mozolniejsza, ślizgały się nogi, że raz po raz któreś ryło nosem po ziemi, brakowało już sił, jarzmo uwierało boleśnie, a postronki wrzynały się dzieciom w ramiona i piersi aż do krwi. Ciągnęli jednak bez skarg i jęków, utykając i co trochę przemieniając miejsca w uprzęgu. Chłop wyręczał wszystkich po kolei, a do prowadzenia pługa stawała żona, to córka, to chłopak. Niewiele to pomagało, robota szła coraz ciężej i każda nowo odwalona skiba zdała się być przemoknięta nie tyle deszczem, ile potem i krwią strasznych wysiłków. A chwilami, kiedy już brakowało oddechów, walili się na ziemię, gdzie popadło i leżeli, jak pomordowane bydłęta, martwi niby kloce i zgoła już niewiedzący nawet o sobie.

Niedługo odpoczywali, bowiem nieublagana konieczność wprzęgła ich z powrotem w jarzma, przymuszając do krwawego trudu. Straszliwe widmo głodu nieodstępnie snuło się za nimi, poganiając batem rozpaczy.

— Siwkiem jużbym od świętej pamięci zaorał!
— wyrwało się chłopu.

Sercami zatargał nagły ból, wyciskając z oczów lzy gorzkich wspomnień.

— Prawdę im rzekłem: zołzowaty i ma grudę. Nie uwierzyły! Juści, na oko koń jak malowany, rosły i chody miał cuganta. Po dworskich, to i nie dziwota. Do nóg się poklonilem. Nie gubcie, powiadam, toć nasz żywiciel. Dziesięć morgów pola, sześcioro narodu i z wiosną za pasem, powiadam. Jakże se poradzimy sieroty bez konia, jak! Powiadam. Poświargotały i wzieni. — Powtarzał może już po raz tysięczny. Ta chwila utraty konia stała mu wciąż w pamięci; była to niezagojona rana, przez którą uciekało jego życie. — Taki koń! Jacek dawał mi za niego parę kasztanów, a nie chciałem bez dopłaty.

— I do figłów był skory! Pamiętacie, jak to łoni pierzynę z płota ściągnął i latał z nią po sadzie, a odebrać sobie nie dawał, — rozrzewniała się dziewczyna.

— I na gwizdanie przylatywał, jak piesek, — wspomniał chłopak.

— Był, był, a teraz i łajna po nim nie stało. A żebyś ta ścierwy! Wio! Wio!

Krowa się naraz przewróciła, kobiety uderzyły w płacz, skoczyli na ratunek, na szczęście nic się jej nie stało i dała się podnieść na nogi.

— Granula! Laboga! Granula! — lamentowała kobieta, obcierając ją z błota i głaszcząc, jak dziecko najmilsze. — Jeszcze gotowa zgubić tę ostatnią kapkę mleka.

— I tak źremy, że świni nie tknęłyby naszego jadła!

— Zła bydlakowi marchew, to niech idzie w chrzan!

— Dam ja ci lepiej żreć, poczekaj! — wrzasnął chłop, zacinając batem synowskie portki.

— Nie bijcie, a to cisnę wszystko i pójdę sobie w cały świat! — groził płaczliwie.

— Będzie jedną gębę mniej! A powędruj se, synku! Matka sporządzi ci torbeczki. Nie bój się, nazbierasz, ale kijów na plecy, nazbierasz! A może przystaniesz do żołnierzów? W sam raz dla ciebie rozbijać i kraść i palić. Idź, synku! — mamrotał dotknięty do żywego.

— Ja sobie jeno tak, a ociec powstają, jak na tego złego psa! Wicie — zaczął

nagle z innej beczki — a to siwek bojał się żołnierzków!

— Głupiś! Ale, taki koń i bojałby się czego!
— Poczul się prawie obrażony.

— Prawda! Latową porą pojechałem którejs nocy na rowy we dworskiej koniczynie. Były i drugie chłopaki. Konie trzymaliśmy na postronkach, w gotowości. Ale i tak o świtanu przydybał nas polowy! Ale nie bił i koni nie zajmował, a tylko krzyknął: Moskale walą przez las! I pojechał naprzód, a my wszystkie za nim. Stańlim w zagajach nade drogą! Mój Jezu, było tego mrowia, że sztyki to się kolebały niby żyto na zagonie, ani początku dojrzał, ani końca! Ledwie com się napatrzył, a tu trąby jak nie hukną, zaś siwek jak nie zadrze ogona i jak nie pogna naprzelaj! Zrucił me na rowach i popędził do chałupy.

— Ano, twoja to była sprawka! Teraz baczę, jako koń całą niedzielę żreć nie chciał, a tylko pił i postękiwał. A ja w głowę zachodziłem! Czekażkę, ja ci za tę sztukę zapłacę!...

— Naści głupi! — stanęła w obronie matka.
— Procesujże się o ten zeszłoroczny śnieg!

— Dla porządku, żeby konia szanował, frycówka go nie minie! — obiecywał.

Ale na tem się skończyło, gdyż wspomnienie utraconego konia ożyło naraz we wszystkich i opanowało jednaką żalością. Raz po raz ktoś przypominał różne zdarzenia, świadczące o jego zaletach, o jego śliczności i o jego przywiązaniu do domu. Wspominali z takim żarem tęsknoty, jakby o kimś drogim, bliskim, a już utraconym na wieki...

— Wiecie — zagadła na odpoczynku dziewczyna. — Nieraz już w nocy zdawało mi się, jako siwek rzy pod chałupą. Jużćić myślałam, że to przez śpiak tak mi się majaczy! Dopiero onegdajszej nocy, kiedym przecknęła, wyraźnie slysze: cosik rzy! Wychodzę na dwór z potrzebą i patrzę: siwek, nie siwek? Przeżegnałam się i przecieram oczy: coś białego rucha się pod stajnią. Myślę, uciekł tym złodziejom i przyleciał do chałupy! Skoczyłam na niego, a tu jakby wiatr zakręcił kłębem mgły i wszystko gdzieś przepadło. Jeno na drodze zatętniało i pies Wawrzonów zaczął gonić i szczekać. Ale mnie zamroczyło ze strachu. Może zdechł i teraz tłucze się po nocach i swoich szuka...

— To konie będą przychodziły po śmierci, jak te dusze pokutujące? — zgromiła matka.

— Jać nie mówię! Przysięglabym jednak, zem go widziała. W kościelebym przysięgła!

— A bo to mu była krzywda! Miał swoje wygody i roboty mało wiele.

— Taki wam był dobry, a praliście go orczykiem i wyklinali, — żgnął mściwie chłopak.

— Jak біłem, to na bicie musiał dobrze zarobić, a tobie wara!

— Zarobił, że cię schlanego przywoził z karczmy, — dołożyła mu żona.

Umilkli. Deszcz się wzmagał, w brózdach już polśniewała woda i ziemia zapadała się pod nogami, a każdą skibę przychodziło krajać coraz z większym mozołem. Orali jednak niestrudzenie. Oczy im wylazily, krew broczyła od jarzma i postronków, gnaty dziw nie pękały i w głowach się mąciło, ale chłop nieubłaganie poganiał.

— Zabijcie mnie, a już nie poradzę! — zaczęła naraz dziewczyna, wałąc się na ziemię, Przysiedli przy niej, matka obcierała jej twarz, a chłop jął się tłumaczyć.

— Trudna rada! Odzipnij, córuchno! Mus pogania. Choćby z pół morgi pod ziemniaki zorać! Kto nie posieje, nie zbierze. Cóż to, z głodu mamy zdychać, czy ze swojego we świat iść po żebranym chlebie? Niedoczekanie wasze, ścierwy! Niedoczekanie! — zakrzyczał i, zacisnąwszy pięście, groźnie potoczył oczami.

Orali dalej z niestrudzoną zaciekłością.

DOLA

Jesień szła późna, mokra i przesmutna. Niskie niebo skłębionemi runami burych chmur zwisało ciężkim, ołowianym całunem. Szary, przemglony dzień październikowy dygotał udęczeniem; rozpacz łkała w poświstach wiatru i szmery deszczów były jakby szelestem nieustannych i nieutulonych niczem łez. Bowiem gdzie tylko dosięgły oczy, tam leżały rumowiska wiosek, żalosne szczątki rozstrzelanych lasów, ruiny kościołów, czarne szkielety popalonych sadów. Wojna stratowała żelaznemi stopami cały kraj, iż wszystkie ziemie stały się jakby jednym cmentarzyskiem, nad którym jeno tu i owdzie wznosiły się czerwone kominy, jak grobowe kamienie, ociekające żywą jeszcze krwią. Nawet pola leżały shańbione, podarte, pełne plugawych resztek mordów, zgliszcz i pożarów. Nawet powietrze przesyciły trupie zapachy rozkładów i spalenizny. Śmierć wyła na trupach i ruinach weselną pieśń potęgi. A na wschodniej stronie

jeszcze widać było czarne obłoki dymów, zwieńczone krwawymi błyskawicami pożarów. Paliły się tam jakieś wsie, jakieś miasta, jakieś dwory i wiatr przynosił głuchy, monotony i dziki skowyt rozwścieklonych armat. Zaś szeroką drogą, wijącą się pokrętnie wśród omglonych pól, niby błotnistą, czarną rzeką, uciekały oszalałe tłumy. Ciągnęły wozy, naładowane dobytkiem i dziećmi, ryczały krowy, ciągnięte na postronku i wyły zbłąkane psy. Spływały z miedz, z rumowisk, z lasów i nor nieskończoną procesją i uciekali we wszystkie strony, byle dalej. Niekiedy wpadał na nich oddział kawalerji, przelatującej gdzieś na oślep. Niekiedy tratował z przerażającym rykiem samochód. Rozpierzchali się na chwilę i, gdy minęło niebezpieczeństwo, znowu ruszali naprzód. Przygięci pod tobołami do ziemi, śmiertelnie zmęczeni, obdarci, głodni, przemykali się w trwożliwym i ponurem milczeniu. Twarze mieli skamieniałe w męce przerażenia i rozpacz. Byli, którzy już od całych tygodni uciekali bez wytchnienia i pamięci. Sypiali po rowach, po rozwalinach i opuszczonych okopach, żywiąc się, czem się dało; czasem nędznymi resztkami zapasów, czasem znalezioną padliną, zaś najczęściej zgniłym kartoflem, wydartym z marznącej ziemi gołymi pazurami. Huragan wojny wymiółł ich z siedzib

odwiecznych i niby garść zwiędłych liści, pędził przed sobą w dzikim zamęcie strachów, na zatracenie. Naraz, jakby naprzekór tej niepewstrzymanej fali, jakiś duży pies, kształtem przypominający wilka i jak wilk o rudej, gładkiej sierści, potężnych klach i trójkątnej głowie, wyskoczył z uciekających szeregów, zawył przeciągle i popędził z powrotem. Myślano, że się nagle wściekł. Nikt go nie znał i nikt nie zatrzymywał. Przybłądą był, niewiadomo skąd. Kilka psów popędziło za nim, ale wkrótce wróciło pokornie. On zaś gnał, jak oszalały. Poniosło go jakieś wspomnienie mocniejsze nad wszystko. Leciał szukać swojej wsi, swojej budy i swoich gospodarzów. Po jakimś czasie przysiadł nad drogą, rozglądał się przekrwionemi oczami. Obce mu było wszystko; obce te splugawione pola, obce drogi, obce ruiny, a tak jakoś straszne, że porwał się na nogi i z nosem przy ziemi, pędził ku wschodowi, ku polom walki, skąd słyhać było huk armat i skąd jeszcze wciąż uciekali ludzie. Poleciał naprzelaj, omglonemi polami.

I dni całe przechodziły mu na daremnym węszeniu. Krążył w promieniu paru mil, zdeptał wszystkie drogi, obwąchał wszystkie spalone wsie, przystawał do gromad obozujących po lasach, włókł się za obozami, węszył po polach bitew,

głuchy już na strzały i wrzaski, obojętny na niebezpieczeństwa. Czasem litościwa ręka dzieliła się z nim kromką chleba, częściej jednak, na pokorne skowyty, dostawał kopnięcie. Wychudł straszliwie, zdziczał i z głodu już nie gardził żadnem pożywieniem. Widziano, jak chleptał ludzką krew i domyślano się jeszcze straszniejszych sprawek, więc, kiedy się zbliżał do ludzi, witały go kamienie i kamienie leciały w jego ślady. Wzgardził przeto nimi, omijając zdaleka ocalałe wioski. Nie zbliżał się nawet do dzieci, wołających na niego. Wciąż i niestrudzenie szukał swoich. Aż w jakiejś chwili wpadł na znajomy ślad, właśnie na tej samej drodze był go odnalazł, którą uciekał wraz z ludźmi, tylko wyżej o parę mil. Zaszczekał radośnie i biegł ostatkami sił. Pamiętał, że zaraz za wzgórzem leży ta jego wieś. Pamiętał rozstaje dróg, gdzie w cieniu wielkich drzew stał krzyż, a za nim rozciągały się rzędy białych chałup. Dopadł wreszcie pola i pod krzyżem przysiadł zmartwiały: nie było już białych chat, nie było lasu za rzeką, nie było wielkiego domu w środku wsi, nie było nawet pól, opadających do rzeczki — były jeno kupy rumowisk, żółte nieskończone groble piachów, kałuże, kikuty spalonych sadów, resztki obłamanych kominów i stado wron, kraczących na złomach i ruinach.

Mokre mgły, niby łachmanami, spowijały wszystko i zalewały pluszczące, nieustanne deszcze. Ale pies, pomimo tych zmian straszliwych, poznał wieś swoją. Oblatywał każdą osadę z osobna, węszył, naszczukiwał, szukał w rumowiskach, w każdym obejściu, w każdym dole, za każdym ludzkim śladem leciał i nie potrafił nawet odszukać miejsca, gdzie stał dom jego gospodarza. Jakby trzęsienie ziemi przewróciło całą wieś na nice. Wszędzie ciągnęły się głębokie rowy, sieci kolczastych drutów, zwały belek, stosy cegieł, kupy przegniłej słomy, szeregi mogił nastroszonych niskimi białymi krzyżami, wygasłe dawno ogniska, jakieś okropne, przekrwione strzępy szmat i żelaza. A nigdzie ani śladu życia, ani śladu człowieka, ani śladu schronienia. Coś, jakby obłądny strach nim zatargał. Zgiął się w pałąk, zjeżył, ogon podwinął pod siebie i zawył. Wył długo, rozpaczliwie i okropnie. Padał w błoto, darł pazurami ziemię i, skowycząc żałośnie, tarzał się w jakiejś straszliwej, niepojętej męce. Kilka wron, mających go na uwadze, gdy wreszcie wyzbyty z sił leżał, jak nieżywy, spłynęło z drzew i, ostrząc dzioby, jęło zmierzać ku niemu krzywymi podskokami. Otaczały go zwolna groźnie nastawionymi dziobami. Już najśmielsze podfruwały z rozwartymi pazurami; już przykrył go

obłok rozchwianych, czarnych skrzydeł, drapieżnych szpon, zakrzywionych dziobów; krótkie, chrapliwe krakania były coraz niżej nad nieszczęśliwym. Zerwał się jeszcze w porę i uciekł na rozstaje pod krzyż, w gąszcze cierni i suchych badyłów. Wrony pognały za nim i, obsiadłszy krzyż i czuby drzew, czekały cierpliwie. Pies leżał zgoła już bez sił i zdawał się prawie płakać, krótki, urywany, żalony skowyt wyrywał mu się z gardzieli. Beznadziejna rozpacz brzmiała w tym głosie. Nie mógł się poruszyć z miejsca i głód skręcał mu wnętrzności. Nie miał już gdzie lecieć, nie miał czego szukać.

Śmierć krążyła nad nim, wrony całym stadem obsiadły cierniowe krzaki.

Tak przeszły długie godziny, gdy naraz doleciał go zapach dymów i ludzi, wyskoczył na drogę i poczołgał się za wiatrem. Jakoż w środku wsi, pod złomem kościelnej ściany, odpoczywali jacyś nędzarze. Wielki ogień palił się przed szaląsem przypartym do murów i uczynionym z desek i gałęzi. Zapachniały pieczone kartofle. Na barłogu tuliło się kilkoro dzieci, parę kobiet siedziało zapatrzonych w ogień, a jakiś stary człowiek żelaznym prętem wygrzebywał z ogniska kartofle, rzucał je dzieciom i sam jadł

z wilczą żarłoczością. Pies, przyczołgawszy się do ogniska, zaskomlał cichutko.

— Poszedł precz! — warknął człowiek, grożąc pogrzebaczem. Pies odskoczył na stronę, ale potęga głodu i niezwalczona potrzeba zbliżenia się do ludzi, przywiodła go z powrotem. Nawet nie skomlał, jeno łzawemi oczami żebrał o miejsce przy ogniu, o jedno łaskawe człowiecze słowo. Wtem człowiek spojrział na niego tak jakoś szczególnie, że pies zatrzymał się na miejscu i patrzył mu w oczy podejrzliwie.

— Naści, piesku! Nie bój się, głupi! — mamił, podrzucając na przynętę kartofel, a zarazem obmacując głodnemi oczami jego grzbiet potężny. Pies, jakby rozumiejąc to jego drapieżne spojrzenie, zaczął się ostrożnie wycofywać od ognia.

— Dzieci, wołajcie psa! Jakiś mądrała! — i smokał na niego, jak mógł najpieściwiej.

Nic jednak nie pomogło, żadna zachęta. Pies ciężko dyszał, piana szła mu z pyska, szczekał zębami, dygotał, lecz miał się na ostrożności. Wszystkie oczy wpijały się w niego żarłocznie i wszystkie ręce zdały się wyciągać do jego gardzieli. Trwało to krótką chwilę, aż człowiek trzasnął go znienacka prętem przez grzbiet, lecz nim zdążył cios powtórzyć, pies pognał we świat ze strasznym skowytem bólu. Stado wron pole-

ciało za nim i obsiadło ciernie pod krzyżem, gdzie się był zaszył i zdychał w męczarniach.

Deszcz padał wciąż, pluskał w gałęzie i strugami spływał po krzyżu. Blaszy Chrystus w cierniowej koronie, nagi, pełen świeżych ran od kul i szrapneli, zdawał się podnosić oczy na świat straszliwie smutny, zbroczony krwią, splamiony mordami, i szeptał:

— Panie, Panie! Czemuś mnie opuścił.

A z głębin niewiadomych biły armaty głucho, nieustannie — jakby młoty, nieubłagane zabijające trumnę wszystkiego żywota.

6-go stycznia 1917 roku.

WOŁANIE

Usłyszała wyraźnie, usłyszała napewno. Noc była jasna i cicha, świat stał w srebrzystej poświacie, przez ogromne okna księżyc lał świetlistą pobiałę na ścianę, pełną portretów.

Dźwignęła się do okna, różaniec zabrzączał i pacierze spłynęły gorączkowym szeptem. Modliła się, nasłuchując zarazem i patrząc. Park grążył się w zielonawych brzaskach i cichości, wody lśniły jak tarcze, kowane w srebrze, lipcowa, nagrzana noc dyszała upajającymi aromatami.

Naraz jakiś cień omroczył świat, zaszemrały trwożnie drzewa, jękliwy krzyk pawia rozdarł powietrze, a gdzieś z głębin nocy buchnął krótki, daleki, niewiadomy głos i przepadł w głuchem milczeniu nocy.

Porwała się gwałtownie. Cisza uczyniła się jeszcze głębsza, słyszała jeno szelest spadającej za oknami rosy i bicie własnego serca. Obejrzała się podejrzliwie, pokój był pusty, tylko w miesięcznym świetle portrety zdały się poruszać i wychodzić

z poczerniałych ram. Opadła w fotel, oczy jej uciekły wgląd z przerażenia, gdy oto sunął ku niej barszczanin z ryngrafem Częstochowskiej na piersiach i bladą twarzą upiora; za nim ryckerskie pacholę, poległe pod Raclawicami; trzecim szedł mąż z pod Somosierry, czwartym — ułańskie widmo z pod Grochowa, piątym — smutna postać wygnańca, pobrzękująca kajdanami. Korowód mar, korowód cieni, korowód ech nieśmiertelnych, a każdy zdał się pochylać nad nią i coś przemawiać. Zmartwiała w grozie, nie mogąc pojąć, czego chcą od niej posępnie błyszczące oczy i nieme, zakrzepłe twarze. Cóż mogła uczynić więcej? Wszak jedyne go syna oddała na śmierć pewną. Zaniósła się rozdzierającym szlochem bezsilności...

Że musiał stawać przeciwko braciom? Litości zabłagała jej dusza rozkrzyżowana w męce i łzawo oczy utonęły w pustyniach nieba. Omdlewała z nadmiaru bóleści, gdy znowu ten głos niewiadomy zatargał jej wnętrzności, jakby za włosy ją porwał i przebił nożami. Rozpoznała głos syna. Wołał ratunku z jakichś dalekości, z chaosów bitew, może z pod wspólnych mogił. Nieprzewyżczonego nakaz podniósł ją z miejsca i zmuszał do posłuszeństwa głosowi krwi. Przemknęła przez komnaty cicho, niby cień, oddechy śpiących roz-

nosiły się z alkowy, zakwiliło żałośnie dziecko, majaki sprzętów zastępowały drogę, wstawały tyśiączne echa życia. Nie zawahała się jednak. Opuściła dom rodzinny. Objęła go wzrokiem pożegnań i bez łez, ni żalów poszła w nieznaną drogę. Poszła w noc, niebo wisiało wysoko, jasno świecił księżyc i gdzieniegdzie spały białe chmury, powijane w kłęby. Bezmiar ją ogarnął litościwie, powiodło matczyne serce i ten synowski głos, jeno że coraz słabszy, cichszy i dalszy.

— Idę, syneczku! Idę! — Oczy jej niosły się przodem jak ptakowie wylękli.

Szły dni lipcowe, znojne, w przepych słońca przyodziane i królewską krasę pól dzwoniących kosami, nabrzmiątych weselem, plennych. We wdowiej szacie, blada śmiertelnie, z płaczącemi oczyma, snuła się po świecie, niby żałobne widmo. Milkły głosy, gdy się zjawiała, i dreszcz smutków targał sercami. Niekiedy pytała o drogę, ale, nie czekając odpowiedzi, odchodziła śpiesznie, ślad swój znacząc na kamieniach pokrwawionemi stopami.

— Do miejsc świętych wędrująca! — szeptali za nią zdumieni ludzie.

— Matka! — odpowiadały kobiety, całując krwawe piętna. — Matka!

Nie wiedziała, co się koło niej dzieje, nie wiedziała, nocą li idzie czy dniem, zali słońce

świeci, czy gwiazdy ją prowadzą. Śpieszyła do syna.

Nie potrzebowała ni snu, ni odpocznienia, ni posiłku. Niekiedy chłodziła spieczone usta leśną jagodą lub garścią krynicznej wody i szła dalej. Przez miasta gwarne szła, przez bory ogromne, wsie mnogie i pola niezmierzone, aż weszła w kraj stratowany żelaznemi stopami wojny. W kraj, gdzie pleniły się tylko ruiny, łyzy i rozpacz. Gdzie wsie były kupami gruzów, kościół w zgliszczach, ziemia zryta pociskami, drzewa potrzaskane i gdzie krew płynęła rzekami, a śmierć kosila codziennie nieubłagane żniwo...

Za stadem kruków, ciągnących na żer obfity, poszła, za nieustającym hukiem armat, łunami pożarów i zagonami świeżo usypanych mogił. Nic jej nie mogło powstrzymać, żadne przeszkody, niebezpieczeństwa, nawet tłumy uciekających ludzi, którzy oszalałemi z trwogi głosami krzyczeli do niej:

— Tam bitwa!

— Właśnie tam idę. Syn czeka na mnie! — mówiła nieodmiennie i próżna wszelakiej trwogi dosięgła samego dna huraganów. Jakby piekło ujęło ją w swoje druzgocące ramiona. Gromy huczały ze wszystkich stron, biły w niebo, biły w domy, biły w lasy, biły w pola. Śmierć śpie-

wała rozpasany hymn zwycięstwa! Nieprzeliczonym rojem brzęczały kule, pękały szrapnele, fontanny wyrwanej ziemi chlustały wysoko, waliły się z trzaskiem drzewa, padały szare szeregi jakby podcięte, czasem przelatywały tętenty konnicy, dudniała dziko ziemia i wydzierał się straszny, nieludzki ryk...

Na każdym kroku spotykała zabitych, porzywanych w lachmany i rannych, żebrzących o zmiłowanie. Tysiące rąk wyciągało się do niej błagalnie, i tysiące łkań i krzyków leciało za nią. Nie rozumiała ich języka i głuchą została na straszną wymowę ran i cierpień. Szukała swojego syna. Bowiem wołania jego stały się jej coraz bliższe i wyraźniejsze.

Na jakichś rozstajach zastąpił jej drogę kamienny Chrystus, siedzący w cieniu drzew, na niskim słupie, głowę w cierniowej koronie wsparł na rękę i patrzył nieodgadnionemi oczyma.

Przywarła do jego stóp spalonemi ustami rozpaczy.

Patrzył surowo wskroś bitewnych chaosów, wskroś wszystkiego świata. Szare tumany przysłaniały ziemię, na niebie wisiało ogromne słońce, podobne przy zachodzie do wyłupanego krwawiego oka. Ziemia dygotała w konwulsjach walki, armaty, niby straszliwe dzioby, kuły z zawzięto-

ścią, kuły bez miłosierdzia, sine bicze pocisków smagały z przeszywającym świstem, a z huraganu nieustających grzmotów wydzierały się ogromne krzyki niewidzialnych tysięcy, bijąc w niebo piorunami skarg i jęków.

— Jestem syneczku! Jestem! — odpowiadała, tocząc błędnymi oczyma, albowiem w czerwonych łunach zachodu zamajaczył nieskończony korowód człowieczych postaci; coraz bliżej widniały jakieś okrwawione głowy, wybite oczy, potrzaskane ręce, jakieś poczwary zlepione z błota, ran i krwi — wypęzały, jak widma, z pól, czołgały się na brzuchach, wlokły się na rękach, wynurzały się prosto z ziemi i wyły ranami, męką, strachem i rozpaczą...

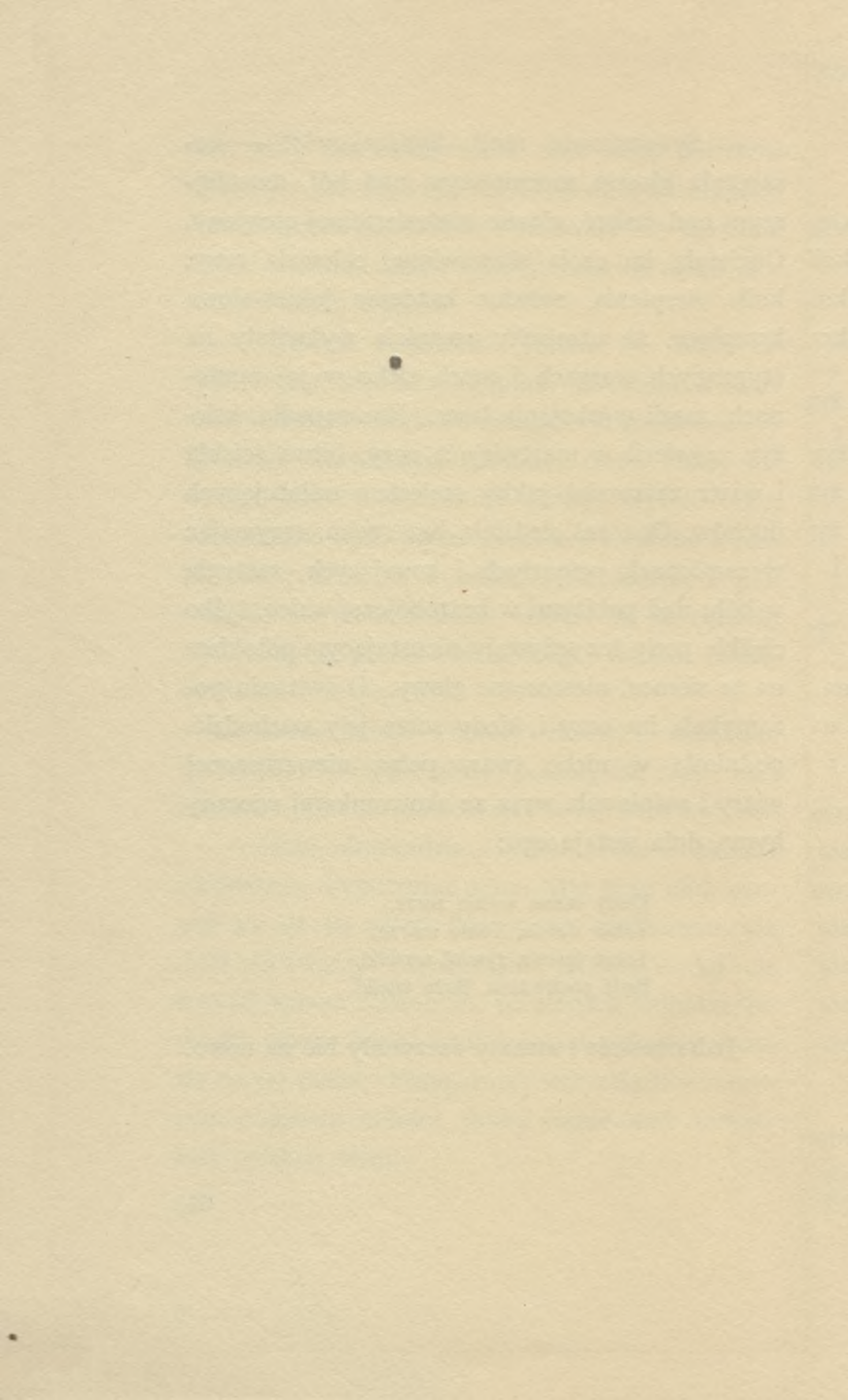
— Matko ratuj! Pomocy! Ratuj! — obłąkane spojrzenia, konające głosy, poszarpane ciała, szaleństwo i przerażenie uderzyły w jej serce wylękle.

— Boże miłosierdzia i litości! Boże! — załkała rozpacznie, wypatrując syna. Był przy niej, osuwał się na jej piersi konającym omdleniem, ale miał sto twarzy i tysiące ran. Każdy wydał się być jej synem rodzonym, bo cierpiał jednako, jednaką mową żebrał zmiłowania i jednako cisnął się do jej piersi. Przygarnęła wszystkich matczy-
nem objęciem miłości, jakby ramionami wszystkiej polskiej ziemi.

— Synaczkowie moi! Synaczkowie! — zaszeptała głosem mocniejszym nad ból, mocniejszym nad śmierć, głosem nieśmiertelnej ojczyzny. Obcierała im czoła skrwawione, całowała rany, koła cierpienia, mówiąc każdemu jakieś słowa krzepiące, że uśmiechy szczęścia wykwitwały na stygnących wargach i marli cicho w jej ramionach, marli w ukojenia łasce. Noc zapadła, księżyc zaświecił w martwiejące oczy, bitwa ścichła i wiatr zaszumiał jakby szelestem odlatujących duchów. Ona zaś siedziała bez ruchu, trzymając w ramionach pomarłych i konających, zastygła w bólu nad pobitymi w bratobójczej walce, tylko ciężkie perły łez spływały nieustającym potokiem na te sieroce, nieszczęsne głowy. O świtaniu pozamykała im oczy i, kiedy zorze jęły wschodzić, podniosła w niebo twarz pełną niewzruszonej wiary i zaśpiewała wraz ze skowronkami wieczny hymn dnia wstającego:

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki,
Bądź pochwalon, Boże wielki.

Jednocześnie i armaty zaczynały bić na nowo.



I WYNIEŚLI

Kościół wrzał od przerażających krzyków i szlochań, bowiem armaty grały nieustannie, jak burza, przewalająca się ze strony na stronę i hucząca coraz bliżej i groźniej, że rozdygotały się prawieczne mury, dzwoniły szkliwa pajaków, zwisających od niskich sklepień, a ludzie zamierali w śmiertelnej trwodze. Bitwa wybuchnęła o świtanie, niespodzianie; wsie st. nęły w płomieniach i setki armat zaśpiewały ponury hymn śmierci i zniszczenia. Ulewa piorunów spadła na ciche, uśpione wioski. Ludzie, śmiertelnie wystraszeni, rozpierzchli się, niby ptakowie, po lasach i zbożach, uciekali, gdzie ich poniosły oczy, gdzie miarkowali jakie takie bezpieczeństwo. Więc kościół stawał się jedyną ucieczką przed zagładą; kto jeno zdążył, chronił się w jego mury potężne, pod opiekę krzyża świeącego na wieży dawał skolataną głowę. I wciąż jeszcze napływały nieprzytomne od strachu gromady, wciąż waliły się w mrocznych nawach tłumy nędzarzów i co chwila

wybuchały dzikie, obłędne skowyty trwogi, gdyż straszliwe, wzmagające się z minuty na minutę bicie armat, jakoby bicie jakichś potwornych dziobów, kujących nieubłaganie we wszystkie głowy i serca, doprowadzało do szaleństwa. Przyciszyło się nieco, gdy ksiądz wyszedł ze mszą uroczystą na intencję odwrócenia klęski, ale skoro jeno wyjął z tabernaculum Przenajświętszy Sakrament, pierwsza kula uderzyła w kościół. Posypały się strzaskane szyby, kurz przysłonił nawy i obłąkańczy krzyk zatargał murami. Ksiądz nie przerwał nabożeństwa, widniał przed wielkim ołtarzem, niby białe zjawisko, świece płonęły jarząco i z chmurnej głębi wielkiego obrazu wynosiła się jasna postać zmartwychwstającego Chrystusa. Przypadły do niego wszystkie oczy, zgorączkowane wargi spłynęły szeptem pacierzów. Łzy lały się po twarzach i zduszony straszny płacz rozdzierał serca. Kościół nappełnił się warem błagań, jęków i szlochów. Pokos ciał walił się w proch z rozkrzyżowanymi ramionami i, czolgając się przed ołtarz, wszystką rozpaczą zebrał zmiłowania. Ten okropny chór człowieczej niedoli zgłuszył nawet odgłosy bitwy i huki armat. Przez wielkie drzwi szeroko wywarte, zaglądał słoneczny poranek sierpniowego dnia, niekiedy wpadały wróble stada i z wylęklým świergotem obsiadały

gzymsy i ołtarze, a niekiedy napływały dymy gryzącą chmurą spalenizny.

Naraz jakby potworna pięść huknęła w dzwonicę na wieży, trzask piorunów rozdarł powietrze, zwały się mury, zajęczały spadające dzwony, tynki wraz ze szklivem pajaków posypały się na głowy. Wszyscy rzucili się w panicznym strachu do wyjścia, zdało się, że cały kościół runie. Powstały dzikie sceny tratowań, szła bezprzytomnej ucieczki, ryki zwierząt mordujących się nawzajem. Ale że właśnie zabręczały dzwonki na Podniesienie i ksiądz z niezwruszonym spokojem odwrócił się z Przenajświętszym Sakramentem, wzburzone fale opadły i rozplynęły się po mrocznych nawach. Lud wrócił do przerwanych pacierzów, ale modliły się tylko wargi, bitwa bowiem zbliżała się wilczemi skokami i ze wszystkich stron huczała rozsrożonym huraganem. Już słychać było coraz bliżej dzikie chichoty szrapneli, basowy huk armat, suche trzaski salw karabinowych i ohydne, monotonne gdakanie mitraljez. Zasię chwilami buchał jakiś ogromny krzyk, rozlegały się gwałtowne tętenty i turkot pędzących wozów amunicyjnych.

Ze wsi podnosiły się długie, żalosne ryki bydła i wycia psów.

Jakby grobowy kamień przywalał wszystkich;

rwaly się pacierze, ostygaly serca, beznadziejność wyzierała z twarzy szarych, zmartwiały w męce i tępa głucha rezygnacja zakamieniała dusze. A kiedy znowu jakaś kula uderzyła w kościół i rozległ się głuchy łoskot pękających murów, tylko niewielu uciekło, reszta klęczała, wpatrzona nieprzytomnie w księdza i jakby wyczekująca na cud zbawienia. Ale cud się nie stawał, natomiast armaty jęły bić w mury coraz uporczywiej, niby jakieś piekielne dziecięły, że już pękały ściany, zapadały się dachy i część sklepienia runęła. Wtedy strach rozpędził wszystkich po polach. Ani się kto zatroskał o zabitych i rannych, daremnie jęczeli wśród rumowisk i kurzawy. Kościół pozostał prawie pusty, tylko przed ołtarzem klęczało kilku chłopców z zapalonemi wielkimi świecami i ksiądz. A kule już były celnie, już każda nieubłaganie trafiała. Co chwila wybuchał grzmot, co chwila kościół dygotał w posadach i co chwila nowy cios uderzał w prawieczne mury. Były w niego ze wschodu i były z zachodu a z jednaka, nieustającą ani na jedno mgnienie zaciętością. Kościół umierał, rozdzierany na strzępy. Niewiadomo, jakim cudem trzymało się jeszcze prezbiterjum i żyła ta nieulekła gromadka. Dopiero, gdy runął jeden cały bok kościoła i tą śmiertelną raną błysnęło słońce i zamigotały pola, ksiądz

zadrżał nieco i, skończywszy mszę, wziął złoty kielich z Sakramentem w drżące dłonie. Ostatni raz odwrócił się na kościół i oczami z tamtego świata powlókł po ruinach, westchnął ciężko, uniósł ostrożnie święte naczynie i, zstępując ze stopni ołtarza, zaintonował głosem mocniejszym nad spiże wszystkiego świata:

„U drzwi Twoich stoję, Panie“.

I ruszył prosto przez skrwawione rumowisko, przez trupy i złomy, nie bacząc na grady kul, na padające mury, na jęki żywcem pogrzebanych.

— „Czekam na twe zmiłowanie“ — wtórowali ogromnemi głosami chłopci, postępujący przed nim z zapalonemi świecami, jakby na procesji. Ministrant w komży i czerwonej pelerynce wyprzedzał i dzwonił.

Przystanęli na mgnienie przy białej, szerokiej drodze. Ogromna wieś, rozłożona wkoło kościoła i tonąca w sadach, stała w ogniu. Morze płomieni przewalało się z sykiem i trzaskiem. Czarne dymy snuły się nisko nad ziemią. Paliły się zboża na pniu; nieobjęty łąn pszenicy drgał pokryty różową płachtą ognia. Paliły się nawet sady i płoty. Gdzieś rozpaczliwie ryczały krowy. Bitwa hucała dokoła! Ryk armat szarpał powietrzem. Jakieś złe, niewidzialne moce szamotały się ze

sobą. I nigdzie nie dojrzał nawet człowieczego cienia.

— Gdzie iść? Jak wynieść Przenajświętszy Sakrament z tego potoku ognia i krwi?

Wszędzie śmierć wyła pieśń nieubłagania, wszędzie mord, wszędzie nieszczęście. Ksiądz zmierzył oczyma białą drogę: była nieco wyniesiona i obsadzona topolami, które chwiały się ustawicznie, jakby targane wichurą. Słońce świeciło. Miało się na upał. Niebo wisiało bez chmur. Spokój letniego dnia spływał z błękitów. Jeno nad ziemią szalała zawierucha i pola okrywały dymy i pożoga, zaś białą drogę zasypywały pociski ze wszystkich stron, że co trochę wytryskiwały fontanny ziemi, leciały potraskane gałęzie i waliły się odwieczne drzewa, jak ptaki z rozpostartymi skrzydłami.

— „U drzwi Twoich stoję, Panie!“ — zaśpiewał znowu ksiądz i nieulękłe ruszył przez wieś, ku lasom, widniejącym na horyzoncie granatowym pasem.

I przeszli. Oszczędził ich ogień i nie tknęły nawałnice kul. W polach, daleko już za wsią, zaczęli się pokazywać ludzie, wypełzający z jakichś jam i rowów. Widok księdza w kościelnych szatach, złotego kielicha i świec płonących, budził niewysłowione zdumienie. Wstawał podziw i cześć. Ogarniało ich święte uniesienie. Nie czuli już

trwogi. Błada twarz księdza, jego wniebowzięte oczy i kielich z żywą krwią i ciałem Pańskim, dawały dziwną moc, niezłomną nadzieję i wiarę. Nikt się o nic nie pytał, każdy wiedział, co powinien. Dobrowolnie stawali bronić świętości, dobrowolnie szli na śmierć prawie pewną. Szli, zwarci jedną wiarą i pragnieniem i jednym uniesieniem śpiewający. I chociaż śmierć zaczęła ich kosić, nikt się nie cofnął. Kto padł, pozostawał na białej drodze, a żywi parli się naprzód, strzegąc świętego skarbu nad skarby. Na jakimś wzgórzu, bardziej wystawionem na strzały, ksiądz się zachwiał i, niby kłos podcięty, leciał, na ziemię, ale nim padł, już kielich ujęły inne mocne dłonie, wyniosły go w górę i poprowadziły rozśpiewane rzesze.

Szli niczem niepowstrzymani; miażdżyły ich padające drzewa, rozrywały szrapnele, siekły karabinowe grady, prażyło słońce i grodziły drogę trupy, jęki i płacze. Znowu nowe ręce poniosły święty symbol. Gromada rzedła, kule co chwila robiły szczyrby, co chwila ktoś padał zabity, kielich przechodził z rąk do rąk. Niósł go jakiś szlachcic! Niosła dama w żałobie! Niosło pacholę z chabrowemi oczyma! Niósł jakiś ranny żołnierz! Niósł, kto był pierwszy z brzegu. Aż wkońcu przeszedł w twarde, spracowane chłopskie dłonie.

Ilu ich jeszcze padło! Ilu pozostało na tej
białej, kalwaryjskiej drodze! Ale nieustrudzenie
nieśli wskroś huraganów, wskroś śmiertelnych
odmętów bitwy, wskroś pożogi i zniszczenia.

I wynieśli.

ZA FRONTEM

I.

Michał Koziół porwał się gwałtownie z barłogu, jakby na mocny głos, wrzeszczący mu do ucha, by wstawał czem prędzej. Nie dojrzał jednak nikogo, w ciemnościach rozlegały się jeno chrapania śpiących. To znowu wyraźnie usłyszał, jako ktoś chodzi nad nim po rumowiskach chałupy. Wylazł śpiesznie z głębokiego dołu na świat, przytaił dech i napróżno brodził oczami w ciemnościach i nasłuchiwał. Noc jeszcze była zupełna. Na wsi piał pierwsze kury, od pół niedojrzanych zawiewał ciepły, wilgotny wiatr, zapach gorzkawy pogorzeli zawiercił w nozdrzach. Na szarem niebie przewalały się bure kołtuny chmur, podobne topniejącym śniegom, ni jedna gwiazda nie zamigotała na wysokościach; zasię nad pobliskimi borami, majaczącymi czarną, falistą ścianą strzelały nieustanne ciche, ogniste świece, całe płonące zielonawem światłem. Były wysoko nad lasy, zawisały długą chwilę w powietrzu i rozsypywały się zwolna w skrzący obłok pyłów.

Zwyczajny był tych niemieckich sposobów, więc dziwną mu tylko była cichość dzisiejszej nocy. Jakże, ni huk armat, ni trzasku karabinów, nic...

— To niedarmo, rychtują ścierwa jakąś sztukę — pomyślał, wracając do dołu pod rumowiska chałupy. Przyległ na barłogu, obtulił się kożuchem, ale już nie zasnął, bowiem ustawicznie coś mu gadało do ucha.

— Co to może być? — medytował, próbując cośkolwiek pomiarkować. Głosy były nie do rozeznania i napływały jakby z głębin ziemi, brzmiały niekiedy, jak ściszony szloch, to jękiem się wydawały, to wołaniem długim, żalosnem, dalekiem. Strach nim zatargał gwałtownie.

— Nic, jeno dusze pobitych lamentują o poratunek. Lutry to przekłete, Niemce, ale... — Wzdrygnął się, odmówił pacierz i rozbudził żonę.

— Matka, możeby dać na mszę za tych pochowanych na ogrodzie.

— Co ci się troi! Ale, za takich psubratów dawałabym na mszę! — podjęła zapalczywie. — A kto nas przywiódł do takiej marnacji, że ino kij wziąć, a torby i na świat iść po proszonem. Może nie te piekielniki, co?

— Prawda. Jezu miłościwy! — westchnął i przypomnienie strat poniesionych zważyło się na

niego strasznym ciężarem. Że już ledwie dychał z udreki, że już ledwie mógł wstrzymać krzyk rozpaczny.

— Cóż człowiek mocen przeciw złej doli, co? — zażalił się, przygnieciony ogromem własnego nieszczęścia. — Nieprzeliczone tysiące ciągnęło tych zbójów, a każdy łakomy na cudze, a każdy rwał, co mu się żywnie podobało, a każdy się pasł chłopską krwawicą. Ziemia jeno ostała i zgliszcza, goła ziemia i krzywda! Słuchasz to, matka?

Dosłyszawszy chrapanie w odpowiedzi, zwłókł się pocichu i wyszedł znowu na świat. Wstawał już ciepły, kwietniowy dzień, świtało, ciemności rzedły z minuty na minutę, w brzaskach zórz zapalały się wody porozlewane. Miało się na pogodę. Przysiadł na rumowiskach chałupy i wpił się żalonymi oczami w swoje zagony, wyłaniające się na jaśnie poranka; leżały martwe, poszarpane dolami, poryte, wytratowane i rozjeżdżone, że jeno tu i owdzie dawała się widzieć płachta nietkniętej oziminy.

— Cóż ja wam poradzę, sieroty, co? — jęknął w bezsilnej żalości. Zawrócił śpiesznie w obejście. Pożal się Boże, jak wyglądała jego gospodarka: ze stodoły pozostały jeno murowane słupy; na miejscu obór i stajni widniała kupa gruzów, dom piętrzył się stosem cegły i opalonego drzewa,

z którego wystawał przetrącony kulami osztych komina. Spory sad był również poszarpany na strzępy, ruina pokazywała swój doskonały obraz. Ocalała tylko murowana piwnica w podwórzu, nakryta grubą warstwą ziemi, w niej też chroniła się reszta dobytku: stał wychudzony koń, leżała jedyna krowina i w grudce pochrząkiwała maciora z prosiętami. W kącie, na wiązce słomy, chrapał jego najmłodszy Jasiiek. Nie budził go, bo i po co? Była to jaka robota? Przecież w polu ani sposób się pokazać, strzelali do każdego! Mój Jezu, wiosna w pełni, ciepło, ziemia prawie kipi od rostu, a ty, człowieku, patrz jeno i czekaj zmiłowania boskiego! Gniew nim zatargał. Podrzucił koniowi siana, gdy naraz zadygotała ziemia i straszliwy huk rozdarł powietrze.

— Niemieckie skowronki! — szepnął nienawistnie, wybiegając zobaczyć, gdzie upadł pocisk. Właśnie był słup ziemi wychlustywał pod lasem.

— Na mojej pszenicy! Ażeby wam kulasy poodejmowało! — zaklął.

Dzień się już był zrobił niemały i jak zwyczajnie przed samym wschodem słońca, skowronkowe pieśni jęły dzwonić po polach, lecz rychło umilkły, bowiem armaty zaczynały swoje codzienne pacierze. Las oddawał huki bełkotliwymi echami,

a przywtarzały im trzaski karabinów. Koziół wzruszył niecierpliwie ramionami i poszedł na wieś. Leżała również w ruinie, spalona i rozbita prawie do fundamentów, robiła wrażenie żałobnego cmentarzyska. Ze stu z górą chałup, utrzymało się jakimś cudem kilkanaście, a i to podziurawionych, niby rzeszoto i z poutraćanemi kominami. Z ogromnych, odwiecznych topoli przy drodze, pozostały jeno kikuty, żałośnie sterczące ku niebu. Kościół, stojący na górze w pośrodku wsi, był jedną kupą gruzów i ścian poszarpanych. Nabożeństwo odbywało się pod nim, w głębokich sklepach, gdzie chowano niegdyś dziedziców. Plebanja była również zbombardowana i ksiądz mieszkał w piwnicy. Nie ominęła tej wsi nieszczęsnej ani jedna z okropności wojny, nie oszczędziły jej kule, nie oszczędziły pożary i nie oszczędziły rabunki. Większość mieszkańców rozbiegła się po świecie, a co pozostało kobiet, dzieci i starców tuliło się po dołach i ruinach, przywierając głodem i wyczekując na cud zmiłowania. Przywarli tak mocno do ziemi rodzonej, do kątów odwiecznych, do ruin i grobów, że nie potrafiły ich wygnać żołnierskie swywole, ni nawet kule niemieckie, zalatujące codziennie i o każdej porze. Ni te grzmoty ustawiczne dział, ni bitwy, ni pożary i rabunki, ni nieustanna groza śmierci, czy-

hającej na każdym miejscu i o każdym czasie. Jednym cmentarzem stała się wieś, że strach było patrzeć na ruiny i zniszczenie. Drogi leżały puste, nawet psa nigdzie nie napotkał, ludzie tygodniami nie wylazili z nor swoich. Tyle ich zobaczył, jak kogoś wyprowadzali na cmentarz, marli bowiem gęsto, zwłaszcza dzieci snęły, jak ptaki, od głodu, od zimna, od chorób wszelakich. Jakby jeszcze mało było mogił i krzyżów na polach, zrytych okopami.

— Snać na zatracenie wydał nas Pan Jezus! — medytował Michał, obrzucając z góry przed kościołem całą wieś, widną, jak na dłoni. Stara Marcinowa zjawiała się skądś z nowinami i zatrajkotała:

— Wiecie, mój Franek powrócił, przyniósł sporo grosza i korzec grochu.

— Niech posieje, Niemce mu niezgorzej zabronują — mruknął urągliwie zadarł głowę na parę bocianów, kołujących nad kościołem.

— W samą porę przyleciały — zagadała z uśmiechem. — Czeka je robota, tylu dziewczkom pomogła wojna... Bieda jeno, że niewiadomo, kaj Niemiec wyjrzy na świat, a gdzie kozak...

Poleciała dalej roznosić nowiny, a Michał patrzył za bocianami, które przysiadły na złomie ściany kościelnej, zaklekotały rozgłośnie i po-

niosły się na wieś, napróżno wyszukując zwalonnego gniazda. Krążyły coraz niżej i krzyczały coraz żałośliwiej i boleśniej.

— Nawet ptakom przyniosły krzywdę! Nikomu nie przepuszczają.

— Kazałem na lipę wciągnąć bronę, może się zagnieżdżą, — mówił ksiądz, stając przy nim. — Od wczoraj latają i skarżą się, aż serce ściska. Zestrzelili gniazdo biedotom! — szeptał. Stary by, chudy, przygarbiony i prawie w łachmanach, z twarzy bladej patrzyła mu niezgłębiona dobroć i niebieskie, dziecięce, ufne oczy. — Jakże się masz? Zdrowi twoi?

— Bóg zapłać. Spycha się dzień nocą i tak wkółko, — pocałował go w rękę.

— Słyszałeś, w nocy wrócił Franek Koziarą, Bóg da, wróca i drudzy.

— A co tam komu za niewola powracać na nieszczęście...

— Czemuś to nie uciekł, tylko siedzisz, jak kamień?

— Ja?... Gdzież to pójdę i po co! Mało to swoich dałem wojnie, może już ziemię gryzą... Na tułaczkę nie pójdę... Moja to земля od dziada pradziada, jakże mi ją odbieżyć i we świat iść obcy!

— Wiosna ich przygnała i rodzona ziemia woła do roboty. Tylko patrzeć, jak się wszyscy zbiorą z nawrotem. Nie bój się, i na Niemce przyjdzie godzina kary. Mówię ci, człowieku, że Bóg ma więcej, niżli rozdał i nie da ukrzywdzić sprawiedliwego, — wyrzekł z namaszczeniem i podreptał na wieś. Pilno mu było do biedoty, do tych jam i nor, zionących wilgocią, chorobami i nieszczęściem. Opatrznością bowiem stał się dla wszystkich, chociaż sam często gęsto przymierał głodem i mieszkał w nieopalonej piwnicy.

Zastanowiły Michała księżę słowa, obracał je w głowie i rozważał.

— Ziemia woła do roboty! Juści! — Rozejrzał się, jakby oprzytomnionemi oczami. Słońce już wypływało z nad borów, niby złotem jaśniejąca monstrancja, wynosząca się coraz wyżej nad światem. W bladawem jeszcze świetle ożyły czarne, stratowane zagony, zazieleniły się skrawki ozimin i wody szeroko porozlewane zagrały blaskami. Wiosna szła całym światem i, jakby naprzekór niemilkającym grzmotom dział, jakby naprzekór szalejącej śmierci i mogiłom gęsto usypanym, posiewała królewską dłońią nowe, bujne i radosne życie. Armaty huczały ponurym basem, tu i owdzie z pól wytryskiwały słupy ognia, dymów i ziemi, na widnokręgu przesuwaly się

szare łańcuchy żołnierzy, jadowicie błyszcząły stalowe płoty bagnetów, wskroś pól przeciągały nieskończone obozy, czasem naprzelaj, po oziminach, leciała kawalerja, czasem rwał się okropny, wstrząsający krzyk mordujących się nawzajem i groza pokazywała twarz przerażenia.

Ale wśród tych huraganów człowieczej złości i zbrodni, rodziły się dni coraz bardziej nagrzone i pod tkliwemi całunkami słońca ziemia zdała się dygotać i prężyć warem wzbierającej mocy; tryślały liście z drzew okaleczonych, zieleniły się pola, zakwitały łąki, a tu i owdzie dzikie wiśnie okrywały się w śnieżne przyodziewy, kaczeńce tkwały złotolite kobierce i całym światem przepływał wzmagający się z minuty na minutę, nieśmiertelny hymn życia.

Z jam i rumowisk wypełzali ludzie; wylękle, spalone łzami niedoli oczy ze zdumieniem widziały słońce i wiosnę; wargi się uśmiechały i nadzieje wstępowały w udręczone serca. Zaroily się sady, wietrzono pościele, gdzie niegdzie już zadzwoniły dziecinne głosy, nikt już nie potrafił wysiedzieć pod ziemią raz po raz ktoś przebierał się chyłkiem w pola ku swoim zagonom. Na ogrodach, po miejscach zasłoniętych rumowiskami, kopano ziemię i posiewano rozsady. A kiedy któraś z gospodyń wypuściła do sadu parę gąsek, jakimś cudem oca-

lonych, pół wsi zbiegło się patrzeć i lubować gęsiorowym gęgotem. Zasię Michał Koziół chodził jakby pijany. Po wiele razy w dzień i w nocy wylaził w pole na zwiady, trawiąc długie godziny na medytacjach. Coś się z nim wyrabiało niewypowiedzianego. Nie mógł jeść i nie mógł całkiem sypiać, wychudł na szczapę, ledwie już nogami powłóczył, a nie potrafił usiedzieć na miejscu, takie go żarły ognie niczem nieugaszone. Jakże, trzydzieści morgów jego ziemi czekało — trzydzieści morgów wołało do niego słodkim, nakazującym głosem. A on słyszał, czuł, rozumiał i chodził, szarpiąc się w bezradnej męce. Bowiem z dnia na dzień wyczekiwał, aż to przekłete ptactwo kul przestanie krążyć nad jego polami. Ale wciąż słyszał ich piekielne chichoty, wciąż żelazne szpony rozdzierały mu ziemię i wybijały doły. Pewna śmierć czyhała tam na każdego śmiałka. Dobrze wiedział, ile co dnia wynoszą rannych, ile pod lasem przybywa mogił i krzyżów. A pomimo tego nie wytrzymał wkońcu. Któregoś ranka o świtaniu przykazał Jaškowi zakładać konia do pługa.

Zastąpiła mu żona drogę z niemałym lamentem.

— Naści głupi! Kaj to jedziesz? Na czystą zgubę!

— Nie twoja sprawa. Wynieś jęczmień na słońce i przesusz.

— Twoja wola, jeno Jaśka ci nie dam. Ostatni mi został, a ty go na pewną śmierć wystawisz. Loboga, ludzie, ratujcie! — zapłakała żałośnie.

Nie dał się i, nie zważając na jej płacze i prośby, ruszył z chłopakiem w pole. Prawie pod samym lasem leżało kartoflisko, które chciał zorać pod jęczmień, tam właśnie, gdzie najczęściej padały pociski. Stanął nieustraszenie na zagonie, przeżegnał się, lejce zarzucił na szyję. Jaškowi kazał prowadzić konia przy pysku, by się nie strachał strzałami, ujął pług mocną dłonią i zaczął orać. Dojechał końca zagonów, zawrócił i kładł skibę za skibą, równo i spokojnie, nie bacząc na strzały ni niedalekie wybuchy. Orał zawzięcie, z lubością wpierając bosc nogi w wilgotną, chłodną ziemię, radośnie patrzył na lśniące, tłuste skiby. Rzeźwy a ostry zapach ziemi upajał go niby kadzielne dymy w czas podniesienia. Hej, co mu tam wojna i kule! Swój własny zagon orze, pod chleb uprawia rolę, jak jego ojce i dziady robiły, jak jego wnuki robić będą. Szczęsny spokój przepelnił mu duszę. Pan ci on jest nad pany, gospodarz prawy i wierny posłusznik tej świętej ziemi.

Cichość się w nim rozrosła ogromna — cichość pełna tajemniczych, wiośnianych poczynań i marzeń, jako w tej ziemi rodzącej.

— Tatulu, strzylają! — wołał niekiedy Jasiek, trwożnie zezując na strony.

— Nowineś rzekł. Niech se strzylają! Co nam do tego. Weźno krócej kobyłę, bo się jeszcze stracha. Wio, maluśka, wio! Karemi toby się było zaożało do wieczora. Mój Boże, co się to z niemi stało!

Już piąty zagon doorywał, kiedy przyleciał z krzykiem jakiś oficer.

— Człowieku, czyś ty rozum stracił? Uciekaj, bo cię zabijają...

— I... przecież nie do mnie strzylają. Komu straszno, niechże se ucieka, mnie pilna orka wypadła. Ja ta na swoim siedzę! — dodał z naciskiem.

I orał dalej, nie bacząc na coraz gęstsze strzały i dzikie, bitewne wrzaski, wybuchające z poza lasów; nie zeszedł z roboty aż o właściwej porze.

Nazajutrz już parę pługów ukazało się na polach, a Józefowa, której chłopą wzięli do wojska, wozila krową nawóz pod kartofle.

— Jaka to gospodyni — chwalił ją Koziół — i kupy akuratnie uśadza. Drugie, to jeno umieją się żalić a lamentować.

Kończył już orać, gdy przyleciała z wrzaskiem Tereska.

— Gospodarzu, a to Sikorę rozerwało z pługiem i koniem!

— Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie — wyszeptał, obcierając uznożone czoło. — Co Pan Jezus komu przeznaczy, to go jużci nie minie. Wio, popędzaj, Jasiek, musim doorać.

A nazajutrz o świtaniu również stanął do roboty, stanęli i drudzy, zachęceni jego przykładem, że na polach w kurzawie płomienistych wybuchów, pod gradami kul, nieustannie świszczących, zaroilo się od ludzi. Niejeden kurczył się w sobie, żegnał, pacierze odmawiał, czasem trwożnie umykał z głową, gdy pocisk niżej zawarczał, ale z placu nikt nie uciekał.

Nic to, iż drugiego dnia przywlekli z pola starą Marcinową, ciężko poranioną, że tegoż jeszcze dnia Nawrockiemu oberwało nogę, a chłopaka Koziarów poszarpało na strzępy.

Nie powstrzymało to pozostałych.

Jeno wzmogły się ciche płacze głuchą nocą, jeno żalosne lamenty rodzin pokrzywdzonych zakwiliły rześciej pod rozwalonym kościołem — zasię reszta, zarówno chłopci, kobiety, dziewczki jak i wyrostki, wychodzili nieustraszenie na robotę.

Kto padł, po tym mówiono pacierze, a pozostali, niby żołnierze świętej sprawy, stawali w karnym orydyku, posłuszni nakazowi ziemi.

Robili, co robić byli powinni.

Wypadło oddać tej ziemi ostatek krwi i dech ostatni, oddawali ze spokojną rezygnacją.

Próżno sam proboszcz z dobroci serca ostrzegał i powstrzymywał.

— Niedość, że zabijają, ale i z roboty nic nie zostanie, stratują i zniszczą.

— Śmierć robi swoje, a ty, chłopie, rób swoje! — odparł na to Michał Kozioł i wyjechał z pługiem na rolę; drudzy też nie posłuchali Jegomości.

Na nieszczęście bitwy wzmagaly się z dnia na dzień i takie huragany pocisków rwały się po polach, że roboty w dzień, przy słońcu, musiano wreszcie zaprzestać. Niepodobna się było pokazać na świecie.

Wieś zaległa w jamach i dołach, ponuro nasłuchując piekielnego warkotu armat, lecz skoro jeno zmroczalo na świecie, wszyscy stawali do przerwanych robót. Kto jeno żył, ruszał w pola. Od zmierzchów do pierwszych świtań, wrzała wytężona, gorączkowa praca.

Przyświecały im krwawe łuny pożarów, wybuchy granatów i przemglone gwiazdy.

Michał Koziół zaraz z wieczora zniósł worki z jęczmieniem na swoje zagony i zabrał się do siewu. Przepasany białą płachtą i, kolebiąc się z boku na bok, rozsiewał zboże półkolistym, błogosławiącym ruchem.

Jasiek bronował.

Noc była szara, mętna i często rozdzierana błyskawicami wybuchów. Niekiedy brzęczały karabinowe kule, niekiedy ogromny grzmot wstrząsał powietrzem i słupy ognia buchały w niebo, a czasami blade, straszliwie wytrzeszczone oczy reflektorów spadały na pola i, mknąc cicho po zagonach, szukały uporczywie i długo. Wtedy, w owym widmowym świetle jawiły się przygarbione sylwetki ludzi, zwarte wody i każda fałda ziemi. Zasię potem, w miejsca, tknięte tem piekielnem spojrzeniem, były długo i z nienawiścią bomby i szrapnele.

Michał Koziół nie zważał na nic, co się wyra-
biało dokoła, spieszył się jeno i już dosiewał trze-
ciego zagona, gdy naraz zakreślił się w miejscu
i przysiadł w bróździe. Straszliwie zabolaly go
piersi, ledwie dech poradził złapać, ból rozrywał
mu żebra, nie jęknął jednak i, przywoławszy
Jaśka, oddał mu płachtę ze zbożem i rzekł cicho:

— Dosiej, synu... jakoś me zamroczyło...
wytchnę dziebko.

Jasiek posłusznie zastąpił rodzica i siał tym samym ruchem siewców całego świata, tak samo, jak ojciec, kolebiąc się ze strony na stronę, siał równo, akuratnie, cierpliwie i spokojnie.

Michał Koziół spoglądał za nim uważnie i długo, ale nagle, jakby go ogarnęła senność... chciał się zerwać... chciał coś wołać... wyteżał oczy... noc mu przysłała wszystko... noc gasiła światłości...

Chłopak był coraz dalej ... już cieniem się wydawał... nikłym, dalekim cieniem, a każdy grzmot armatni uderzał go prosto w serce, rozrywał na ćwierci, zabijał...

Naraz Koziół sprostował się, coś zabelkotał, rozkrzyżował ręce i padł twarzą w czarną, spulchnioną ziemię, jakoby w matczyne miłujące objęcia.

A Jasiek siał niestrudzenie.

II.

Dzień był wypadł przykry, chmurny i wiejny, a do tego już od samego świtania grzmoty armat wzmagały się z minuty na minutę. Dygotała ziemia, z rozkwitłych wiśni sypał się okwiat śnieżysty i lękliwie drżały krzewiny, okryte pierwszemi listkami.

Sroga bitwa wrzała za czarną, niedaleką ścianą borów. Z przesywającym wizgiem leciały stada kul od pola i raz po raz tryskały z zielonych zagonów fontanny burych dymów, ziemi i ogłuszających trzasków. Niekiedy wiatr przynosił jakoby żelazne gdakania karabinów maszynowych, to jakieś obłąkańcze wybuchy nagłych ryków.

W taką właśnie porę, jeno już o dobrym dniu, ruszał z pod kościoła orszak pogrzebowy.

Michała Kozła wyprowadzano na cmentarz, że zaś gospodarz był na włoce, że padł na roli przy robocie, jako ten prawy żołnierz, i że miał ludzkie uważanie, to bez mała wszystka wieś ściągnęła na pogrzeb. Nawet sam dziedzic przyjechał.

Trumnę złożyli na wozie, zaprzężonym w kulawego konia i nędzną krowinę. Jasiek powoził, a Michałowa, ledwie już zipiąc z płaczów i zgryzot, powlekła się za półkoszkami.

Na czele orszaku zatargała się żalobna chorągiew, pokazująca straszliwą śmierć z kosą w pieszczelach, za nią szedł ksiądz w czarnej kapie i łysy organista z książką w ręku.

Ksiądz zaśpiewał po łacinie, przywodził mu organista i wraz wykręcili z kościelnego obejścia ku cmentarzowi. Widniał zdala, u końca drogi, na wzgórku pod lasem, kępami białych brzoź i pochylonych krzyżów.

Pęknięty dzwon zakolał z dzwonnicy niby rozbity garnek.

Droga prowadziła szeroka, miejscami grząska i pełna kałuż. Siedziały nad nią rzędy topoli, podobne okaleczonym dziadom, wyciągającym odtrącone kulami, żalosne kikuty gałęzi i wierzchołków. Niskie łąki siwiły się rozlewami, na suchszych miejscach żółciły się kaczeńce i wybuchały zielone chmury wierzb i łozin.

Wiatr szumiał górą i zawiewał gorzkim i gryzącym zapachem spalenizny.

Huk armat nieustannie szarpał powietrzem, jeno w krótkich przerwach słyszeć się dawały

świergotania skowronków i jakieś głuche, dalekie tętenty.

A skoro kondukt, przebrnąwszy błota, jął się podnosić na wzgórze, kule zabrzęczały nad głowami, niby te uprzykrzone osy. Ten i ów przyginał się nieco, wtulał głowę w ramiona i, spozierając na boki, ruszał prędzej i jakby zdeterminowany na najgorsze. Strach jednak zaczął podnosić włosy, ścisnąć gardła i plątać nogi. Zaszemrały gorączkowo pacierze, żegnano się skwapliwie i bito w piersi, aż jakaś kobieta zaintonowała „Kto się w opiekę.“ Zbili się w kupę, niby owce przed wilkiem, gotującym się do zbójckiego skoku, zasie dziedzic, trzymający się na stronie, przysunął się również i zaśpiewał z drugimi.

Śpiewali coraz mocniej, ufniej i rozgłośniej, jakby pragnąc zagłuszyć armaty, i te krew mrozące w żyłach, straszne warczenia nadlatujących pocisków, i własne trwogi, szarpiące sercami. Bo wiem chwilami zrywały się prawdziwe orkany grzmotów i kule padały tak gęsto, że w polach nieustannie wybuchały słupy dymów i ognia, zaś w szarem, przemglonem powietrzu nad borami wiły się skręty krwawych błyskawic.

Pieśń podnosiła się zwolna do krzyku, nabrzmiałego błaganiem rozpacz, szli już coraz

prędzej i wylękle oczy, jak pobląkani ptakowie, krążyły bezradnie.

Naraz pocisk uderzył niedaleko w łąkach, obryzgując wszystkich błotem i wodą. Zamarła pieśń, zda się skamienieli w miejscach, nasłuchując z łomotem serc uderzenia kul w topole, niby zawziętego kucia dzięciołów. Nim ochłonęli, już drugi, jakby dobrze mierzony, trzasnął w topolę, rozdzierając ją na strzępy. Zwaliła się z jękiem na drogę. Wszyscy pierzchnęli w najdzikszym popłochu. Jeno ksiądz pozostał na swoim miejscu, śmierć tańcowała wraz z chorągwią. Jasiek powoził, a Michałowa, głucha i ślepa na wszystko, szła samotnie, trzymając się kurczowo trumny.

Cmentarz, na który wreszcie dociągnęli, srożył się w zapamiętałej bitwie z wichurą. Szum drzew był jak morze wzburzone. Prześwistywały złowróźbnie kule. Ogromne brzozy, podarte pociskami, całe w strzępach i ranach, zmagaly się z wiatrem. Białe kolumny chwiały się na wszystkie strony, bijąc długimi gałęziami. Wierzby, podobne zielonym obłokom, były się rozpaczliwie o mogiły. Szumy drzew i wichru głużyły chwilami odgłosy bitwy. Ale sam cmentarz dawał obraz okropnego pobojuwiska. Wszystek był jakby rozstrzelany. Straszliwe pociski pootwieraly mogiły, że na każdym kroku czerniały głębokie

wyrwy, pełne błota, kości, spróchniałych trumien i jakichś szmat plugawych. Wojna przeorała go pługiem śmierci i zniszczenia. Krzyże z postrącanymi ramionami walały się po drogach, kalekie i jakby konające. Kaplica, w której chowano dziedziców, stała w ruinie, prawieczny dąb, rozdarty do korzeni, zwałił się na nią i pokrył sobą. Jakby chciał bronić od ostatecznej zagłady własnym trupem. Sam cmentarz konał, a śmierć wyła triumfalną pieśń na żałosnych rumowiskach. Jeno żołnierskie mogiłki za kaplicą, ciągnące się rzędami, jednakie wszystkie i jakby pod komendą niskich, białych krzyżów, leżały oszczędzane przez kule.

Obok nich pochowano Michała Kozła.

Ksiądz śpiewał mu po raz ostatni, Michałowa lamentowała w niebogłose, a Jasiek z kościelnym zasypywali dół z zajadłością i niemalym pośpiechem.

— Chodźcie, matulu! Niema czasu! — powiedział po skończeniu, podnosząc ją z ziemi.

Ksiądz ją pocziwie podtrzymywał i, gdy powracali do wsi, rzekł:

— Wola Boża! Umarł Grzela! Rozerwało Franka! Zginęła Marcinowa! Zabiło chłopaka Koziarów! Przyszła kolej na Michała! Wieczne odpocznienie daj mu, Panie. Chłopiec był spra-

wiedliwy i pocziwy. Cóż począć, taka wola Boża. Tã wojna, to kara za grzechy, straszna kara. Ten wiatr tyle drzew nie wyłamie i tylu liści nie oberwie, co ludzi pada dzień po dniu. Nie płaczcie! Łzy nie pomogą. Musicie mieć, matko, siły do przetrzymania tych okropnych czasów. Bitwa jakby już przycichała — zauważył naraz, pilnie nasłuchując. — Ciężko wam będzie samej na tylem gospodarstwie. Jasiek, a poradzisz to sobie z ziemią? — zapytał się nagle.

— A bo ja wiem? — zafrasował się chłopak głęboko i, skrobiąc się po głowie, rzekł z powagą: — Robił będę, jak tatuś robili! Może i poradzę! — Niebieskie jego oczy błysnęły mocą.

— Mój Jezu, z tylu synów ten ci mi jeno ostał sierota, ten jeden! — zapłakała znów matka.

— Wróć i tamci, wróć — pocieszał ją serdecznie. — Niechno się tylko wojna skończy.

Wracali wszyscy razem na wozie. Zwinięta chorągiew leżała wzdłuż półkoszków. Z górki wóz potoczył się szparko, ale w łąkach Jasiek przynagłał batem swój zaprząg, bo jakoś gęściej zabrzączały kule karabinowe i robiło mu się straszno na sercu.

— Przeciera się, idzie na pogodę. Naprawdę ścicha! Że to im się nie sprzykrzy! — westchnął.

— Jak te pludraki wezmą po łbie, to się im uprzykrzy! — szepnął organista, siedzący w tyle.

Ksiądz zażył tabaki, a kichnąwszy raz i drugi, podał chłopakowi tabakierkę.

— Naści, zażyj sobie, mój ty gospodarzu! — poklepał go po plecach.

— Bóg zapłać jegomości — wyrzekł z powagą Jasiek, biorąc tabakę.

— Macie ziemniaki do sadzenia? Bo jak nie, to dziedzic pożyczycy na odrodek.

— Mamy! Ojciec poutykali po różnych schowaniach i żołnierze nie naleźli — odpowiedział Jasiek, uprzedzając matkę. — I gnój wywieziony, żeby jeno zasadzić...

— Choćby ziemię spyskać, jak to prosię, a co się tylko da, wsiać i wsadzić — upominał ksiądz.

— Juści, że ziemi przecież nie ukradną! — pogadywał ośmielony Jasiek.

— Przecież i ta wojna nie będzie trwała wieki! A może się przetoczy w drugie strony!

— Walek, co to handluje z żołnierzami, powiedział wczoraj, jako wojska lada dzień pójda naprzód. Pobiją i zaczną pędzić przed sobą. Przez Kozłów przewaliło się tysiące tysięcy. A co armat! Sam widziałem: ciągnęły ogonem przeszło na milę długim. Pono Japońcy ciągną z pomocą — tu organista, pochylając się nad księ-

żemi plecami, zaszeptał tajemniczo: — Pod sekretem powiedział o tem wójtowi sam komisarz! A i pan dziedzic z Dąbrowy potwierdzał. Pojadą balonami prosto na Berlin! Z Niemcami będzie kaput! Od początku mówiłem to samo! Gdzie im się mierzyć z naszymi. Nasz musi wziąć górę! Boże święty! a któż to mu się oprze? Kto?

— Nasz! Jaki nasz? — zachnął się proboszcz. — Plotą bzdury, a ty je powtarzasz, jak ostatni cymbał! Nasz! dobry mi nasz... — Urwał nagle i, obejrzawszy się gniewnie na organistę, tylko wzruszył ramionami. Rozmowa w tej materji wydała mu się niebezpieczną.

Jechali w milczeniu. Michałowa szlochała cicho. Bitewny huragan oddalał się gdzieś dalej i słabnął z minuty na minutę, że tylko już niekiedy dawały się słyszeć głuche i jakby coraz dalsze grzmoty. Niebo pojaśniało, jeno mgliste tumany, czy dymy wlokły się nad łąkami, a stada wron leciały z krakaniem ku pobożwiskom.

Jasiek zawiózł księdza przed plebanję, podobną raczej do kupy rozwalonych ścian, dachów i cegły. Czekał już tam dziedzic, wysoki pan w siwem ubraniu, z twarzą wygoloną i niebieskimi oczyma. Dwa srokate wyżły leżały mu przy nogach.

— Bałem się, że i żywa noga nie wróci z cmentarza — powiedział, witając księdza.

— Bez woli Boskiej i włos z głowy nikomu nie spadnie!

— A myśmy uciekali, jak zające przed naganą. Byłem, jak ksiądz wie, w różnych opalach, ale pierwszy raz w życiu złapał mię taki strach, że chyba w tej ucieczce nikt mnie nie przegonił. Zachlapałem się, jak nieboskie stworzenie. Najgorsze jednak, że Smole przestrelono nogę. W ucieczce nie wiedział o tem, dopiero jak się znalazł w chałupie i zobaczył krew, zemdłał. A teraz krzyczy w niebogłosy.

— Zaraz pójdę do niego. Przegryzę coś niecoś. Od wczoraj nic jeszcze nie jadłem.

— Jeśli będzie potrzeba, mogę posłać po doktora. Michałowa — zwrócił się do wdowy — bardzo mi żał waszego męża, człowiek był mądry i poczciwy. Stało się, taka wola Boża. Nie pierwszy on i nie ostatni. I jeszcze w taki czas odszedł, kiedy potrzeba siał i sadzić! Jak wy sobie poradzicie? I z inwentarzem, widzę, krucho?

— A juści. Ten koń, ta krowa i maciora, to wszystko, co nam pozostało — szepnęła głucho.

— Macie już co w polu zrobione? — troskał się poczciwie.

— Gnój pod ziemniaki wywieziony i wsiane ździebko jęczmienia. Przy tem go zabiło. Świętemi słowami prosiłam, żeby nie szedł pod kule. Nie usłuchał! I teraz my sieroty nieszczęśliwe! Sieroty! — zapłakała, szarpana straszną żalością.

— Słuchajcież, przyślę wam jutro dwie pary koni z pługami. Zasadźcie kartofle.

Michałowa pochyliła mu się do kolan, dziękując ze wszystkiego serca.

— Spiknęli się na nas, to musimy sobie pomagać i nie dać się. Uważajcie, gospodyni: nie dać się. Jednaką bieda wsiadła nam na karki.

— Jasiak, a padnijże dziedzicowi do nóg za taką łaskę! — rozkazała synowi.

Jasiak uczynił, co mu nakazała, lecz kiedy powracali do chałupy, rzekł niechętnie:

— Dałbym sobie radę i bez dziedzicowej łaski.

— Głupiś, nie bądź hardy! Pamiętaj, pokorne cielę dwie matki ssie! — upominała.

Na ruinach chałupy czekała już na nich Tereska, córka komornicy, zabitej walącemi się ścianami domu, dziewczka jak piec i wielce urodziwa. Pomogła wysiąść gospodyni, prowadząc ją do piwnicy, w której obecnie mieszkali. Piwnica była sklepiona, obszerna i ciemna, gdyż małe, wysoko umieszczone okienko skąpo dawało światła.

Pachniało w niej jałowcem, woskowemi świecami, a ździebko i kapustą. Na kominie trzaskał wesóły ogień, podłoga była umieciona, wysypana żółtym piaskiem, potrząśnięta świerkowemi gałązkami, i wszystko na przyjęcie spodziewanych gości nagotowane.

Należało się pamięci nieboszczyka i prawiecznym obyczajom, aby jako tako wystąpić. Przeto długi stół ustawiono pod okienkami, a na nim przetaki z nakrajanym chlebem i miski bielejące się krajankami sera, zaś w kominie parkotały jakieś gary, smakowitą parą zalatujące.

Jakoż pokrótce jęli się schodzić ludzie: przyszli krewni, przyszli powinowaci i przyszli, którzy z nieboszczykiem żyli w przyjacielstwie, a że żaden nie szczędził pocziwego słowa, wspominań o zmarłym i użalał się nad sierotami, to raz wraz wybuchały szlochy, płacze i lamenty. Ale, ponieważ czasy były ciężkie, więc, aby ulżyć sierotom, gospodynie naniósłły placków, sera i zdarzyło się nawet jedno i drugie niezgorsze pęto kielbasy. Któryś znów z bogatszych i szcudrzejszych wyciągnął niemalą flachę gorzałki.

Ciasno się uczyniło w izbie, gwarno i prawie ciemno od dymów.

Michałowa zapraszała na chleb żałobny, molestując każdego zosobna i usadzając wedle zna-

czenia i majątku. Pierwsze miejsce na ławie pod ścianą wziął Balcerek, dawny wójt i cioteczny nieboszczyka, przy nim zasiadł łysy i pękaty organista, a reszta posobnie, jak komu wypadło. Kobiety zajęły ławę po drugiej stronie stołu.

Zaczem, wedle starego obyczaju, organista wystąpił z przemówieniem żalobnem i tak do serca trafiającem, że chociaż mało co go kto zrozumiał, wszyscy się popłakali. Poczem, zmówiwszy wspólny pacierz na intencję zmarłego, wzięli się do jadła i napitków.

Michałowa z Tereską posługiwały pilnie, bacząc, aby nikomu nic nie brakowało.

I tak sobie naprzemian pobożne pieśni śpiewali, jedli a w kieliszki podzwaniali. Kolejki szły gęsto a cicho, jeno głosy były coraz tkliwsze, twarze czerwieniały i dusze, omotane udęką, biadoliły na człowieczą dolę. Jakże, taka wojna, tyle zniszczenia, wieś w ruinie, pola odłogiem, śmierć na każdym kroku, nieszczęście w każdej chałupie! Niejedna zapłakała rzewliwie na te straszne wypominki strat i krzywd, zaś ten i ów srożył się, pięścią bił w stół i wygrażał na wszystkich zbrojnych zbójów i złodziejów.

Naród się burzył, sarkał i szumiał, niby ten bór, napastowany przez srogą nawałnicę, że po jakimś

czasie już niepodobna było rozróżnić głosów, bowiem wszyscy naraz mówili, skarżąc się jeden przed drugim i wyżalając z przeróżnych utrapień i dolegliwości.

Niekiedy od grzmotów armat zadygotały ściany, aż dziad, siedzący pod kominem, stary, kulawy Piotr, markotnie tropiący nosem za gorzałką, jęklawiej i głośniej wyciągał litanję za nieboszczyka. Nikt ani zwrócił na to baczenia, więc dziad rozpoczynał wojować z pieskami i dziećmi, cisnącemi się do wywartych drzwi.

Ale w tym żalobnym rozgwarze nie zauważono nawet braku Jaśka. Matka, zajęta ugaszczaniem, płaczem i kumami, zapomniała o nim ze szczętem. A chłopak się nie zjawiał. Siedział w murowanej piwnicy w sadzie, przemienionej czasu wojny na stajnię i oborę. Żal go rozbierał po ojcu, a ilekroć posłyszał gwary, płynące od strony chałupy, pycha przepelniała mu serce, że tak godnie czcili jego pamięć, a zarazem rosła w nim zawziętość i gniew przeciw matce.

— Proboszcz uczył mnie tabaką i gadał, jak z gospodarzem, sam dziedzic mnie uważał — rozmyślał żalownie. — A matka dbają o mnie tyła, co pies o piątą nogę!

Poczuł się strasznie pokrzywdzonym, wciąż nadarmo wyczekując.

Tereska zaglądała do niego co pewien czas, rozpowiadając pośpiesznie, co się tam dzieje: jak to piją, jak jedzą, jak śpiewają i o czym to się uredzają.

Chłopak chmurniał, zacinając się w coraz większej obrazie.

Pod wieczór, właśnie kiedy były ścichły piekielne kanonady, a słońce czerwone i ogromne zawisło już nad borami, Tereska przyniosła mu karpusty z kielbasą.

Ani chciał tknąć łyżką, lecz tak prosiła, tak mu podtykała, że wziął się do jedzenia. Ona zaś, ciskając mu się do boku, molestowała żarliwie, by przyszedł do chałupy.

Nie pomogły prośby, ni jej zaglądania w oczy, bo rzekł nawpół z płaczem:

— Nie pójdę! Ojcowy pogrzeb, to kiedy mnie za stołem nie usadzili, to niech sobie sami żrą i piją. Kogo nie proszą, tego kijem wynoszą. Nie pójdę!

— Juści, że tobie, Jasiu, należy się pierwsze miejsce. Prawda, przecież twoja gospodarka po ojcu, a nie matczyzna — przywarła do niego pierściami. — Twoja, Jasiu!

— Taki gorąc od ciebie idzie, ażę poty na mnie biją — mruknął, odsuwając się nieco.

Oblizwała czerwone wargi, a wpierając w niego zbliska jarzące ślepie, zaszeptała:

— Żebyś posłuchał, a przed matką nie wydał, tobym ci cosik rzekła.

— Powiadaj. Z ozorem nie latałem, to i teraz nie polecę. Myśmy z tatusiem trzymali za jedno, chociaż matka przykazywała powiadać wszystko, jak się zdarzyło na jarmarku czy odpuszcie. Anim pary z gęby nie wypuścił. To Franek zawsze wydawał ojca.

— A będziesz to śmiał zrobić, co ci poradzę? — przytuliła się znowu do niego.

— Zrobię, Teresko, na złość matce, a zrobię! — obiecywał.

— Jak się wszyscy rozejdą, to matce rzeknij, żeś ty tutaj gospodarzem, że to twój gront, twoja chałupa i twoje wszystko. A dołóż, jako gospodarke swoją głową poprowadzisz.

— Czy ja poradzę sam, Tereska, co? Przecież i ojciec a nic bez matki nie poczynali.

— Ja ci pomogę, Jasiu, we wszystkim, tylko mnie słuchaj. A potem jeszcze powiedz, żeby ci matka oddała pieniądze. Sporo zostało gotowego grosza, wiem, gdzie schowane.

— Zdałyby się, że to i buty już mi zlatują z kulasów. Od żołnierzów taniobym kupił.

— Ostro się postaw, a matka ci odda. Nie bój się tylko.

— Jać się nie boję, ale matka prędką i gotowa wziąć się do kija. . .

— A dałbyś to się bić? Nie parobek to już z ciebie, nie gospodarz? — jątrzyła.

— Daćbym się poniewierać nie dał, cóż jednak poradzę, jak mnie zdzieli przez łeb! Przecież nie oddam. Jakże, z matkąbym się bił? I tatu-siowi różnie się trafiało, a nigdy na nią nie podnieśli ręki. Niech bije, a ja swojego i tak nie daruję!

Naraz Tereska jak oparzona skoczyła w głąb obory, pod żłoby, bowiem Michałowa z Balcerkiem ukazali się na progu. Przyszli do Jaśka i, pomimo jego oporu, wzięli go z sobą do izby. Balcererek, usadowiwszy go na ławie między gospodarzami, przepił do niego i, podając pełny kieliszek, wyrzekł uroczyście:

— Napij się, chłopaku. Gospodarz teraz z ciebie, jak my wszyscy. To ci w tej żałobnej godzinie powiem, coby ci nieboszczyk ojciec powiedział: szczęść ci Boże, we wszystkim! Niech ci ta święta ziemia rodzi, dzieci się chowają i przyrasta fortuna. Wujem ci jestem i opiekę nad tobą bierę, sieroto. Pijże, Jasiu! — tu ryknąwszy płaczem, wziął go w szerokie ramiona.

Po nim uczynili to samo drudzy, że Jasiak poszedł kolejką z rąk do rąk wraz z kieliszkiem i flachą, każdy zaś przepijał do niego, każdy ścisnął, każdy najlepszego życzył i, wspominając zmarłego ojca, mądre słowa przestróg i rad prawil, a na drogę żywota błogosławił.

Potem wzięły go w swoje obroty kobiety, a że chłopakowi było na ośmnasty, że twarzy był urodziwej i foremnej postaci, że mogło się zdarzyć, jako na całej włóce usiedzie, to otoczyły go niby kokosze i dalejże nad nim krzekorzyć, jednać podchlebnemi słowy, durzyć łaskami, a złote góry obiecywać. I każda swoje kładła mu w uszy:

— Naści tego słodkiego miodu, sieroto. Po-folguj sobie dzisiaj, bo jutro niewiadomo co nas czeka. Taki gospodarz, mój Boże, a rozerwało go niby tego marnego kurczaka!

— Na matczyną pocięchę rośnij, a przejdzie wojna, to na wesele zapraszaj.

— Nie bój się, Jasiu, przyjaciół ojcowe cię wspomogą. Wszystkim zarówno ciężko, ale jeno krzyknij, a pół wsi przyleci pomagać. Sam nie poradzisz w roli, do sadzenia ziemniaków przyśle ci Julię. Dziewczyna jak smok, zrobi za dziesięć!

— Słomy ci potrzeba na poszycie chałupy, damy ci, sieroto. Twój ojciec świadczył każdemu, jak

mógł, to cię dobrzy ludzie nie opuszczą w potrzebie.

— Świnie nam onegdaj w polu rozerwało, dziewczyny narobiły kielbas. Przyjdźże, Jasiu, podjesz sobie, sieroto, i frasunków się zbędziesz choćby na te minuty.

Gadały mu jedna przez drugą, że chłopak, pijany już nieco i ledwie rozumiejący, co się z nim wyrabia, uciekł im na powietrze. Wypadła za nim Tereska.

— Nie wierz im — zaszepiała, odciągając go na stronę pod drzewa. — Każdaby cię rada, jak tego cielaka, zaprowadzić na postronku do swojej komory. Mój Boże, bogaczowi, choćby jak pies parszywemu, niejeden sprzedałby i własną skórę. Uważaj, coć rzeknę: jak się rozejdą, wystąp zaraz, niech matka odda ci pieniądze po ojcu. I nie bój się!

— Cóżbym się miał bać? Gospodarz przecież jestem! Loboga, tak mi się w głowie kręci!

Ale goście nie prędko się rozeszli. O zmierzchu część zebranych ruszyła do domów, bo po wsi rozległy się pijackie przyśpiewki, wrzawy i klątwy na ciemność i błoto, reszta zaś żałobnej kompanji piła jeszcze na intencję Michała Kozła.

Wieczór był nastał cichy i ciepły, mgły przysłoniły wieś jakoby w białą, puszystą wełnę. Nie-

bo wisiało ciemne i bez gwiazd. Nad łąkami krzy-
czały czajki. Dziwny spokój ogarnął świat, bo-
wiem od zmierzchu nie zagrzmiął ani jeden strzał.
Bitwa ucichła.

Deliberowali o tem w niemałym zdumieniu,
snując różne przypuszczenia, kiedy zjawił się
Walek, trzymający we wsi sklep i handlujący
z żołnierzami.

— Wiecie — krzyknął od progu — wypędzili
pludraków! Zmiatają na łeb na szyję!

Radość ogarnęła wszystkich. Piekielna zmora
wojny spadła z serc. Odetchnęli z niezmierną
ulgą, zdało się im, że już koniec nieszczęściom,
pożarom i śmierciom. Gwar się uczynił, każdy
wypominał swoje klęski, a snuł horoskopy na
przyszłość. Dla wielu jednak ta wiadomość nie
wydawała się prawdziwą. Nacierali na Walka, by
opowiadał samą prawdę.

— Nie wierzycie? Kozaki siedzą u mnie
w sklepie, to wam powiedzą!

Kto jeno żyw, poleciał, aby się przekonać o tej
radosnej nowinie.

W izbie uczyniło się zaraz cicho i pusto, nawet
dział pokuszykał za wszystkimi.

Michałowa z Tereską zajęły się sprzątaniami,
zaś Jasek drzemał w kącie za stołem.

— Matka! — zagrział naraz, przeciągając się, jak to był czynił nieboszczyk ojciec.

— Czego ci? — odburknęła.

— Oddajcie mi pieniądze po tatusiu! — wyrzucił hardo i jednym tchem.

— Spieś się i pleciesz trzy po trzy. Ruszaj mi zaraz do stajni, pora spać.

— Co mi tam wasze rządy! Słuchał was nie będę. Ja tu gospodarz! — grzmotnął pięścią w stół. — Jak przykazuję, tak być musi, a nie, to fora ze dwora! Moje to wszystko i wola moja.

— W imię ojca i syna! — krzyknęła, rozwierając ramiona. — Co mu znowu do łba strzeliło? Słyszałaś, Tereska? A ty, pijusie jeden, a ty zapowietrzony skowyrku! Ja ci pokażę rządy!

Ryknęła i, jako że była prędką i twardej pięści, wywlokła go z poza stołu, sprąła, co wlażło i, zapędziwszy do stajni, obiecywała jeszcze jutro mu dołożyć.

Chłopak ani zipnął i, zmaltretowany, rzetelnie zbity, padłszy na swój barłóg, zapłakał gorzko. I w tym płaczu zasnął. Obudził się przed świtem i na świat wyjrzał.

Noc już konała, przygasały gwiazdy, białe, spienione mgły okrywały pola i łąki, że jeno czarne czuby drzew widniały nad niemi. Cicho było. Ani jeden strzał nie zatargał powietrzem.

Gdzieś z drugiej wsi dochodziło pianie kogutów. I ptaki już się budziły.

Jaškowi rozboleła gnaty i twarz opuchnięta przypomniały wczorajszy despekt. Zaklął siarczyście i, okręciwszy się ojcowym kożuchem, przyłożył się znowu, medytując nad swoją dolą. Przypomnienia piekły niby ogień i coraz więcej rozżalały.

Dzień już był i słońce wyniosło się na chłopca, kiedy Tereska go rozbudziła.

— Jasiu, dziedzic od południa przyśle dwie pary z pługami do sadzenia ziemniaków.

— A to sobie sadźcie! — mruknął, nie podnosząc głowy z posłania.

— Matka kazali, żebyś leciał na wieś po ludzi. Trzeba nająć ze sześcioro. Tyle roboty! I doły odkryć, i ziemniaki przebrać, i krajać, i sadzić. Wstań, Jasiu.

— Kiedy matka taka gospodyni, to niech sobie sama poradzi, mnie nic do tego.

Tereska, kucnąwszy przy barłogu, zaczęła go nauczać, jak ma sobie postąpić.

— Twoją stronę trzymam, Jasiu, ale ci powiem, jako złością nic z matką nie zwojujesz. Pójdzie udry na udry i co z tego będzie? Gniew i obraza Boska. To ci poradzę, rób jak twój ojciec robili: matka pieklowała, często gęsto nawet i nie-

coś oberwał, a zawsze na swoim postawił. Bo się głośno matce nie przeciwiał. Udawaj, jakbyś nie słyszał, niech się wykrzyczy, a ty swoje rób i zwolna wszystko w garście bierz. Ani się opatrzy, jak cię słuchać pokornie będzie. Wstań, Jasiu — szeptała, gładząc go pieściwie po twarzy.

Chłopak się nie odezwał więcej, a wkońcu odwrócił się do niej plecami.

Potem przyleciała matka i, wywarłszy na niego gębę, gotowa była nawet spróbować pięści, ale ją powstrzymał jego nieulekły wzrok. Wysłuchał prośb i gróźb i rzekł:

— Robił wam nie będę. Kiedy mnie macie za psi pazur, to sobie sami gospodarujcie! Zbrakło tatusia, to teraz mnie chcecie ciesać kolki na łbie.

Aż się jej pazury same wyciągnęły do jego kudłów, powstrzymała się jednak.

— Czyś ty się wściekł? Opamiętaj się, póki mówię po dobremu! Dzień już jak wół, słońce, cicho, wojska odeszły, na polach aż się mrowi od ludzi, robota czeka. Dziedzic od samego południa przysłał dwa pługi do pomocy. Wstań i biegaj po ludzi. Wstań, synu.

— Rzekłem swoje — odparł spokojnie i, wstawszy z posłania, usiadł na słońcu pod ścianą.

Skłęła go, jak psa, i poleciała na wieś najmować ludzi do pilnej roboty.

Jasiek zaś suszył zęby na słońcu i siedzia nieporuszony, srodze zamedytowany, jakby nawet nie widząc, że na dolach z ziemniakami zrobiło się rojno i gwarno.

— A kajże to syneczek? — pytała Marcinowa, pyskacz baba, ż i na świętym nie zostawiłaby suchej nitki. — Pewnie już w polu! — zaśmiała się, przebierając ziemniaki.

— Obrządza inwentarz — odparła Michałowa, posępnie pozierając w stronę chłopaka.

— Pono do świtania przedzwaniiali nieboszczykowi kieliszkami, to się utrudził chudziak.

— I po co mu się śpieszyć z pod pierzyny? Albo to nie gospodarz na włóce, abo to najemnicy nie zrobią za niego? — dogadywały drugie, dobrze wiedząc, co się stało.

Dotknięta tem Michałowa jęła się cicho wyżalać przed Tereską.

— Już mnie bierą na ozory! Co ja z nim poczną? Uparty, jak prawdziwy kozieł. Nie i nie.

— Boście go spostponowali okrutnie.

— Ledwie go tknęła. Chłopak przecie nie chuchro, nic mu się nie stało.

— Ale gębę ma posiniaczoną i płacze, że go bolą gnaty — dokładała ostrożnie.

— Przeprowadził mnie do złości. Jakże, ledwie to od ziemi odrosło, a już z pyskiem na

mnie! Kubek w kubek, jak jego ojciec. Przemów ty do niego.

— Was nie słucha, to mnieby ta posłuchał! Jeszcze mnie zeklnie.

Ale poszła, próbując na wszystkie sposoby skaptować go dla matki, lecz i sobie też zjednać i urobić dla siebie. Miała na niego głęboko ukryte zamiary. Nadarmo jednak poszły przymilania, zagładania w oczy, przyśmiechy i obejmowania w pól.

— Głupia, — mruknał wreszcie — myśli, że jak matczynej kiecki się puściłem, to się zaraz przy niej uwieszę. A susz sobie zęby do żołdatów, prędzej co wskórasz!

Odkoczyła zagniewana. Matka zaś, wysłuchawszy jej opowiadania, postanowiła użyć jeszcze jednego sposobu, jaki jej nigdy nie zawodził z nieboszczykiem mężem:

— Trzeba mu narządzić dobre śniadanie, to się ułagodzi.

Pokrótcie sześć jajek i kawał kiełbasy zaskwierczały w tygielku, aż zapachniał cały sad.

— Jasiu, chodźże jeść — przemówiła, jak mogła najłagodniej.

— Nie pójdę! Wsadźcie sobie w nos wasze jadło! — warczał, błyskając ślepiami.

— To niechże się pieski ucieszą jajecznicą z kiełbasą — rzuciła od niechcenia.

Pociągnął nosem i, nie przemówiwszy już, poszedł do izby i łapczywie wziął się do jadła.

— Podjedz sobie, Jasiu — zagadała poczciwie, stając przy nim. — Przemówże choć to słowo. Loboga, że to człowiek nie ma ani godziny spokoju! Choryś, czy co? Żeby nie robota z ziemniakami, tobym cię zawiezła do doktora — próbowała z nim tak i owak.

Nie odezwał się i, najadłszy się do syta, pasa ojcowym sposobem przyciągnął i zaczął ze skrzyni wywalać swój święteczny przyodziewek. Patrzała w zdumieniu, nie mogąc pomiarkować, co z tego wyjdzie. Wzuł buty, kapotę włożył i, nasadziwszy kapelusz, oglądał się za kijem.

— A gdzie się to wybierasz? — przemówiła, dygocąc w jakimś bolesnem przerażeniu.

— We świat. Poszukam sobie służby a nie, to przystanę do żołdatów. Nie będę wam zawalał miejsca w chałupie. Zostańcie, matko, z Bogiem! — pocałował ją w rękę i ruszył ku drzwiom.

— Jasiu, na rany Boskie, co ty wyrabiasz! — zakrzyczyła w rozpacz, zastępując mu drogę.

— Jasiu, loboga! Po moim trupie przejdiesz!

— rzuciła się na niego i, objąwszy mocno rękami, wybuchnęła strasznym płaczem. — Nie puszczę cię, nie puszczę! — bełkotała nieprzytomnie.

Chłopak zmiękł nagle. Matczyny płacz tak go chwycił za serce, że, usadziwszy ją na ławie, przytulił się do niej i zapłakał rzewliwie, jak to ukrzywdzone dzieciątko.

Pofolgowali czułościom, zalewając wszystkie gniewy i zawziętości potokami szczerych łez. Wypominali przytem nieboszczyka i braci na wojnie, i siostrę na trzeciej parafji, i swoje sieroctwo, i pilne roboty. Starczyło im łez na oplkanie wszystkich krzywd, poniesionych od losów, wojny i ludzi. Pojednanie skończyło się na tem, że Michałowa wetknęła mu w rękę pieniądze, pozostałe po ojcu. Przeliczył je i oddał z powrotem.

— Schowajcie, matko, konia musimy przykupić, jednym nie obrobimy — zawyrokował.

Poczem zjadłszy jeszcze jedną jajecznicę, zabrał się pilnie do roboty.

W Kozłowej gospodarce wszystko poszło swoim zwyczajnym trybem. Zbrakło ojca, to syn stanął na świętym zagonie, jak zawsze bywało i jak zawsze będzie.

— Zawzięty, obraźliwy, honorny, ale będą z niego ludzie — myślała o nim pokonana matka.

— Gospodarz mój kochany! — zaszepiała, patrząc, jak się zwolna, mądrze i akuratnie zabiera do roboty. — I nieboszczyk nie potrafiłby lepiej. Taki dzieciuch, a jaki to mądrała! — dziwowała

się z radosną dumą. — Dobra krew gospodarska!
— utarła nos i wzięła się do pracy.

Od tej chwili nastąpiła w chałupie zgoda i głęboki spokój. Obie kobiety zabiegały około chłopa, jakby koło skarbu, sprawiał się bowiem, jak prawdziwy gospodarz, i robił za trzech, aż się temu cała wieś dziwowała i proboszcz go pochwalił przed ludźmi, stawiając za przykład.

Bowiem po odsunięciu się bojowego frontu, roboty było tyle, że niewiadomo, co było pilniejsze. Wiosna się też ustaliła na dobre i szła wszystkimi stronami. Sady stanęły w kwiatach, ruszyły oziminy i obsychały drogi i mokradła. Przyszły dni ciepłe, słoneczne, skowronkowemi świergotami przejęte i lubością dyszące, że wszystko rosło w oczach.

Cała wieś wysypała się w pole. Od świtu do nocy huczała wytężona, ciężka praca. Od świtu do nocy orano, siano i sadzono. I od świtu do nocy wrzały po drogach i polach krzyki dzieci, granie piszczałek, naszczekiwanie psów i ptasie śpiewania. A od krańca do krańca, jak tylko można było dojrzeć wszędzie gmerali się ludzie, chodziły pługi, wlokły się brony i spadały w czarne role złote deszcze zbóż, że ani jeden zagon, ani jedna skiba nie pozostała odłogiem. Pracowano

końmi, pracowano krowami, a komu i tej żywielki nie zostawiła wojna, sam się zaprzęgał do pługa i krajał skibę za skibą. We wsi umilkły swary i kłótnie, bowiem każdy, jako ten żołnierz, stawał na zagonie i robił święcie, do ostatniego tchu, co mu przykazywała wiosna i ta ziemia rodzona.

I żeby nie te okopcone kominy, sterczące z rozkwitłych sadów, nie te żałosne rumowiska chałup i nie te nocami słyszeć się dające grzmoty dalekie armat, to aniby kto pomyślał, że tędy deptały srogie stopy wojny. Rumowiska, okopy i mogiły zarastały bujną trawą. Przytem wieś leżała zdala od większych traktów, więc tylko niekiedy zaglądały do niej patrole kozackie i przeciągały jakieś zabląkane oddziały. Od grabieży, postojów i rekwizycji broniła ją kompletna ruina. Czasem też Walek przynosił jakieś wojenne nowiny, opowiadając je ludziom powracającym o zmierzchu z roboty.

— Nie wywołuj wilka z lasu — ostrzegali surowo. — Wojna poszła sobie od nas, to nie daj, Bóg, aby miała jeszcze powrócić. — I przytem żarliwie się żegnali.

Niejeden dygotał na wspomnienie jej straszliwego oblicza, że kiedy najbliższej niedzieli pokazał się przed kościołem, jak zwykle, chłopak Miel-

czarków z gazetami, wykrzykując dla zachęty o nowych bitwach, Balcerek zawołał gniewnie na parobków:

— Nie kupujcie! Mają też o czym pisać! Byle czem durzą i głupi wierzą. Dopiero mi to wielka rzecz wojna: jeden drugiego zarzyna, jak świnię, i cudzą krzywdą się pasie. Panowie ze sobą wojują, a ty, biedny człowieku, cierp, nastawiaj łba, zdychaj z głodu i jeszcze płąć za tę fanaberję — splunął z wzgardą.

Wszyscy starsi czuli za jedno, żaden też po gazetę ręki nie wyciągał, ale młodzież rozkupowała, czytając ją sobie na głos po sadach i miedzach.

Jasiek, że jeden ze sąsiadów znalazł w gazecie wiadomość o śmierci syna, to ją co niedziela kupował i czytał matce od początku do końca. Czytywał ją zwykle po nabożeństwie, w sadzie, pod baldachimem kwitnących grusz i jabłoni, przy brzęku pszczelnym.

Nad niemi wisiało błękitne niebo i słońce przebierało złocistymi palcami wśród kwiatów i gałęzi. Matka słuchała z sercem pełnym lęków, aby czasem nie wyczytał o śmierci którego z jej synów, i przesuwając ziarna różańca, włókła oczyma po wzbierających zielenią polach. Tereska, leżąc na trawie, wpatrzona w Jaśka, dziwowała się

w cichości, że z takich małych literek, a tak wszystko mądrze i do składu wywodzi.

— Nie bójcie się, matko: jakby Franek albo Józek byli zabici, gazetaby o tem wiedziały. Oni wiedzą wszystko. Nawet, jak co komu ukradną — zapewniał uroczyście.

I tak im przechodziły te kwietniowe dni i niedziele.

Nastąpił miesiąc maj. Zboża ruszyły w słup i kłoszące się żyta podnosiły się z dnia na dzień, jakby ta lśniąca szmaragdowa toń. Trawy po łąkach i rowach zdawały się być niezmiernym kobiercem, przetykanym kwiatami. Padały ciepłe i częste deszcze. Poranki podnosiły się przemglone, rosiste, południa stawały nagrzane, wieczorami świecił księżyc, zaś noce były pełne słowików, że od ich śpiewań, klaskań i zawodzeń aż w głowie się mąciło. Przechodziły dni tak niepojęcie cudne, jakoby nieustające hymny, śpiewane przez wszystko Boże stworzenie i całą mocą radości, szczęścia i wesela!

A chociaż człowiecze dusze rozumiały tę świętą mowę wiosny, nie starczyło jednak czasu na jej wielbienie, gdyż ciężka praca przyginała karki do ziemi, że wszystkie dni przechodziły w jednako znojnym i wytężonym trudzie.

Jeno o zmierzchach, przesyconych zorzami zachodów, przed figurą Matki Boskiej, stojącą w pośrodku wsi, ubranej w zieleń, kwiaty i światła, cała wieś odprawiała majowe nabożeństwo. Nie raz jeszcze późnym wieczorem, wśród słodko pachnących kwiatem sadów rozlegały się ściszone, a żarem przejęte śpiewania dziewcząt. Głos Tereski brzmiał najgórniej i najrozleglej.

„Dobranoc, wonna lilijo!
Dobranoc, niepokalana Maryjo!
Dobranoc!“

Wtórowali im zasypiający ptakowie, a czasami dalekie, głuchoe grzmoty armat.

I tak się maj przetoczył, a przyszedł czerwiec. Nastąpiło suche i upalne lato. Słońce podnosiło się coraz wyżej, a noce były tak ciepłe, że tu i owdzie wynoszono się na spanie do sadów. Pola stały pełne, nalane zbożami, jako to morze falujące od brzegu do brzegu z chrzęstem ciężkich kłosów i poszumem. Niezmierna, zielona puszcza przysłoniła ziemię, nad którą tylko śpiewały skowronki, przeciągały bociany i gdzieniegdzie wynosiły się wioski i kościoły. Nawet kręte linje okopów i rzędy mogił żołnierskich utonęły w bujnych trawach, kwiatach i pszczelnym brzęku. Po łąkach zadzwoniły pierwsze kosy.

Aż nadszedł był lipiec, jako ten bogacz brząkający czystym złotem dojrzewających zbóż. Dnie były długie, bez chmurki, dyszące żarem i spiekotą. Pod nogami dzwoniła wyschnięta ziemia. Spłwiałe łany kolebały się coraz powolniej i ciężej, a pęczniejące kłosy zwisały coraz niżej.

Wszystkie rowy, miedze i granice zagrały barwami, niby wstęgi przepasujące złotawe pola. Każdy bowiem chwast każde ziele i każda najmniejsza roślinka występowała w królewskim przyodziewku kwiatów. Powietrze przejmował miodny zapach koniczyn. Już ścichały pola, milknęli ptacy, natomiast przepiórki zaczynały się odzywać i wróble stada spadały zuchwale na wykłoszone jęczmiona. Po wsi dzwoniły nakuwane sierpy i kosy. Zbliżał się czas żniwny, wyczekiwany z upragnieniem, gdyż latosi przednówek dawał się srodze we znaki. Z przyczyny wojny i zniszczenia w niejednej chacie głód był częstym gościem. Niekiedy srożyły się lipcowe, gwałtowne burze; na szczęście, pioruny biły w lasy, a grady chodziły stronami. Upał też wzmagął się z dnia na dzień, słońce od świtu do nocy paliło niemilosiernie i żarem rozdrżane powietrze mieniło się nad ziemią.

Dnie wlokły się długie, znojne, niby ziarna ró-

żańca do siebie podobne i jednako wypełnione krwawym, ciężkim mozołem.

Wieś bowiem, zaraz po wiosennych robotach, zabrała się do odbudowy. Jak grzyby po ciepłych deszczach, powstawały na rozwalinach przeróżne szopy, budy i klety. Rodziły się z desek, z niedopalonych bali, z gliny pomieszanej ze słomą i z rumowisk, dość, jako w parę tygodni podnosiły się tu i owdzie po sadach ściany żółte, dachy słomiane.

Stawiano byle jak, aby tylko mieć schronienie i zdążyć przed żniwami.

I u Michałowej działo się, jak wszędzie. Jasiak pracował bez wytchnienia; wychudł, poczerniał i tak podrosł, że trudno było go poznać. Twarz miał spieczoną na słońcu, jak bochen chleba, zaś do kwiatów lnu podobne oczy świeciły hardo i wyzywająco. Czynił się coraz podobniejszym do nieboszczyka i tak samo się poruszał, mówił i brał się prawą ręką pod bok. Święcie też starał się go naśladować we wszystkim, w tem się jeno różniąc, jako rządy w domu sprawował twardą ręką. I mógł sobie pofolgować, gdyż matka za nim już nie widziała Bożego świata. I tak samo sobie poczynał między sąsiady i w kościele, zajmując miejsce przynależne po ojcu, Na procesjach baldach nosił i z grubą świecą sta-

wał na warcie przed ołtarzem wraz z drugimi. Kręcili zrazu nosami starsi gospodarze, ale ustąpić musieli, bowiem nad wiek był mądry, przemyślny i uparty, że zawsze postawił na swoim.

Dzięki tej wytrwałości, pomocy dziedzica, którego zjednać sobie potrafił, i pieniądзом, pozostałym po ojcu, odbudowę prowadził tak pośpiesznie, iż w połowie lipca stała już szopa na zboże i na prędcie skleconą chałupę pokrywano słomą. Reszta miała się wykonać dopiero po żniwach.

Ale uderzył grom, burzący wszelkie człowiecze zamierzenia.

Już na jakiś czas przedtem jęły krążyć dziwne i zgoła nie do wiary wieści o cofaniu się Moskali. Przynosił je Walek, zapewniając na ucho, jako przy odwróceniu mają popalić wszystkie wsie i całą ludność zabrać z sobą.

— Nie zostawią kamienia na kamieniu! — powiadał, sam zresztą w to nie wierząc.

Bo i któż to mógł uwierzyć w takie okropne banialuki! Ale te wiadomości zaciężyły na duszach, trwoga padła, roboty szły ospale, ludzie byli powarzeni, wylękli, nastawiając tylko uszy na każdą nowinę. A przylatywały codzien gorsze i bardziej trwożące, niby stada złowróźnie krączących kruków.

Któregoś dnia się rozeszło, że szosy zawalonne uciekającymi taborami. Jakoż przyłożywszy ucho do ziemi, posłyszano turkoty niezliczonych wozów.

Posłano chłopaków na sprawdzenie. Prawda była. Później znowu doniesiono, jako i wojska się cofają. I to było prawdą. Ciągnęły dniami i nocami w stronę Warszawy.

Nocami słyhać było wyraźnie głuchoe turkoty i tętenty. Nocami też w stronie frontów a szerokiemi półkolem z poza borów jęły wykwiatać jakieś ogromne łuny pożarów.

Już do reszty przetrwożyły się serca, patrzyli ponuro, dziwując się tylko, że tym pożarom nie towarzyszą, jak zwykle, grzmoty armat i bitewne zgiełki. To właśnie najciężej niepokoiło. Wili się w udrękach oczekiwań, niepodobna było wziąć się do czego, robota leciała z rąk, włosy powstawały na głowach. Wreszcie całą wsią poszli do proboszcza.

— Pewnego jeszcze nic nie wiem — odpowiedział otwarcie — przygotować się jednak trzeba na najgorsze. Podobno palą wszystko po drodze, nawet zboża i ludzi zabierają!

— Spalić wieś i pognać naród we świat, to się nawet nie mieści w głowie! — zawołał któryś.

— W człowieczej się nie mieści, ale w moskiewskiej wszystko się mieści — wybuchnął ksiądz.

— To nie może być! Naszby tego nie zrobił! Nie mówię spalić dwory i z Żydami pohulać. — wiadomo, jako panowie i Żydzi trzymają z Niemcami — ale żeby przykazowano poniszczyć chłopów nigdy nie uwierzę — sprzeciwił się energicznie Balcerek i, aby powziąć języka, pojechał z organistą do miasta.

Wrócili wieczorem, Cała wieś czekała na nich pod figurą Matki Boskiej. Balcerek pierwszy, wychylając się z bryki, przemówił zmienionym do niepoznania głosem:

— W mieście już ani śladu po naczelniku i urzędach! Jedne Żydy szwargocą w rynku.

— Uciekli wczorajszej nocy, zabrali kasy i papiery — uzupełniał organista. — A co do tego palenia, prawda! Spalone Budy, spalone Wierzby, spalona Olszowa, spalone wszystkie wsie w trzech parafjach i zboża pocięte albo potrątowane! Sodoma i Gomora! Dzień sądu ostatecznego się zbliża. Idą czasy, jako żywi będą zazdrościli umarłym. Tysiące tysięcy pognali przed sobą. Kto jeno może, chowa się po lasach! — gadał roztrzęsionym głosem.

Ponura cisza zaległa tłumy, rozpacz ścisła serca, kobiety zaczęły szlochać.

— I niema na to żadnej rady. Co ma być, stać się musi, tak nawet stoi w Piśmie Świętem. Jedno, cobym jeszcze rzekł: oto, co kto ma lepszego, niech zaraz zakopuje i chowa!

Nie spano tej nocy; siedzieli pod chałupami zapatrzeni w pożary coraz potężniejsze i tak już niedalekie, że chwilami zawiewały zapachy spalenizny. Noc też uczyniła się dziwnie mętna i niepokojąca; psy zajadle naszczekiwały po pustych drogach, rozlegały się w ciemnościach jakieś szlochania i jęki; nawet dzieci nieustannie płakiwały.

— Nic to, jeno Zły krąży nade wsią! Cóżby drugiego? — szeptali starzy.

I poranek nie przyniósł odmiany na lepsze, wstał bowiem mroczny, upalny i duszny. Zbierało się jakby na burzę.

Co trochę zrywał się gwałtowny wicher, roztrzepując nad polami gęste, siwe tumany kurzawy. Niebo zaciągało się chmurami i przełatywały kręte i ciche błyskawice. I jakoś dziwnie żałośnie szumiały zboża i drzewa, targane wiatrami. Bydło, nie wypędzone na pastwiska, ryczało z głodu przy pustych żłobach, ludzie zaś łazili zgoła nieprzytomni, gdy naraz podniósł się krzyk:

— Kozaki! Kozaki!

Jakoż wpadła cała sotnia i zatrzymała się na placu przed kościołem. Oficer nakazał zwołać całą wieś i, kiedy się zebrała, stanąwszy w strzemiach, zakrzyczał groźnie:

— Do jutra wszystkie zboża muszą być wykoszone i stratowane. Jutro też rano wszyscy ludzie z wozami, końmi i inwentarzem powinni być przygotowani do drogi.

Z rykiem padli mu do nóg, błagając o litość, całowali jego buty, kopyta jego konia. Posłusznym obiecywał wielkie odszkodowanie za wszystkie straty, opornym zaś zagroziwszy nahajkami i powieszeniem, odjechał.

We łzach i straszliwej męce przechodziły im długie godziny. Polały się rzęsiste potoki łez. Leżeli przed świętymi obrazami, zebrząc o zmiłowanie. Stało się na wsi, jakby w każdym domu leżał konający, i słychać tylko było szło hanie i żalości. Każdy dom zawodził zosobna, każdy sad dygotał i każde drzewo zdało się jęczeć i płakać.

— A może tylko straszyl! A może już nie powrócą! — Czepiali się ostatniej nadziei. Czekali Boskiego zmiłowania i jakiegoś cudu, któryby wszystkich ocalił od zagłady.

Ratunek jednak nie przychodził, a nazajutrz o świtaniu sołtys przypominał nakazy. Jezus

miłosierny! a któż to potrafi przyłożyć się do zniszczenia chleba, kto? Cofali się jednak przed tą myślą, jak przed świętokradztwem i najgorszą zbrodnią. Jakże, wyciąć i stratować zboża! A co będzie jutro i pojutrze? Głodowa śmierć dla wszystkich.

Ale kilku strachliwszych ruszyło w pole z kosami. Niejeden w garście splunął, przeżegnał się i zuchwale puścił ostre żelazo w spłowiełe żyto i owies zielony, ciął raz i drugi; nie szło jakoś, naostrzył kosę, wparł się mocno w zagon, zaklął siarczyście i wkońcu zbrakło mu serca, że stanął wylękły, zgrozą śmiertelną przejęty. Zdało się, jakby te pola żałośnie zakwiliły. Płowo-zielone fale, przegarniane wiatrem, chyliły się im do nóg z cichem, a przejmującym wołaniem. Jakby krew wyciekała z tych pociętych już garści. Naraz nieobjęte obszary zagadały chrzęstem i poszumem. Żalosa skarga poszła po ziemiach i podnosiła się w niebo, do słońca, w nieskończoność. Każde źdźbło z osobna zatrzęsło się w strachu i zdało się szemrać: „Nie zabijaj! Nie zabijaj!“

Kosy cofnęły się w lęku i rozpacz. Na taki śmiertelny grzech nikt się nie odważył. Wrócili do wsi, do chałup, gdzie już tylko wrzały płacze, szlochania i lamenty, i panował okropny zamęt.

Nie wiadano co robić. W głowach się mieszało od przerażenia. Wytaczano wozy, niektóre kobiety pakowały pościele i skrzynie, niektóre gonily za rozpierzchłemi kurami. Krowy, powiązane u plotów, ryczały przeciągle, jakby wyprawdane na rzeź. Chłopi siedzieli na progach w ponurej rezygnacji. Ksiądz zaraz po mszy przyleciał, dodając serca i krzepiąc nadzieją, jak tylko mógł, ale, zmożony powszechną rozpaczą, zapłakał wraz ze wszystkimi. Bowiem jeszcze przed południem powrócili kozacy, a z nimi oddział uformowany do niszczenia pól, złożony z wałów, używanych do wyrównywania zagonów, z bron i kłoców.

Oficer, zastawszy niespełnione rozkazy, pogroził chłopom nahajką i dał znak oddziałowi do niszczenia. Runęli na zboża, niby ciężka gradowa nawałnica.

Wieś zajęczała, jakoby w tej ostatecznego sądu godzinie kary. Kobiety zawyły przekleństwami, groziły, pluły, a co gorętsze jęły ciskać w kozaków, co im tylko wpadło w ręce.

Krew nagle zawrzała w żyłach, rozpacz, strach, gniew i szaleństwo zatargały wnętrzościami, że wszyscy naraz zaczęli wrzeszczeć, jak opętani, grozić, przeklinać i zachęcać:

— Nie dawać się, chłopcy! Nie pozwolić! —

I wraz jęli rwać koły, oglądać się za kosami, chwycić kamienie.

Ale oficer czuwał, wypuścił kozacką sforę na wzburzone gromady, rozbił, sprzął nahajkami, aż oblały się krwią, i zaryczał rozsrożony:

— Ja wam pokażę bunt! Każdy, który choć słowo piśnie, pójdzie na postronek. Milczeć i słuchać! Wozy wyprowadzić na drogę i pakować się, za dwie godziny ruszamy!

Sam już przynagłał do pośpiechu, a nahajki również pracowały żarliwie. Jednak, pomimo takiej pomocy, dopiero o zmierzchu sformowała się pochodowa kolumna. Całą drogę zajęły wozy, inwentarze i ludzie, siedziały jeno małe dzieci i chorzy. Proboszcz miał przykazane jechać pierwszym wozem, na czele pochodu, ale tak się gdzieś zapodział w ostatniej chwili, że ani sposobu było go odszukać.

Już padły nakazy i mieli ruszać, kiedy w różnych miejscach wsi pokazały się płomienie.

— Gore! Gore! Wieś się pali! Ratunku! — wrzasnęli okropnie, rzucając się ku płonącym chatom, lecz nahajki, kolby i piki wnet ich powstrzymały, spędzając do kupy.

Pochód zwolna ruszył wśród straszliwych jęków i płaczów, kozacy bowiem na wszystkich

oczach biegali z żagwiami od budynku do budynku, podkładając ogień, że co chwila wybuchał pożar w coraz innym miejscu. Aż i cała wieś stanęła w płomieniach. Czerwone, straszliwe grzywy chwiały się nad sadami, coraz wyżej i coraz okropniej. Paliły się domy, paliły się zabudowania, paliły się sady i nawet paliły się zboża co żralsze. Spienione morze ognia z dzikim poszumem i trzaskiem wzbierało coraz wyżej, powiewając krwawemi, poszarpanemi łachmanami płomieni.

Michałowa, jak i drudzy, była już gotowa do drogi. Przed chałupą stał w drabinach zaprzężony we dwa konie wóz, Tereska pilnowała krów uwiązanych z tyłu. Jasiak powoził. Spłakany był, wymęczony i pełen nieopisanej boleści. Wyżartemi przez płacz oczyma patrzył na wieś płonąącą, stał martwy, niby trup. Nagle, gdy dojrzał kozaka, zmierzającego w stronę ich chałupy z płonąącą głownią, zagrała w nim tak straszliwa, niepohamowana nienawiść, że, porwawszy z wozu siekiere, skoczył niby ryś za węgiel i przyczaił się w cieniach.

Kozak, najspokojniej podpaliwszy słomianą strzechę na dwóch rogach, zabierał się do trzeciego, gdy Jasiak, zaszedłszy go nieco z boku, trzasnął przez łeb z taką siłą, że mu siekiera

uwięzła. Kozak zwałił się bez jęku, niby martwa, ciężka kłoda.

Chłopak stanął bezradnie, lecz w tem mgieniu przypadła Tereska i, wciągnąwszy zabitego do izby, zatrzasnęła drzwi a Jaśka siłą porwała z powrotem do wozu.

W tejże chwili chałupa stanęła w ogniu, zaś cały pochód ruszył naprzód.

Całą wieś popędzili na tułaczkę, na nędzę i na pewną śmierć.

Kozacy na koniach oganiali z boków, nie pozwalając wymknąć się nikomu.

Noc zapadła. Tłum posuwał się zwolna, niby rzeka bełkocąca w ciemnościach głosami sierocych płaczów, jęków skarg i niewypowiedzianych żalości.

Wieś zdala przybierała kształt grobli ognistej, z zapadających się chałup wychlustywały fontanny iskier, kłęby dymów wisiały czarnym baldachimem, a krwawe brzaski oświetlały stratowane, pocięte zboża.

Jeszcze jeden okropny krzyk, jeszcze jeden ostatnich pożegnań płacz na wzgórkach pod figurą, jeszcze jedno spojrzenie na ziemię rodzoną i pochód przepadł w ciemnościach.

W brzaskach dopalających się wsi widniał jeno na wzgórkach Chrystus rozpięty na krzyżu i płaczący nad człowieczą złością i niedolą.

III.

Była już późna noc, kiedy proboszcz odważył się nareszcie wyrzeć z jakiegoś dołu pod cmentarzem, gdzie się był schronił przed kozakami jeszcze przed wieczorem. I stanął, jakby rażony piorunem, na widok wsi, płonącej jednym olbrzymim stosem. Klęby dymów czarnemi, gromowemi chmurami przelewały się nad pogorzelskiem. Niekiedy rozgarniał je wiatr, że, jakoby w gorączkowym majaczeniu, roily się ogniste jezory płomieni, rozżarzone rumowiska, szkielety zabudowań i rzędy okopconych kominów. Palily się nawet płoty i sady. Palily się przydrożne topole, dające obraz krwawych żagwi, pozatykanych w ciemnościach. Zasię przyległe pola, okryte dojrzewającym zbożem, stawały się podobne rozdrzanym, czerwonym falom.

Jakieś pobłąkane psy wyły rozpaczliwie po drogach i polach.

Z rozszalałych odmętów pożaru raz po raz biły krwawe fontanny płomieni, dymów i skier.

Rwały się też co chwila czerwone płachty dachów słomianych, jakoby skrzydła bajecznych żarptaków, trzaski padających ścian, złowrogie szumy, dzikie tętenty, a chwilami krótkie, okropne ryki krów zapomnianych w oborach.

Od wschodniej strony dawał się słyszeć daleki a nieustanny grzmot armat. Proboszcz padł pod cmentarnym murem na kolana i jął się pacierza. Jękliwe słowa spływały mu z warg wraz ze strugami palących łez. Targał nim niewypowiedziany żal, nie pozwalający się zebrać na jakieś postanowienie. Strach nim władał i rozpacz zrywała na ratunek, ale ruszyć się z miejsca brakowało mocy, brakowało tchu i przytomności.

Aż wyczerpany bezsilną szarpaniną, skulił się pod murem i, brodząc w łunach przelazwionemi oczyma, modlił się, a chwilami zapadał w drzemkę.

Noc wlekła się strasznie powoli; ciepła była, wilgotna i przejęta gorzkawemi zapachami spalenizny. Ciężkie dymy przysłaniały niebo, a nisko nad ziemią rozwłóczyły się mgliste tumany, niby białawe morze, zrumienione odbłaskami pożogi.

Wieś dopalała się spokojnie aż do fundamentów.

Umilkły ryki krów i rozpaczliwe psie wycia. Złowroga cichość rozpościerała się na rumowiskach, mącona jeno niekiedy hukiem walących

się ścian i kominów. Wieś stawała się już kupą przygasających głowni i popiołów, z których chwilami wytryskiwały oślepiające smugi ognia, lecz w miarę jak się zapadała w coraz głębszą ciemność, jakieś dziwne brzaski rozkwitały na krańcach widnokregu.

Jakby sto krwawych słońc wschodziło naraz nad światem. Z głębin nocy, z czarnych przepaści ciemnic wynosiły się z przerażającą szybkością; czerwone były, ogromne i podobne krzom, wiejącym czerwonymi grzywami.

Gdzie jeno sięgnął okiem, tam krwawiły się luny pożarów.

— Cała moja parafja się pali! — zaczął naraz ksiądz.

Jakoż istotnie paliły się dokoła wszystkie wsie, wszystkie dwory i kościoły. Stawało się coraz widniej i coraz okropniej.

Jakiś dzwon podnosił w ciemnościach niebosiężny głos, wołający ratunku.

Zaś armaty na wschodniej stronie grały daleko, głucho i nieustannie.

A pozatem ani jednego ludzkiego głosu, nic, jeno posepne milczenie grobowego stosu i milczenie osłupiałej rozpaczy.

Wysoki krzyż czerniał przy cmentarnej bramie, na tle zbroczonego pożogą nieba. Ksiądz

pryczołgał się do niego i, wyciągnawszy błagalnie rękę, runął do stóp Ukrzyżowanego z żalonym płaczem i jękiem.

— Miłosierdzia, o Chryste! Miłosierdzia!

Ale nikąd nie zjawiała się pomoc ni zlitowanie.

Požary potęgowały się z minuty na minutę: z równin nieobjętych i z dalekich wzgórz, z dolin i lasów, w każdej stronie i z każdego miejsca triumfalnie powiewały krwawe chorągwie pożogi. Co chwila w innej stronie wybuchały ogniste pióropusze. Straszne, jadowite jęzory krwawiły się z najgłębszych ciemności. Jakieś niewidzialne gardziele zionęły płomieniami. Aż czerwony, piekielny świt okrył struchlałą ziemię i zwycięski hymn zagłady rozśpiewał się w nieskończonościach, pod niebem wzdętem w kształt olbrzymiego namiotu z purpury, złota, czarnych aksamitów i rozmigotanych diamentowych pyłów. Na ziemiach zaś, podobnych wzburzonemu morzu płomieni, jeno tu i owdzie jakieś przyczajone w sadach domy patrzyły trwożnie białemi, okrwawionemi ścianami. Wszystkie strumienie zdały się sphywać żywą krwią. Wszystkie wierzchoły drzew ociekały pożogą...

A niekiedy zrywał się wichur i, uderzywszy niewidzialnemi skrzydłami w pożary, miotał niemi,

rwał słupy ognia, płonące dachy, kłęby dymów i ciskał je w noc, niby płaszcz utkany z rozpadających się gwiazd i słońc.

Strach padał na wszelakie stworzenie; stada wron, wiszących na cmentarnych drzewach i krzyżach zrywały się z ponurem krakaniem, dziko szarpały się przydrożne drzewa, posępnie wyłoby, gwałtownie kolebały się zboża, i wszystko, przejęte nagłą, śmiertelną trwogą, chciało uciekać przed zagładą.

Jeno ksiądz, próżen obaw, ale jakby wszystek w jedną piekącą ranę przemieniony, siedział pod krzyżem w zmartwiałym spokoju. Chwilami lały żalodne i z tej dusznej udręki twarz, niegdyś pełna i rumiana, tężała mu zwolna na tragiczną maskę rozpacz. Płakał nad człowieczą niedolą i z każdym nowym pożarem zamierała w nim jakaś część świadomości. Ta bezlitosna noc, jakby noc sądu ostatecznego, wyżerała w nim czucie i rozumienie.

Nie mógł już pojąć, co się dokoła niego stało. Natomiast czuł coraz okropniej, jako dzieje się jakaś straszna krzywda i że niema już na niebie ani na ziemi żadnego miłosierdzia i litości. I nawet nie pytał: dlaczego?

Nie śmiał. Umarła w nim wiara, zabita nadmiarem człowieczych nieszczęść. Bał się poruszyć

trupa, bał się nawet myśleć o tem, a przytem, nad ranem, pod wpływem znużenia i tych okropności, zaczęło mu się nieco mieszać w głowie. Nie spał, ale był pewien, że to wszystko zły, męczący sen, a co najgorsza, iż, mimo usiłowań, nie mógł się z niego otrząsnąć. Upływały bowiem godziny długie, jak wieki, a ów sen wciąż trwał w całej swojej okropności. Litościwa, upragniona rzeczywistość nie przychodziła z ukojeniem, bo co otworzył oczy, krwawe majaczenia pożarów trwały niezmiennie i ziemia wciąż widniała spowinięta w łuny i dymy, jakoby obraz straszliwego piekła.

— Nieprawda! nieprawda! Okropny sen! — upierał się ksiądz, zaciskając powieki.

I uwierzył, a wkońcu zdało mu się, że jest na plebanji, w swoim łóżku.

Jakieś bezdomne psiska przywlekły się do niego i, tuląc się, a skomląc, pokornie lizały go po rękach i twarzy.

— Burek, wynoś się... Sieroty moje! Sieroty! — szeptał, ogarniając je ramionami.

O pierwszym świcie, kiedy już zbladły pożary i zmętniały ciemności, stado zbłąkanych owiec, nie bacząc na groźne warczenie psów, pokładło się przy nim puszystym, ciepłym kręgiem. Żachnął się niecierpliwie:

— Magda! Co to znowu za figle! Tego już za wiele! Magda!

A nieco później przywłókł się jakiś koń z opalonym bokiem i, obwąchawszy śpiących, zwałił się z jękiem pomiędzy owcami. Nikt mu już tego nie wzbraniał, jeno niekiedy ksiądz rzucał się przez sen, psy skomlały, to beknęła któraś z owiec, i spali już wraz społem jednako nie szczęśni, i bezdomni jednako.

O dobrym dniu przyleciała pod cmentarz Magda wraz z kulawym kościelnym i Frankiem znajdującym. Szukali proboszcza przez całą noc, a Magda, dojrawszy go pod krzyżem, między zwierzętami, załamała ręce z rozpaczu.

— Pomarł czy co! O mój Jezu, jaki bledziutki! Ludzie ratujcie!

Ale nie pomarł i na jej wrzaski otworzył niebieskie, jasne oczy.

— Czego się drzesz? Zaspiałem nieco. Dzwonno, stary, i szykuj do mszy.

Potoczywszy oczyma, zamilkł nagle i spochmurniał, jak ten dzień spowity w sine mgły, zadymiony i ponury. Owce zaczęły beczeć i koń z trudem zbierał się na nogi.

Ksiądz prędko ruszył ku wsi, ale w połowie drogi naraz przystanął.

— Juści, że mnie dręczył paskudny sen! Nic innego! — dodał po namyśle.

Psy szły przy nim. Magda z Frankiem zaganiłi owce, a kościelny ciągnął za grzywę konia i kłął na czem świat stoi, bo się był wzbraniał iść.

— Co to znowu? Ze szkody zajmujecie? — spytał ksiądz, nic jeszcze nie pojmując.

— Trzeba zagnać, bo jeszcze kto ukradnie — uspakajała Magda. — Owce muszą być dworskie, trzydzieści samych matek! A może żołdatom uciekły! Konisko poparzone, ale tęgi i wałach, w sam raz na miejsce naszego.

— Wara ci od cudzego! — zgromił ją, ruszając śpiesznie naprzód.

— Jak niczyje, to mogą być nasze. A upomni się kto, święcie oddam. Franek, pokrako jedna, owce się rozlatują! Jezu Nazarański, patrzcie-no ludzie, a to w rowie jakaś maciora z prosiętami! Maluśkie! Przecież jej tu nie zostawimy...

Ksiądz, pozostawiwszy wszystkich na drodze, śpiesznie pobiegł na plebanję, ukrytą pod wielkimi drzewami, i jakimś cudem ocalała od spalania. Jak się był przedostał przez rumowiska i spalone sady, nigdy sobie nie mógł przypomnieć, dość, że położył się do łóżka i natychmiast zasnął.

Psy roztasowały się na kanapie i fotelach.

Po paru godzinach zbudziła go dosyć energicznie gospodyni.

— Co tam nowego? — spytał, jak zwykle. — Podnieś-no, Magduś, rolety!

— Sodoma i Gomora! Czyste piekło! Nasza wieś spalona do cna! Wólka też spalona. Spalona Dębica! Spalony Majdan! Spalona Dębowa Góra! Kościół w Liszkach też pewnikiem spalony, bo wieży nie widać. Wszystko spalone, a naród pogнали na zatracenie. Jeno nasz dwór i budynki stoją, niewiadomo tylko, co się stało z dziećmi! Mój Boże, niema już miłosierdzia nad człowieczem nasieniem.

— A niema — powtórzył ponuro, siadając na łóżku. — Cicho, nie bluźnij, kobieto — zawołał wystraszony. — Dziej się wola Twoja, Panie! Nic, tylko kara Boska...

— Tyla wsi, tyła ludzi, tyła dobra! I za co to wszystko, za co? Cóż to zawiniły te dzieciątka, cóż to zawiniły te pomarnowane gadziny, cóż to zawiniły te chałupy? — krzyczała coraz groźniej, zaciskając pięści i tocząc zapłakanemi oczyma.

Pobladł na płótno, fala straszliwych przypomnień zalała mu serce i mózg.

— Niechno Bartek dzwoni na sumę, późno już — zdołał wreszcie zaszeptać.

— Dla kogo się to będzie odprawiało? Cała parafja spalona! Może my już ostatnie na świecie! Byłam na wsi. Ani żywej duszy, ani jednego ptaszka, ani jednego całego drzewa, ni płota, nic. Strasznie patrzeć, strasznie!

— Już po jedenastej! Powiedz kościelnemu, niech dzwoni i szykuje do mszy.

— Tyle to pomoże, co umarłemu kadzidło! — wybuchnęła bluźnierczo.

Ksiądz, jakby nie dosłyszawszy, wziął brewjarz i klęknął do rannych pacierzy.

Zaś pokrótce rozległy się chropowate wołania dzwonu. Kościelny, targając sznurem z całej siły, dzwonił w rozbitą kulą działową dzwon, że klekotał głucho, niby pęknięty garnek. Dzwonił długo i raz po raz wyzierał półkolistymi otworami dzwonnicy na wieś i drogi. Juści, że nigdzie nie dojrzał nikogo. Wieś była spowinięta niskimi kłębamii dymów, a drogi leżały puste i mgławce. Dzień się bowiem uczynił zasępiony i pochmurny. Z szarych dymów, rozwłóczących się nad ziemią, wynosiły się tu i owdzie szkielety opalonych drzew, niby czarne pięści, zlorzeczące wszystkiemu światu. Smutek rozdzierał serce. A ta straszna cichość zdawała się zasypywać ziemię mogilnym piaskiem śmierci.

Nie bacząc jednak na wszystko, ksiądz o samem południu wyszedł ze sumą.

Odprawiał ją w podziemiach rozwalonego armatami kościoła, w długiej, niskiej i sklepionej piwnicy, pełnej zestożonych pod ścianami trumien okolicznych panów. Dwa okratowane okienka dawały nieco dziennego brzasku.

Niektóre z trumien już się rozsypywały, na nowych widniały jeszcze powiędłe wieńce i kwiaty, a z dwóch spływały, przecięte wiekami, białe atłasy sukien i welonów. Duszno było w tym śmiertelnym lochu i ciasno. Wilgoć kapłała ze sklepienia. Na ołtarzu, stojącym w szczycie, paliło się parę świec woskowych jakimś widmowem, bolesnym światłem. Kościelny służył do mszy, a Magda z Frankiem klęczeli przed ołtarzem. Psy włóczyły się po kątach, a niekiedy księżę kokoszki zagdakały w okienka, że Franek wylatywał je odganiać. Magda, wielce strapiona i pełna niepokojów, posiąkając nosem, z trwogą patrzyła na proboszcza, który się ślaniał przy ołtarzu i raz wraz wybuchał spazmatycznym płaczem.

— To się psu na budę nie zda i jeszcze mi się jegomość rozchoruje — warczała.

Nie zważał juści, bowiem w tej dusznej rozmowie z Bogiem tak się był zagłębił i tak się jej

wszystek oddawał, że, wyzbyty ze sił, ledwie się przywłókł do domu.

I do nikogo ani przemówił, tylko zaraz po obiedzie, wzięwszy kij, ruszył na wieś.

Cały dom pociągnął za nim. Ale psy, zwierzywszy fetory spalenizny i obwąchawszy pierwszą z brzegu spaloną chałupę, zawyły przeciągle i uciekły. I nie dziwota, bo nawet ludzie długo stali w osłupieniu przed tym obrazem piekielnego zniszczenia. Z kilkudziesięciu bowiem chałup nie pozostało ani jednej; nie pozostał ani jeden sad, ni jedno zabudowanie, ni jeden cały płot i ani jedna topola nade drogą. Wieś przestała istnieć. Jeszcze dymily rumowiska, jeszcze czerwone płomienie lizały niedopalone belki, a czarne kłęby dymów tłukły się rozwichrzonemi łbami wpośród poczerniałych, spalonych sadów. A nad tem wszystkim wynosiły się kominy, niby czarnordzawe szyldwachy stróżujące. Trafiał się tu i owdzie ocalony ogródek, z którego wystrzelały słoneczniki i malwy. A niegdzie palące się kupy nawozów roznosiły tak gryzące dymy, że nie sposób wytrzymać.

Ksiądz jednak, nie cofając się przed niczem, oglądał każdą pogorzel z osobna, medytując, czyby się jeszcze nie dało czego uratować. Niestety, cała wieś była już jedną kupą węgla i popiołów.

Nieszczęście wyło z każdego miejsca. Beznadziejny smutek unosił się nad pogorzelskiem, a potęgowały go niezmiernie stada wron, przeciągające z głuchym krakaniem, i jakoweś ptaki krzyżące, jakby nad popalonymi gniazdami.

Proboszcz, obejrzawszy wszystko akuratnie, poszedł za wieś na wzgórek pod figurę, skąd rozciągał się ogromny widok na pola i najbliższe wsie i dwory. Dzień się był przezierał z mgieł i oparów; zwolna odsłaniały się kręte, srebrzyste strumienie, zielone łąki poznaczone kępami olch, sfalowane pola, nakryte plachtami zbóż, nieruchome, modrawe lasy, dalekie wzgórza, żółcące się łysinami piachów, i kłęby czarnych dymów, pelzających nad spalonymi wioskami, niby grube, błękitem sprężowane liszki.

Zawiał cichy wiatr, pieściwie przegarniając zboża i trawy, że wraz zagadały i złoto-szmaragdowymi falami zaczęły się kołysać, burzyć, mienić i ze słodkim poszumem bić w brzegi głębokich dróg i miedz kwiecistych. Zaśpiewały skowronki a z głębin zbóż odzywały się głosy przepiórek i derkaczy. Powiały nieopisane aromaty, dyszące upojeniem i mocą. Jakieś nieopowiedziane szczęście tak zatargało nagle księżem sercem, że zrobiło mu się słabo i, przysiadłszy nad rowem, łapał powietrze posiniałymi wargami.

Magda natychmiast znalazła się przy nim.

— Co się stało? Niech jegomość wraca i położy się do łóżka, jeszcze przypyta się jaka choroba. Żałocie chałup nie odbudują! — gderała po swojemu.

Odgarnął ją niecierpliwym ruchem. Siadła opodal pod pszeniczną ścianą, on zaś, wcisnąwszy się głębiej plecami w zboże, toczył w podziwiew bławatkowemi oczyma; leciał za stadami rozświerganych wróbli, to za cieniem dziwnie wydłużonych bocianów, nisko płynących. Pszeniczny bór kołysał się nad nim i ciężkie kłosy jakby drażniącemi pocałunkami muskały jego siwą głowę.

Wstrząsnął nim dreszcz dziwnej lubości, nasycając zarazem zbolałą duszę mocą i cichością. Spływała weń błogość i głębokie ukojenie. Pochylał duszę nisko i z pokorą, jakby do stóp jakiejś niepojętej, a czarownej mocy, która tyśiącami nieuchwytnych, tajemniczych szmerów unosiła się coraz potężniej w powietrzu.

Przenikliwy i oszołomiający chór ściszonych głosów, zapachów i barw wrzał zgiełkliwie wśród traw i zbóż. Przeogromny rytm życia bił w całej przyrodzie, niby serce rozkołysanego dzwonu, aż wszystka ziemia zdawała się być nabrzmiąta modlitwą — głęboką modlitwą szczęścia, płynącą nieustającym hymnem upojenia.

Ksiądz w jakiejś chwili wyrwał się z tych czarownych majaczeń.

— Cała parafja spalona i ludzie popędzeni na tułaczkę — zbuntował się nagle — a na świecie jakby się nic nie stało! Wszystko sobie rośnie, żyje i cieszy się! Cóż my, to pasierby? — rzucił wyzywająco. — Skazani na zagładę? — dodał mocniej.

I na żrące myśli, co się tam dzieje z temi tłumami, popędzonymi przez srogie kozactwo, na myśl o tej wojnie straszliwej, krzywdach, ludzkich cierpieniach i śmierci wszechwładnej, znowu gorzko zapłakał i, bezradnie załamując ręce, skarżył się w gorących słowach błagań i politowania nad człowieczą nędzą.

Ale pod wieczór, gdy wyrzało jasne, ciepłe słońce i ziemia przyodziła się, jako święta oblubienica, w złociste welony wesela, gdy już wszystek świat stał się jedną pieśnią triumfującego istnienia, gdyby najmarniejsze źdźbło pokazywało się w chwale życia wielbiącego, gdy, co jeno było na ziemi, niebie i w powietrzu, śpiewało słoneczny chór dziękczynienia, ksiądz porwał się z miejsca, przemieniony nagle i radosny. Otrząsnął się ze smutków. W serce wstąpiło męstwo, wiara przepelniała duszę. Wyprostował się i spromieniał jak to słońce.

— Żem zwątpił na chwilę, moja wielka wina!

— grzmotnął się w piersi — a ja wam powiadam, jako nikomu włos z głowy nie spadnie bez woli Bożej! — wołał donośnie. — Karze, ale i miłuje. Niewiadome są bowiem drogi Jego sprawiedliwości. I powiadam wam, przyjdą jeszcze nowe klęski i nowe nieszczęścia, srogi wróg nie pozostawi kamienia na kamieniu, ni jednego ziarna w komorze, ni ostatniego kęsa chleba. Płacz jeno zostanie w tej krainie, ruiny i śmierć. Ale ufajcie! Przyjdzie godzina zmiłowania. Bóg nas nie opuści, a przez ręce swoich wybranych pobije nieprzyjacioly, wyżenie je precz, na hańbę i zatracenie! I powrócą tułacze do prawiecznych siedzib swoich, odbudują zniszczone gniazda, jako o każdej wiosnie czynią to ptakowie. Nastaną nowe czasy. Przemienie zło, jako przemijają burze i słoty, choroby i cierpienia. I nie będzie już człowiek nastawał na człowieka, jako ten wilk zgłodniały. Zakróluje na świecie sprawiedliwość, i pokój, i braterstwo! Ale powiadam wam, jako w Bogu jeno nasze życie, nasza przyszłość i wieczność nasza.

Wołał coraz ogniściej, jakby tym chmurom, zrumienionym łunami zachodu, jakby tym ptakom, ciągnącym w złocistych zorzach i błękitach, jakby tym drzewom, zasluchanym po miedzach, tym zbożom sennym pacierzem chrześców szepcą-

cych, słońcu, opadającemu za lasy, i Magdzie, srodze zaniepokojonej jego kazaniem, która kręciła coś głową i zuchwale mu przerwała:

— Jegomość, a to pora do domu. Rosa spada i katarzysko gotowe...

Powracał naprzelaj, ścieżką, wydeptaną wskroś zbóż i wiodącą do kościoła. Szedł, ledwie głową wyrastający nad zbożami, powłócząc rozpostartymi dłońmi po nachylonych kłosach. Zdawał się błogosławić każdemu źdźbłu i wraz też biorąc od każdego niewysłowione tchnienie życia.

Ścieżka biegła równolegle ze wsią, jeno nieco wyższymi polami, że wciąż miał na oczach dymiące się jeszcze tu i owdzie pogorzelska.

— Cicho, jak na cmentarzu — westchnął. — I gdzie się to te moje sieroty obracają, gdzie? — zaszeptał, wybiegając oczyma w modrawe dalekości.

Naprzeciw leciał Franek, już zdala wykrzykując:

— Proszę dobrodzieja, dziedzicówna czeka! Dziedzicówna!

Ksiądz, podkasawszy sutannę, poleciał co tchu na plebanję.

W ganku, otoczona psami, siedziała wysoka panna z papierosem w zębach.

— Panna Zosia! Oczom nie chce się wierzyć! Jakimże cudem?

— Powracam prosto z lasów. Gdzie moi rodzice?

— Nie wiem. Od tygodnia nikogo ze dworu nie widziałem — odparł wystraszony.

Panna zerwała się ławki. Młoda była, przystojna i rozrośnięta, w kożuszek krótki przyodziana, w długich butach i gronostajowym kaszkieciku na głowie.

— I ja od tygodnia nie wiedziałam, co się w domu dzieje! Akurat w przeszłą niedzielę, jak tylko bitwa zaczęła się do nas przetaczać, ojciec wyprawił mnie z wozami i inwentarzami do lasów. Siedzieliśmy tam przez cały czas. Wróciłam dopiero dzisiaj w południe. Zastałam dom zrabowany i pusty, dach zerwany, na szczęście czworaki ocalały i budynki, ale w całym folwarku ani jednego człowieka! Myślałam, że może proboszcz co wie. Cóż ja teraz pocznę? — jęknęła; głos miała ochrypnięty, oczy zaognione i gorączka buchała od niej, jak z pieca. — I co się mogło stać z rodzicami? — Strach wyjrzał z jej jasných oczu.

— Napewno to samo, co i z wszystkimi: ogarnęli ich kozacy i popędzili... Ja szczęśliwie uniknąłem ich pazurów. A może panna Zosia głodna?

— Od tygodnia nie jadłam nic gorącego — wyznała ze szczerością.

Rozczulił się tem niezmiernie i zatroskał, ale po długich szeptaniach z Magdą podano na kolację ziemniaki z barszczem, bo nic więcej nie było. Panna jadła bez apetytu i wkrótce odłożyła łyżkę.

— Niedobrze się czuję, głowa mnie boli, mam dreszcze. — Przeciągnęła się sennie.

— Naparzę malin suszonych, jaśnie panienska wypije, prześpi się pod moją pierzyną i do jutra będzie jakby ręką odjął — zawyrokowała Magda.

— Byle prędzej, bo już ledwie patrzę na oczy. No dobrze, napiję się malin, wyśpię się, będę zdrowa, i co z sobą pocznę? Niech mi proboszcz poradzi!

— Znajduję tylko jedną radę: jechać gdzie do krewnych i tam poczekać, dopóki się nie znajdą rodzice.

— A tymczasem Mrozy rozdrapią do ostatka! — szepnęła, mocując się z jakąś myślą.

— I niepodobna temu przeszkodzić! — rozłożył bezradnie ręce. — A tembardziej panna...

— Czemu proboszcz pozostał i nie pozwolił się wypędzić? — spytała porywczo.

— Mój psi obowiązek warować, gdzie mnie postawiono — odparł bez namysłu.

— To i mój jest obowiązek pozostać w Mrozach i ratować je od zniszczenia. Żniwa za pasem, jest trochę dworskich ludzi, prawie wszystkie

inwentarze, a ja miałabym wyjechać na tułaczkę? Ani mi się śni. Co będzie, to będzie, a powracam do domu.

— Sama jedna? Niepodobna! Jakże, to nawet nie wypada! Wojna, pełno wojsk, maruderów! Niebezpieczeństwa i przykrości na każdym kroku. Proszę się zastanowić...

— Proboszcz zajrzy do mnie czasami, a może jeszcze kto pozostał z sąsiadów...

— Wywiała wojna co do jednego; tak mi donosili, że już od tygodnia uciekali na łeb, na szyję do Warszawy! Naturalnie, tam są codziennie świeże bułeczki...

— Może ich siłą przymuszali! Mniejsza z nimi, ale ja zostaję!

Ucałował ją serdecznie, pełen uwielbienia, i odprowadził do saloniku, gdzie już czekało na nią posłanie, dzbanek malinowego wywaru i Magda.

A że nie było czem świecić, to i ksiądz położył się do łóżka i długo rozmyślał o strasznych przeżyciach dni ostatnich, a wkońcu i o panie Zosi.

— Zuch dziewczyna, ale czy sobie da radę?
— z tą troską zasnął.

O dobrym dniu rozbudziły go ciężkie stąpania gospodyni.

— Cóż tam nowego, he?

Tak był pytał codziennie od wielu, wielu lat.

— Słońce świeci, będzie upał — otwarła okna i pokój zalały ptasie świergoty. — Przyszło pięcioro dzieci z Malińca. Odbiły się w drodze od swoich i przywlokły się na plebanję. Utyplane w błocie, jak te psiaki. Niewiadomo co zrobić z niemi.

— Wiadomo: dać im jeść, pomyć i przygarnąć. Gdzież to pójdą sieroty!

— A cóż to im damy jeść? — warknęła groźnie. — Niechże sobie jegomość zapamięta: kawy i herbaty niema już ani na lekarstwo; cukru ledwie coś niecoś; mąki dobrze jak starczy mi na miesiąc! Przyjdzie nam żreć ziemniaki z solą! A tu pięć nowych gąb i takiego drobiazgu! Mam ja to czas myśleć o nich, mam?

Ksiądz nie odzywał się ani słowem, więc, zmiygowawszy się, jęła z innej beczki.

— Od samego świtu znowu słyhać armaty! Pono straszne wojska walą szosą na Warszawę. Chłopi z Dębicy czekają na jegomościa.

— Zaraz wstanę. Moja Magduś, trzebaby pomysleć o śniadaniu dla panienki.

— Niech się jegomość o nią nie turbuje! Wstała o świtaniu, wypila całą doinkę mleka, zjadła pół bochna chleba, skrzyknęła swoje psy i szukaj wiatru w polu! Pewnie już jest w Mro-

zach. Cudak to rzetelny, choć i jaśnie panna. Kiedym jej przekładała, jako takiej dziedzicze nie przystoi wracać między chłopstwo, to wie jegomość, co mi odrzekła? Że tak samo wszy gryzą skórę chłopską, jak i pańską, że jeśli chlopi poradzą w dołach i jamach, o głodnym pysku, warować swojego dobra, to i ona też potrafi, bo wcale nie gorsza! I gadaj tu z takim cudłem!

Aż ręce załamała ze zgrozy.

— Podobna do swojej babki, jak dwie krople wody! — wygrzebywał wspomnienia jakiejś dawno umarłej i, westchnąwszy na jej intencję, porwał się z łóżka.

Po mszy zajrzał do ogromnej, czarnej kuchni, przepelnionej rozkrzyczanym drobiem, bijącym się zajadle o ziarno, szcudrze rozsypane na podłodze, ale cofnął się przed groźną postawą i jadowitym sykiem gąsiorów. Przybłąkane dzieci odszukał dopiero w sieni: siedziały w najciemniejszym kącie, jak popętane ptaki. Nie śmiały nawet głośniej zapłakać. Z kupy podartych łachmanów, zwichrzonych czupryn i zabłoconych twarzy wyzierały trwoźnie zaczerwienione oczy. Najstarszy chłopak miał z dziesięć lat, ojcową czapę i kamizelę, zgrzebne portczyny, niebieskie oczy i policzki opalone na bronz. Rozповідаł urywanie, jakby w gorączce:

— Wszystkich pognali do boru! Ciemno było i jak zaczęli strzylać! Mój Jezu, łyskało się cięgiem i grzmiało, i drzewa waliły się o ziemię, i ludzie krzyczeli, i kule pękały, i żołdacy latały! Matka się kajś zadziała. Bór się zapalił, to uciekalim, uciekalim! A potem spaliśmy we zbożu. I tak się nam jeść chciało! Szukalim naszych: już nikogo nie było. To szliśmy jedną noc, to szliśmy dzień, to szliśmy drugi dzień, a co wieś, to spalona. Napiekiśmy ziemniaków. A do domu nie mogliśmy trafić. Przychodzimy w jedno miejsce i Maryś powiada: „Nasza wieś!“ Nieprawda, bo ani czerwonej karczmy nie było nade drogą, ani wójtowego domu z gankiem, ani naszej chałupy, ani topoli z bocianem, ani nic! Jacyś ludzie zabrali nas i przywieźli.

Rozplakał się na dokończenie, a za nim reszta wybuchnęła spazmatycznym szlochem. I chociaż je ksiądz głaskał i przyhołubiał, płakały tem rzewliwiej, wydzierając się gdzieś lecieć we świat i wypominając matki i ojców.

— Magda, trzeba je ulokować w organistówce i niech kościelny ma o nich staranie. Biedne pi-skłeta! Wypoczną, to prędzej się z niemi dogada, — rozkazał.

Na ganku czekali na niego chłopci z Dębicy. Było ich trzech, różnych wiekiem, wzrostem i po-

stawami, tylko jednako przyodzianych w granatowe kapoty, przepasane czerwonymi pasami. Twarze mieli wygolone i suche, jakby z drzewa wycięte, oczy siwe, jakąś troską świecące, mądre i zarazem podejrzliwe.

Zabierali głos kolejno, wyrzekając na wojnę i straszne czasy. Bo jakże, toć prawie cała okolica spalona i wyludniona ze szczętem, bowiem jednych zagarnęli Moskale, a drudzy uciekli ze strachu przed Niemcem. Psy jeno wyją na zgłiszczach. Dwory też puste, kościoły w gruzach i pola nie sprzątnięte. A jeśli tu i owdzie pozostali jeszcze ludzie, to kryją się po lasach i jamach, jak te tropione zwierzaki. — Koniec świata nastaje czy co? I co z tego wszystkiego wyjdzie? Na czym się to skończy? — pytali, wpierając w księdza umęczone oczy.

Ale proboszcz poczuł, że pod temi wyzalaniami kryją jakąś stokroć cięższą troskę i niepokoje, tylko swoim zwyczajem przystępują do celu zwolna, kołując.

— Jest źle — zakończył Roch Owczarek — ale widzi mi się, będzie gorzej jeszcze.

— Będzie, oj będzie! — przytakiwał sołtys, najwyższy i najstarszy.

— Jak nasz rychło nie powróci, a Miemcy się tu zagospodarują...

— Wszystkimi drogami wałą wojska na Warszawę, ino ich tu patrzeć...

— Opowiadał mi jeden znajomek, co to za naród! Już tam za Łodzią dobrze ich znają. Nowe podatki nakładają, do robót na szosach pędzą, chałupy bielić i drogi zamiatać każą. I choćby najpierwszy gospodarz chodzić musi z paszportem, jak ten pies z klockiem u szyi. A krowy ani konia nie pokaż, bo już nie twoje. I zapisanym papierkiem płacą. Aż skóra cierpnie, co tam wyrabiają!

— A może to wszystko bajki! Bo to ludzie lżą z dobrej woli, a już najgorzej ci, co to na własne oczy widzieli. Prawdaż to, księżę proboszczu? Mamy się to bać?

Ksiądz zakłopotał się srodze, wahając się, zali może pozwolić sobie na szczerość, ale że był gorączka i Moskali nie cierpiał, więc zaczął rozwodzić się dość gorąco, jako teraz właśnie nastaną lepsze czasy. — Nareszcie będzie porządek — prawil — ład, bezpieczeństwo, uczciwość w urządach i sprawiedliwość. Wprawdzie podatki będą większe, ale za to porobią dobre drogi, koleje, szkoły i szpitale. Zapanuje prawo, a niesamowola naczelników, a nawet strażników! — I długo w ten sposób prawil, sam zresztą nie bardzo wierząc w te raje i nie spostrzegając, że chłopci biorą jego słowa za proste cyganienie, bowiem patrzyli

w niego coraz posępniej, aż Roch Owczarek przewał mu dosyć cierpko:

— Nie na chłopskie gęby takie smaki. Wolimy, żeby wszystko było po dawnemu. Prawda, iż naszego pobili raz i drugi, ale wkońcu on pobije, i powróci.

— Nasz? Jaki nasz? Jednyś to z nim wiara, i mową, że ci nasz? — zaperzył się ksiądz.

— Nie jednej mowy ni wiary, ale jemu przysięgli, jemu we wojsku służą nasze chłopaki, to juści, że to nasz cysarz. A drugiego nie chcemy — odparł sołtys z Dębicy.

— A i te, co idą, też nie naszej mowy ni wiary. Też nam nie braty i nie dobrodzieje.

— Bójcie się Boga, przecież Moskal to największy wróg Polski! Mało to nam pozabierał kościołów? Mało to ludzi powiesił? Mało to na Sybir wysłał? Opamiętajcie się, ludzie! — mówił zrozpaczony. — Zbója uważacie za ojca i opiekuna!

— Panowie się buntowali, to ich pokarał! Nie nasza to sprawa. Może i drugim był zbójem, ale dla chłopskiego narodu był dobry i sprawiedliwy. A jakże to było za pańszczyzny, wiadomo każdemu. Wiadomo też choćby dziecku, że grunta darował nam cysarz i od pańskiej swywoli obronił. Myśmy im nie przeciwni, ale wiadomo, jak nas

do dzisiaj uważają! Parszywy Żyd albo jakiś miejski przybłęda większe ma u nich zachowanie, niżli najgodniejszy gospodarz. Nie dziwota, jako niejeden się boi, żeby mu nie odebrali ziemi. Nawet naczelnik przed wyjazdem powiedział wójtowi z Rakowic: „Pilnujcie się chłopie, bo jak się wasi panowie zmówią z Niemcami, to może z wami być źle...“

Ksiądz spróbował zbijać te fałszywe mniemania, na próżno jednak: nie uwierzyli.

— Cudzego nie chcemy, ale swojego i tknąć nie pozwolim — mruknął groźnie Owczarek.

— Panowie mają nas za psi pazur, bo czemuż to do komitetów nigdzie nie dopuścili chłopów! A cóż my to, obce, przybłędy, ten śmieć, który można rozdeptać?

— Tacy my dobrzy, jak i oni — zawarczał sołtys. — Sami chcą rządzić i dla siebie. Do głowy im nawet nie przyjdzie, że nic się stać nie powinno bez naszego przyzwolenia! Oto, co zrobią, bez nas, to pewnikiem na naszą szkodę.

Rozgorzały twarze, oczy zapłonęły zimną zawziętością i w głosach wrzał powstrzymywany gniew. Spokojni byli jednak na pozór, podobni do granitowych kamieni.

— Przyszliście tu odprawiać sądy? — wybuchnął ksiądz, dotknięty już do żywego i za-

gniewany. — To cały kraj we wojnie, w ogniu, krwi i ranach! To tysiące narodu kozacy po-
pędzili nahajami, jak stada bydła, tysiące ty-
siący zdycha z głodu. To pola stratowane, po-
ryte i spustoszone, wsie popalone, gdzie spojrzeć
trup na trupie, nędza i choroby. Powszechna
ruina! Cała Polska jak jedna rana i jeden krzyk
rozpaczy! To nawet niewiadomo, czy jutro wy
sami będziecie mieli dach nad głowami i kawałek
chleba, a wy przychodzicie odprawiać sądy nad
panami, gnębić się, co wam podły carski stupajka
powiedział, swarzyć się i klócić! Gdzie macie
rozum? Ludzie, gdzież wasze sumienia? Zamiast
ciągnąć do kupy, zamiast pomagać jeden dru-
giemu, zamiast bronić się przed wspólnym wro-
giem, który cały kraj przemienia w pustynię, to
wy, w takiej chwili straszliwej, prawujecie się,
o to, co tam było kiedyś, a co już nigdy powrócić
nie może. Naczelnikowi wierzycie! Głupie ba-
rany! Stado ciemne i grzeszne. Wiedźże, jeden
i drugi, że Polska jest twoja, Polska jest moja,
Polska jest panów, bo Polska dla nas wszystkich
najświętszą matką i żywicielką. I wszyscy za-
równo zabiegać o jej dobro jednaką mamy po-
winność. Precz z głupimi porachunkami, a kłó-
tniami! Przyszła pora i psi obowiązek na każdego,
żeby ratował każdą polską duszę, każdy polski

pe, każdą krowinę
ata choćby najmniej-
rodu i Polski. Skar-
li do komitetów! To
Sami bierzcie rządy
e rozumem i troskajcie
Sami stanówcie prawa
Któż jest wam mocen
nie, wszyscy się do was
e troskajcie się o siebie
o Moskali! I któż to tak
i i dobrodziejami? Naj-
czeszki kółek i kas, mądrale
A w cóż się obróciły
abiegi, moje starania, nawet
ajne nauczania?

i przysłonił twarz rękami, ale
się ciężkie łzy.

lat jestem tutaj proboszczem
wili żałośnie. — Znali mnie ojce
, znacie i wy, żem zawsze był
nikogo nie oszwabił i nie utu-
ą krzywdą i, jak umialem, pra-
s. Bóg mi świadkiem i daję wam
słowo, jako wszystko, co mówią
czyzny, to podle łgarstwo. Chcą
sobą pokłócić, żeby brat powstał

na brata, żebyśmy się wzięli za łby, bo wtenczas łatwo nas będzie wytracić i wszystkich przywieść do torby dziadowskiej! O to jedynie chodzi tym, co odeszli, jak i tym, którzy dopiero nadchodzą... bo jedni i drudzy śmiertelni nasi wrogowie. Prawdę wam powiadam szczerą...

Przestał mówić, zmożony wyczerpaniem, chłopci też milczeli, spozierając jeno na siebie i drapiąc się po głowach, aż wreszcie odezwał się pierwszy Owczarek:

— Co innego my chcieli, a zgoła co innego wyszło! — Markotność brzmiała w jego głosie.

— Takie przyszły czasy, że człowiek bele cień gotów brać za strachy...

— Jak jest, to się już wie, ale to nowe niejednemu spać nie daje.

Wyjawiali się zwolna i wkrótce rozmowa potoczyła się znowu, tylko już o najpilniejszych sprawach i bolączkach. Pokazało się bowiem, iż przywiodła ich do proboszcza pocziwa troska o zbiory w popalonych i opustoszałych wsiach.

— Zboża dojrzewają i niesposób dopuścić, aby zostały na polach nie sprzątnięte.

— Z chałupami jeszcze pół biedy, mogą pokopać jamy i tam biedować, jak żołnierze w okopach, ale jeść każdy potrzebuje. A skądże weźmie, jak z pola nie sprzątnie?

— Na żebry wszyscy nie pójda, bo i kto im da, kiedy ludzie ledwie już dyszą.

— Kto tak mówi, ten mi brat i prawy chrześcijanin! — przerwał im radośnie ksiądz.

— Właśnie o tem chcieliśmy z proboszczem poradzić.

— Rada prosta: zrobić żniwa we wsiach opustoszałych, zwieźć w stogi, wymłócić do siewu, zorać i zasiać choćby po trochu. Niewiadomo, kiedy ludzie powrócą.

— Czy aby uredzimy? — zafrasował się nagle sołtys. — Tyle wsi spalonych i bezludnych!

— Trzeba poczekać z tydzień. Myślę, że bardzo wielu ludzi tuła się po lasach i czeka, by trochę ta nawałnica przeszła. Niemało też rozbiegło się po dalszej okolicy. Dwory też mogłyby nam pomóc, cóż, kiedy tylko jedna panna z Mrozów powróciła.

— I siedzi w dworze, nie boi się? No, no! — dziwowali się chłopci.

— Może się pokazać, że i do drugich dworów powrócili dziedzice. Pojadę jutro, przewiem się, zobaczę i wstąpię do miasta. Czas leci, a żniwa, za pasem!

— Już w powiecie ani znaku po urzędach. Nawet kasę zabrali. Zostawili nas, niby te owce na pastwę wilków — narzekał sołtys.

— Uciekli, tem lepiej: ustanowimy swoje urzędy. Nie bójcie się, damy sobie radę i bez tych zbójceckich opiekunów — upewniał ksiądz. — I nasze pieniądze wywieźli.

— Najgorsze, że wypuścili z kreminału wszystkich złodziejów.

— Będzie nam ciepło! Rozlecą się po wsiach, jak te wściekle psy! To nie żarty! Nikt życia pewien nie będzie. Trzeba nam zebrać obronę, ale z kijami to wystąpi?

— Broni po chałupach nie brakuje — szepnął mu do ucha Owczarek. — Chłopaki nanosili. Kupili od żołdatów, albo i nazbierali po polach i okopach.

— Tylko schować ją dobrze i nikomu nie wydawać. Może być potrzebna w niejednej przygodzie. Najlepiej obwinąć w natłuszczone szmaty i zakopać w ziemię.

Pogadali jeszcze na wsiadanem, naznaczając sobie termin zjazdu.

— Mądre to i poczciwe — myślał, patrząc za nimi.

Skręcali właśnie z podwórza na drogę, gdy naraz porwał się za nimi.

— Owczarek! Stójcie-no! — Wóz się zatrzymał. — Może który z was przyniesie mi jaką strzelbinę — szepnął nieśmiało i dziwnie prosząco.

Sam zostałem na pogorzeli, mogą mnie napaść i czemu się będę bronił, brewjarzem?

Obiecali solennie i jeszcze tegoż samego dnia, o zmierzchu, chłopak Owczarków przyniósł mu dwa kawaleryjskie karabiny i paręset nabojów.

Proboszcz schował je do szafy i z pokoju się nie ruszył ani na krok, a dopiero po kolacji, kiedy gospodyni poszła spać, pozapuszczawszy rolety, wyjął karabiny.

Wstrząsnęły nim nagle jakieś błyskawice wspomnień. Uśmiech przedziwnego rozradowania rozkwitnął mu na wargach. Zadygotał wszystek i w skroniach zabiło młotami, kiedy się dotknął zimnej, błyszczącej stali. Palący żar przejął mu serce. Coś nagle w nim powstało i, oślepiając oczy, powiodło duszę w cudny kraj dawno zapomnianej przeszłości. Przebudziła się w nim odległa młodość. Ileż to lat temu? Zapadał w jakieś głębiny i powstawał inny, zgoła przemieniony: tamten, który przed laty uciekał z konwiktu pijarskiego w Wieluniu do powstania, do partji Taczanowskiego. Radość w nim śpiewała i święte wzruszenie, jak wtedy, może w taką samą noc letnią, może w taką samą dzwoniącą ciszę i prawie w takiej samej celi. Zaszumiały mu naraz jakieś bory i nad głową świeciły blade gwiazdy. Do-

gasają ogniska,
śpią, las szemrze

„Hej, orły
zdał się wołać

Pozamykał
świecę postaw
ściany, sutan
sprężony.

Szeregi zw
ramieniu; cz

— Raz,
Krok podwó

sobie i zdał
żony i bac
bębny zło
chotać i

Mró:
rozerwie
nieujar
i rzuc

—

S

hur:

męt

co :

prz

Więc też księżyna szalał: kłuł, mordował, walił kolbą niby cepem, miazdżył, zabijał i, o Boże! zwyciężał. Naprawdę zwyciężał. Wrogowie pierzchali przed jego straszliwymi ciosami, czyniło się jakoś dziwnie cicho i pusto, że z karabinem do ataku biegał dokoła i przyczajony wypatrywał, kogoby jeszcze lubego życia pozbawić.

— Jegomość! A to złodzieje wyłamują okiennice do salonu! Jegomość! Ratunku!

Głos był jakby Magdy, jakieś pięści waliły we drzwi, aż cały dom rozdygotał.

Obejrzał się nieco przytomniej i, dostrzegłszy pusty pokój i meble porozrzucane w dzikim nieładzie, zdmuchnął nagle świecę. Długo medytował w ciemnościach, nim pojął, co się z nim wyrabiało.

— Jezus, Marja! Djabeł siedzi w tym karabinie i djabeł mnie opętał!

Magda, nie doczekawszy się odpowiedzi, a uspokojona ciszą, odeszła z pod drzwi.

— Boże, bądź mi miłościw! — bił się w piersi i kajał. — To zbójcekie narzędzie gotowe pocziwego człowieka przemienić na zbrodniarza. Ty stary ośle, ty! — strofował sam siebie z gniewem i wstydem. — Zachciewa ci się brykać! Zapachniała ci wojenka! Czekałże, ujmę ja ci obroku, wypościsz się, to ci zaraz zmięknie rura! — stro-

fował i groził sobie. — I nie wódź nas na pokuszenie!

Obwinał pośpiesznie karabiny w jakąś serwetę i, pomimo nocy, zaniósł do podziemi kościelnych i tam schował w jakiejś napół spróchniałej trumnie.

Rano Magda podniosła larum, że złodzieje wdarli się na plebanję i w saloniku porozbijali meble, śnać szukając pieniędzy. Ukradli tylko szydełkową serwetę.

— Budziłam, dobijałam się, a jegomość spał, jak zarżnięty! Musiało ich być dużo! Podłoga zdeptana i słychać było latania i wrzaski... Ale którądy weszli?

Ksiądz się z niczem nie zdradził, lecz, aby uniknąć indagacji, zaraz po mszy kazał zaprzęgać i pojechał z kościelnym do miasta.

Poczuł się dziwnie zmęczony, rozbity i niezmiernie zdenerwowany.

— Poganiaj! Nie żałuj bata! Już nie mogę wytrzymać! — wołał zniecierpliwiony.

A dzień był i owszem bardzo cudny i nie nadzbyt gorący, niebo jasne, rozslonecznione i pełne ptasiego świergotu, jeno roztaczający się dokoła widok rozdzierał mu serce. Do miasta było z dziesięć wiorst i wszystkie wsie, leżące nad drogą, okazywały się spalone i rozbite, zaś pola wyglądały

jakby po najstraszliwszym gradzie. Z niektórych pogorzeli jeszcze wydobywały się strugi dymów. Okopy, przerywające pola i żółcące się piachami, podobne się zdawały powypruwanym kiszkom i wnętrznościom. A jeśli dojrzał jaką niespaloną chałupę, to napewno miała zerwany dach, wydarto okna i przetrącony kulami komin. Wojnę znać było na każdym kroku. Miejscami z przydrożnych krzaków lub rumowisk wзираły jakieś upiorne twarze. Na pogorzeliśkach łazili jacyś ludzie wynędzniali, z twarzami widm i obłąkanemi oczami. W jednej wsi, wyciągniętej wzdłuż drogi, a doszczętnie rozbitej granatami, siedziała gromada ludzi, zapatrzona tępo gdzieś przed siebie. Nie odpowiedzieli nawet na „pochwalony.“

Siedzieli martwi, głusi, ślepi, jakby na grobie swoich prac i swojego żywota.

Psy wyły po rumowiskach. Tu i owdzie krowy najspokojniej pasły się w potratowanych zbożach i drób domłócał powalone jęczmiona. Na rozstajach, pod figurami, żółciły się szeregi świeżych mogił żołnierskich.

Rozpacz niememi ustami pustki wyla z każdego miejsca.

Nie lepiej przedstawiało się miasto. Przewalały się przez nie walczące armje, były huragany armat, niszczyły rabunki i pożogi, że leżało w po-

łowie w gruzach. Ocalał tylko rynek i kilka bocznych ulic. Żydzi jęczeli, lamentując na gruzach swoich domów. Na ulicach i placach wały się resztki sprzętów, dachówek, cegieł i przepalonych desek. A tu i owdzie czerwieniły się w słońcu fabryczne kominy, niby potworne pnie sosen okrzęsanych z gałęzi. A przytem te żalosne resztki miasta były przepelnione wojskami. Wszędzie panował nieopisany tłok i wrzawy, entuzjastyczne szwargoty przepelniały powietrze. Na każdym kroku stały armaty, wozy, konie i nastożone kozły karabinów. Pod domami rozkładali się na odpoczynek żołnierze, otoczeni chmurami natrętnego żydostwa. Przy studni na środku rynku, pod anemicznemi kasztanami oprawiano świnie i woły, pozawieszane u gałęzi. Opoдал dy- miły kuchnie pochodowe i roztasowywały się nad- jeżdżające tabory. W pewnej oddali, na szosie, przerzynającej miasto, słyhać było grochoty bębnow, uroczyście grzmiące trąby, przenikliwe grania fletów i ciężkie bicia tysięcy maszerujących nóg. To nowe oddziały ciągnęły od zachodu.

W narożnej cukierni, wychodzącej na rynek i jakimś trafem ocalałej, aż huczało od rozmów, brzęków szabel i ostróg. Na werandzie, ogrodzo- nej zielonym płotkiem przywiedłych bluszczów, siedziało kilkunastu oficerów. Żydowski tłum

trzymał ich jakby w obłęzieniu i, nie bacząc na częste razy kolb i butów żołnierskich, napierał coraz natarczywiej.

Książdz, znalazłszy jakiś wolny kącik w cukierni, kazał sobie dać herbaty i zapomniał o niej, przyglądając się chciwie potężnym postaciom: twarze mieli groźne, spojrzenia wyniosłe i władcze. Moc biła od nich i nieubłagana potęga. Ziemia zdała się uginać pod ich stopami.

— Mocarze! Kto im da radę! — myślał z dziwnie ściśniętym sercem i wyniósł się, jak mógł najostrożniej. Strach w nim zadygotał, pomyślał trwoźnie, że któryś z tych władców może tylko skinąć, a natychmiast powloką go gdzieś pod mur.

Przystanął w jakiejś bocznej uliczce, aby złapać nieco powietrza, ośwładnęły nim jakieś złe przecucia. I zasięgnąwszy języka, że kilku znajomych członków komitetu wyjechało, postanowił natychmiast powracać do domu. Po drodze wstąpił jeszcze na probostwo, nikogo jednak nie zastał; księża poszli na zebranie, odbywające się właśnie w ratuszu. Natomiast ogromny kościół poklasztorny, srodze nadwerężony bombardowaniem, znalazł zatłoczony zbiegami przeróżnego rodzaju.

Na cmentarzu dymiły ognie i rozkładały się wielkie obozowiska. U krat ogrodzenia powiązane

krowy ryczały przeciągle. Na wielkich wozach piętrzyły się całe góry pierzyn, worów, skrzyń i różnego dobra. Płakały dzieci, naszczekiwały psy, nie zbrakło i rozgdakanych kur, zgoła jakby na jakim jarmarku. Ludzie jeno byli jacyś dziwnie cisi, twarze mieli umęczone, smutne i z oczów wyzierała beznadziejna rozpacz. W klasztornych korytarzach również było pełno. Góry tobołów zawały drogę. Nawet w kościelnych nawach roiło się od ludzi. Cisnęli się jeden na drugiego, niby owce w czas burzy. Byli to nieszczęśliwcy z okolicy, uciekający z pola bitew, z pod kul, z pożóg i z pod kozackich nahajek.

Proboszcz znalazł pomiędzy nimi nieco swoich parafjan, którym się udało uciec już z gromad, pędzonych na Wschód. Runęli do niego z płaczem i błaganiami.

— Cóż wam poradzę? Wracać do domów! Choćby na gruzy! Lepiej zdychać na swoich śmieciach. Trzeba ratować, co tam jeszcze pozostało na polach.

I nie mogąc opanować wzruszenia, zatrząpiał rękami i uciekł jak najspieszniej.

Wrócił do domu zgnębiony i chmurny jak noc, a zaledwie się nieco uspokoił, przyszła gospodyni z nowinami:

— W okopie pod cmentarzem leży dwóch ciężko rannych Moskali. Franek ich posłyszał. Skamlali o zmiłowanie. Nie można ich przecież zostawić bez pomocy!

— Jeszcze mi tego brakowało! — jęknął, chwytając się za głowę. — Nie wolno przechowywać nieprzyjaciół, chociażby i rannych. Za taką litość płacą więzieniem.

— I pozwolimy im to zdychać w rowie, jak tym psom?

— Co tu począć? Muszą tam już leżeć od paru dni. Boże kochany, za dużo wali się na moją biedną głowę! Niech Magdzia postąpi, jak uważa. Ja o niczem wiedzieć nie chcę, a nawet i słyszeć. Opatrunki leżą w komodzie. Tylko nikomu ani słówka, nawet pod sekretem, jak to Magdzia potrafi...

— Słyszeliście ludzie? — wybuchnęła żalownie. — To niby ja latam po wsi z wywalonym ozorem i plotki roznoszę! Jegomość na mnie, jak na łysą kobyłę...

— Cicho już, dosyć! — machnął ręką i, porwawszy brewjarz, uciekł do ogrodu.

A potem, następnych dni nie chciał nawet słuchać relacji o stanie rannych i przeniesieniu ich do pustej lodowni. Zresztą mieli się znacznie lepiej.

I wkońcu zapomniał o nich przy tem wszystkim, co się działo dokoła.

Każdy bowiem dzień rodził coraz dotkliwsze troski, niepokoje i trwogi.

Życie stawało się jakimś niepojętym a strasznym koszmarem.

Wypadki toczyły się potężniejącym wirem i z szybkością zawrotną.

Wszystkie okropności wojny zwały się na kraj jakby grobowym kamieniem.

Bitwy, pożogi, zn szczenia tratowały ziemię żelaznemi stopami nieubłagania.

A wojska wciąż szły i szły! Dniami i nocami przewalały się nieprzeliczone armje, płynące wszystkimi drogami na Wschód, jak wzburzone na wiosnę potoki. Słyszać było nieustający ani na mgnienie turkot armat, wozów, tętenty konnicy, warkotania bębnow, głosy trąb i ponuro-triumfalne śpiewania. Zaś w ciche lipcowe noce, rozgwiażdżone i wonne, niebo pokrywało się lunami dalekich pożarów, a w słodkim powietrzu drżały dalekie huki dział i bitewne wrzawy.

A nadomiar pognębienia, coraz trwożliwsze wieści płynęły jakby wraz ze stadami wron i kruków, ciągnących na żer za wojskami. Czasami je szeptał jakiś nieznamy wędrowiec, który zjawiał się na probostwie, niewiadomo skąd i nie-

wiadomo gdzie przepadał. Niekiedy Żyd z miasta przywoził starą gazetę, przepelnioną opisami bitew, pożóg i nieszczęść. To znowu przynosili je ludzie, powracający z samego dna bitewnych piekieł. A co pewien czas przyjeżdżała panna z Mrozów i, naszeptawszy księdzu swoich kłopotów i różnych okropności, uciekała do domu co koń wyskoczy.

Ksiądz wysłuchiwał wszystkiego, trapił się niemało, niekiedy łamał ręce, ale rozpaczy do serca nie dopuszczał, bo i nawet czasu mu na to brakowało, gdyż prawie codzień jacy powracający do swoich siedzib ludzie ściągali na probostwo. I sam też jeździł i chodził po wsiach spalonych, roznosząc pomiędzy nieszczęśliwych żywy sakrament wiary i nadziei. Krzepił, ak mógł. A kto nie miał dachu nad głową i kęsa chleba, tego przygarniał na probostwie, że już wszystkie budynki były przepelnione ku niesłychanemu rozdrażnieniu gospodyni.

Nie słuchał jej wyrzekań i prorocत्व złowróbnych, robił swoje.

I często, jak tylko miał nieco czasu, szedł przed wieczorem na wzgórze za wieś pod figurę, wypatrywać tęsknemi oczyma powrotu ludzi ze swojej wsi.

Ale nikt jeszcze nie powracał, a tygodnie szły za tygodniami. Dnie przechodziły upalne, roz-

żarzone do białości, bez jednej chmurki, przysłonięte kurzawą nieustających przemarszów, ciche i jakby wybrane na żniwa.

I cóż z tego? Nie rozdzwaniały się kosy ni sierpy; nie rozlegały się radosne śpiewki; nie barwiły się wśród zbóż welniaki; nie toczyły się do stodół wozy brzemienne złotą pszenicą. Pola stały puste, obumarłe, do zapomnianych cmentarzysk podobne. Step się z nich uczynił dziki, po którym bezkarnie żerowały nieprzeliczone stada ptactwa i zwierzyny, nadciągających ze wszystkich stron.

A żniwa zapowiadały się dobre i, pomimo kozackich stratowań, dosyć jeszcze pozostało do zbierania; tylko, że nie miał kto żąć, sprzątać i zwozić. Ziarno się już wysypywało z przejrzalnych kłosów, słoma czerniała, zaś kartofle i kapusty zarastały bujnym chwastem. Ten obraz pól, marniejących z dnia na dzień, przejmował księdza coraz większą troską.

— Wróć i zdechną z głodu! — myślał z rozpaczą o wygnańcach. — Cóż oni poczną?

Jeździł po okolicy, błagając o pomoc przy sprzętach. Molestował, jak mógł, i nic nie wskórał, bo wszędzie brakowało ludzi, koni i wozów: zabrała je wojna.

Musiał też patrzeć z zaciętymi zębami, jak niektóre oddziały wydeptywały sobie krótsze

drogi naprzelaj zbóż najlepszych, jak konie taborów pasły się w pszenicach i jak obozowe ciury wysiekały całe łąny na podściół i wymaszczanie wozów.

Za pierwszym razem poleciał bronić i protestować, ale dostał taką odprawę, że gospodyni musiała go przez trzy dni ratować smarowaniem i okładami. Więc już nie protestował, jeno, patrząc na to, co wyrabiają, przeżywał w sobie bezsilny gniew i kary boskiej wzywał.

Któregoś dnia sierpniowego, gdy tak siedział na wzgórzu pod figurą, jak zawsze tęsknie wypatrując, czy kto nie powraca z wygnańców, dośłyszał naraz turkoty.

Jakiś wóz toczył się w tumanach kurzawy traktem od szosy i lasów.

Porwał się wyczekująco z zapartym tchem i z oczyma wbitemi w kurzawę.

Nadciągał wóz pod płócienną budą, zaprzęgnięty w cztery liche szkapy.

— W imię Ojca! Dziedzic z Dębicy! Czy mnie aby nie zwodzą oczy?

Wóz przystanął i wyjrzał z pod budy siwy pan, a za nim cisnęły się twarze kobiet.

— Niech będzie pochwalony! Jakże się ma ksiądz dobrodziej? Droga już wolna, wracamy do

chałupy. Nie wie ksiądz, zostało jeszcze co z Dębicy? Warszawa zajęta!

— Warszawa wolna, Moskale wypędzeni! Chwała ci, Panie! No, i jakże tam teraz?

— Pomienił się stryjek siekierkę na kijek. Krwawemi łzami płaczą na tę wolność.

— Na wojnie, jak na wojnie! Nastaną czasy pokoju i wszystko na dobre się obróci.

— Już właśnie nastaly te czasy porządku i sprawiedliwości, bo mi w drodze zarekwirowali cztery konie i wóz z siewnem ziarnem. Niech to pioruny trzasną takie czasy!

Cofnął się pod budę i odjechał bez pożegnania.

— Droższy mu koń, niżli sprawa publiczna! Tak zawsze bywało! Prywata i prywata! — rozmyślał, powracając do domu; struty był jednak i głęboko zaniepokojony. A ledwie zasiadł do kolacji, kiedy mu powiedziano, że powróciła Skowronowa.

Wybiegł na ganek. Siedziała tam na progu jakaś zbiedzona kobieta z dzieckiem.

— Skowronowa! Skądże powracacie? Gdzież Skowron? Gdzież reszta naszych ludzi?

Kobieta podniosła wyplakane oczy i głosem jakby z głębi grobu zaszepiała:

— A bo ja wiem, gdzie mój? a bo ja wiem, gdzie nasi? a bo ja wiem, skąd idę? Tyle jeno

miarkuję, jakom wróciła na swoją ziemię i tutaj złożę kości.

Ani jedna łza nie stoczyła się z jej zgorączkowanych oczu, nie potrafiła już nawet zapłakać. Wynędzniała była, niby szkielet, przeżarta niedolą i śmiertelnie zmęczona.

— Gdzieśmy byli, którądyśmy szli, jakeśmy żyli przez ten czas, człowiek tego nie wypowie! Pędzili nas przez jakieś bory, przez jakieś miasta i pędzili dniami i nocami. Czasem dawali jeść, a czasami głód skręcał kiszki, że ludzie żarli surowe ziemniaki, jak świnie. A i o to było niełatwo, boć nas było tysiące. Uciekać nie było sposobu, bo pilnowali kozacy, a wojna goniła za nami. Jak przyszły zimne noce, to i choroby rzuciły się na dzieci. Umarło mi moje najmłodsze. Chciałam je na cmentarz, nie było czasu, przynaglali nahajami! Pochowałam je gdzieś pod figurą nade drogą. Powędrowaliśmy dalej do jakowychś ogromnych borów. Powiedzieli, że zostaniemy tam parę dni. Nie dali nam długo odpoczywać, bo cośmy jeno rozpalili ognie, zatrajkotały te ich piekielne maszyny. Bili się zaraz pod lasem. Zwyczajna to była rzecz i mój też powiedział: „Nie bój się, Maryś, przejdzie bokami. Nasi ich odpędzą.“ I położył się na wozie ze starszemi dziećmi, a ja z dwojgiem zostałam przy ogniu.

— Jakoż pokrótce przycichło, — ciągnęła dalej Skowronowa — ludzie się pospali, ogniska przygasły. Naraz jakby się wszystek świat walił na głowy! Jak nie zagrzmią armaty, jak nie zaczną bić kule, a pękać, a kaleczyć, a zabijać! Naród w krzyk i lament! Sądny dzień nastał. Ratuuj się, kto w Boga wierzy! Zdeptali ognie i każdy w swoją stronę. Złapałam dzieci i w nogi, gdzie mnie same poniesły. Mój się gdzieś zapodział i tyłem go widział. Całą noc tłukłam się po lesie. Kule były, niby ten grad ognisty, niby ta zawieja piorunów. Najtęższe sosny łamały się, jak patyki. Niewiadomo było gdzie uciekać! I niewiadomo, gdzie się pogubili ludzie. Jeny dwie wystrachane sarny stowarzyszyły się ze mną i już razem uciekałam i uciekałam! Dopiero na świtanie wyszłam na jakieś pola i akuratnie na niemieckich żołdaków. Szli jakby oblawą prosto na nas i strzelali. Zawróciłam za drzewa. Było już za późno: chłopak mi coś stęknął i padł. Patrząc, krew mu się leje z głowiny, oczkami przewraca i duszę oddaje... Pazurami wygrzebałam grób gdzieś nade drogą i pochowałam.

Przycichła, półuśmiech okręcił jej sine wargi, twarz stała się jakby wodną gładzią, przez którą przelatywały odbicia chmur posępnych.

— Owinęłam go w zielone zboże i rzekłam na ostatku...

— Komuście rzekli? — spytał mimowoli ksiądz, poruszony jej dziwną przemianą.

— A synaczkowi rzekłam: „Poskarż się, sieroto, Jezusowi, poskarż się!”

Zatargąła się w sobie i, spiąwszy groźnie brwi, zajęczała płaczliwie.

— Pan Jezus niewinnego dzieciątka wysłucha. Jakże, takie zabójstwa i takie krzywdy zostawiłby bez pokarania!

Rozsrożyła się nagle, obłęd zamigotał jej w oczach i gniew straszliwy ją przejął.

— Sądu i kary wołam na świat! Sprawiedliwości wołam!

Głos jej zagrzemiał niezmierną mocą i podnosił się z niesłychaną potęgą grozy. Zdała się być w tej chwili zjawionym obrazem wszystkiej krzywdy człowieczej.

Ksiądz przerażony uciekł do swego pokoju.

Skowronowa, uspokoiwszy się wkrótce, zapadła w stan dziwnej apatji. Nie odpowiadała już na żadne pytania, zjadła łapczywie kolację i nie chciała położyć się spać; zostawili ją na noc pod kominem, bezmyślnie zapatrzoną w dogasające węgle.

Ale nazajutrz o świtaniu już jej na plebanji nie było.

Znaleźli ją na wsi: błąkała się po zgliszczach i spalonych sadach.

— Gdzie moja chałupa? — spytała księdza, który poszedł się z nią rozmówić.

— Spalili ją kozacy. Jakto, nie pamiętacie? — zdziwił się i wystraszył jej głosem.

Usiłowała sobie coś przypomnieć i nie potrafiła, bo rozjęczała się płaczliwie.

— Przecież tu gdzieś być musi! Dobrze pamiętam; juści, dach nad sionką zaciekał. Obora prawie nowa, stodoła, trzy krowy, koń. I kajże się to podziało? Pomroka wlaźła mi na oczy, czy co? Ludzie, gdzie moja chałupa? — zaczęła krzyczeć i, porwawszy na ręce dziecko, poleciała pomiędzy rumowiska. Zatrzymywała się tu i owdzie, biegła w pola, zachodziła na łąki, wystawała na drodze i szukała wciąż; szukała całymi dniami gorączkowo, obłądnie, niezmordowanie.

Ksiądz, napłakawszy się nad nieszczęśliwą, pociągnął za wieś na wzgórze, wypatrywać powrotu wygnańców. I prawie tak samo obłądnie, uparcie i niezmordowanie wypatrywał z dnia na dzień. I tak samo wypatrywał napróżno.

Przechodziły dni, mijały tygodnie i całe miesiące.

Armaty ucichły, przemarsze ustały i wojna przetoczyła się na wschód daleki.

Już mżyły zimne deszcze, hulały wichry i szły noce nieskończenie długie, posępne i niby psy rozskowytane. Późna jesień odarła z kraszy ziemię i, przyodziawszy się w lachmany mogił, dygotała po polach i drogach, jako bezdomna żebraczka.

Po wsiach, pod bielonemi strzechami chat przywartych do ziemi, ta jesień wojny ciężko dawała się we znaki. Wszędzie panowała nędza i dręcząca troska wyjadała serca, bowiem czego nie strawiły pożary i co oszczędziły bitwy, to zagarniać jęły drapieżne pazury rekwizycji. Gęste patrole snuły się po wszystkich wsiach i drogach, a rozmiękłemi drogami, jednako w pluchy czy pogody, toczyły się nieskończone szeregi wozów wyładowanych i zbrojną eskortą opatrzonych.

Wstrząsające płacze i krzyki żegnały ostatnie krowiny, wyciągane z obórek.

Niejeden chłopski łeb padał rozwalony w obronie ostatniej garści ziarna.

I niejednego w kajdanach pędzono do więzienia i pod kule.

Jesienne, mgłami omotane pola łkały echami płaczów i rozpaczy.

Nienawiść rozrastała się w każdym sercu, doprowadzając niejednego do szaleństwa.

Proboszcz codziennie patrzył na te wozy, jadące przez wieś spaloną, ku szosie.

Jechały wesoło wśród śmiechów żoldactwa, polysku bagnetów i parskania ciężkich koni.

I często również widział, jak Skowronowa, już zupełnie oszalała, zjawiała się na drodze i, zastępując drogę wozom, zaczynała wrzeszczeć nieludzkim głosem:

— Loboga! dyć moje krowy więżą! Złodzieje! Ludzie, ratujcie! Oddajta moje! Oddajta! Wszystko mi zabrali! Oddajta! — Rzuciała się na eskortę, drąc pazurami, bijąc kamieniami, błotem i czem tylko mogła.

Odpowiadały jej kolby, buty, pięści i drwiący dziki śmiech, że potem godzinami leżała w błocie posiniaczona, sponiewierana i nieprzytomna.

Takie właśnie sceny i znęcanie się nad niešťczęśliwą doprowadziły proboszcza któregoś dnia do takiej pasji, że, wydostawszy z trumny karabin, przyczał się za węglem kościoła i jął drżącymi rękami brać na cel jednego z eskortujących wozy.

Na szczęście, nim zdążył strzelić, stanęła przy nim panna z Mrozów.

— Jezus, Marja! Co ksiądz wyrabia? Niemile księdzu życie, czy co?

— A niemile — szepnął, wspierając się o mur kościoła. — Nie mogę już patrzeć! Ostatniego konia wyprowadzają! Kozuchy chłopom ściągają

z pleców. Ludzi łapią i wywożą. Na każdym kroku gwałt, rabunek i przemoc! — skarżył się zrozpaczony.

— Mnie wczoraj zabrali pościel i meble! I nie ma tygodnia, żeby mi czegoś nie rekwirowali. Oganiem się, jak przed wilkami. Chcą mi obrzydzić życie i przymusić do oddania Mrozów w administrację. Ale nie ustąpię i, psiakrew, przetrzymam.

Zakłęła w nagłej irytacji. Zaprosił ją na plebanję i długo wypytywał o różne szczegóły, ale na odchodnym, odciągawszy ją na stronę, szepnął błagalnie:

— Zabierz moje karabiny i utop w stawie. Boję się, że mogą mnie przywieść do grzechu.

I oddawał je nie bez głuchego żalu, jakby najmilszej rzeczy się wyrzekał.

Po odjeździe panny Zosi poszedł odszukać Skowronową. Zniknęła gdzieś, jak kamień w wodzie. Dopiero w kilka dni później zjawiała się na plebanji, lecz tak czysta, ochędźnie ubrana i przytomna, że ledwie ją poznał.

— Chwała Bogu, że wam się przemieniło na lepsze! — mówił wielce uradowany.

— A bo chciałam powiedzieć dobrodziejowi, jako był u mnie w nocy Pietruś...

— Pietruś? Skądże się wziął? Któż to taki? Przymiędzy trochę — zapraszał.

— Toć mój synaczek drogi, com go pochowała! Przyszedł i powiada: „Matulu, dzień sądu nadchodzi! Kto winien, będzie pokarany! Sam Pan Jezus zejdzie na świat sądzić żywe i umarłe! Sam będzie wymierzał sprawiedliwość! A straszna będzie dla uciemężycieli! I ni jedna człowiecza krzywda nie zostanie bez pokarania! Ni jedna!“

10-go października 1918 roku.

ECHA

Armaty przycichły i z głębi ciemnej izby zabrzmiał wylękły, drżący głos.

— Naprawdę, widziałeś, jak ojciec uciekał?

— Mówiłem już mamie.

— I nie strzelali za nim?

— Ciemno było, tłok i rozbijali tylko kolbami, — odpowiadał ktoś niechętnie.

— Gdzie się pali? Ogień jakby coraz większy.

— Rynek. Niemcy chodzą od domu do domu, oblewają naftą i podpalają.

— Jezu, zginie całe miasto! — załkał głos z ciemności. — I my wszyscy zginiemy!

Jakby w odpowiedzi, zaczęły znowu bić armaty.

Gdzieś wysoko, w ciemnościach wyły stada przelatujących kul.

Mały parterowy domek rozdygotał się aż do fundamentów; trzaskały drzwi, jakby poruszane niewidzialną ręką, rozwalał się piec, ze ścian zlatywały z brzękiem obrazy, przewracały się sprzęty

i wylatywały resztki szyb. W izbie duszno było od wapiennego kurzu odpadających tynków i ciemno, bo jeno przez zawarte okiennice sączyły się krwawe brzaski niedalekich pożarów. W jednym z kątów, przed złocistym obrazem Częstochowskiej, ustawionym na podłodze, tliła się jeszcze olejna lampka. W głębi z kupy barłogów roznosiły się nieustające szlochy dzieci, a w przerwach grzmotów i wycia dział wybuchały rozpaczliwe błagania.

— Boję się! Mamusiu, boję się!

Ale huk armat znowu przygłuszał te lamenty bezbronnych piskląt, domek się szarpał, chwiał w różne strony i, trzeszcząc złowrogo, dawał pozór jakoby okrętu porwanego przez huragany; okrętu skazanego na zatracenie.

Matka uspokajała, jak mogła, nie pomogło, płakały coraz żałośniej.

— Cicho dzieci, śpijcie, zaraz przestanie grzmieć, nie odejdę was robaki kochane, nie bójcie się. Jak ojciec przyjdzie, pójdziemy do ciotki na gruszki. Józiu, wyrzyj-no, czy ojciec nie powraca!

Chłopiec wyszedł bez słowa i jakby pijany zatoczył się na ścianę. Wiedział, że ojciec powrócić nie może. Przed paru godzinami, o zmierzchu rozstrzelali go Niemcy! Własnymi oczami patrzył

na jego śmierć. Miał jeszcze ręce powalane jego krwią. Żołdackie kolby i bagnety odpędziły go od trupa. Przyleciał do domu z tą wieścią i coś wyższego nad jego pojęcie i wolę przymusiło go do kłamstwa przed matką. Przyleciał pełen straszliwego krzyku, lecz, dojrzawszy jej twarz udreżoną niepokojem, nie potrafił już wyznać przed nią. Gotów był sam umrzeć, niżli przyczynić jej tej nowej i strasznej bolesti. Zawarł się w sobie i milczał. Miał dopiero lat czternaście, ale te dni wojny i śmierć ojca uczyniły mu duszę starą, jak świat, jak ból, jak ludzkość. Patrzył na wszystko jakby w coraz głębiej zapadającej się otchłani, że nawet nie czuł już żadnych obaw ni trwóg. Dusza mu skamieniała na bryłę zlodowaciałych łąz.

Siedział czas jakiś pod ścianą, bezmyślnie zpatrzonej w pożary i kłęby dymów. A miasto umierało; jakieś potworne dzioby, kujące bezustannie w ciemnościach, rozszarpywały je na strzępy. Posępne skrzydła dymów przysłaśniały walkę i pożogi. Domek stał za rogatkami, przywarty szczytem do cmentarnego wzgórza, na którym dziko szumiały ogromne drzewa i bielilo się tysiące krzyżów. Szeroka ulica prowadziła do miasta, leżącego nieco niżej: pędziły nią automobile, maszerowały wojska, toczyły się działa i przelatowała konnica, zaś niekiedy gromady

ludzi z obłąkanym wrzaskiem uciekały w pola, w ciemność, pod płoty i w rowy przed gradem kul świszczących na wszystkie strony.

Chłopiec, posiedziawszy dłuższą chwilę na dworze, powrócił do mieszkania.

— Cóż, nie widać? A może po drodze wstąpił do znajomych? — pytała matka.

— Miał zajrzeć do stryja... — wspominał nawet. — Pewnie tam zostanie na noc.

— I nasby samych zostawił w taką straszną noc? Tylko go patrzeć, pewnie wróci łąkami, trochę dalej, ale bezpieczniej. Przecież się tam nie biją, co?

Józio pod jakimś pozorem uciekł przed dom, bał się w rozmowie zdradzić.

Armaty były coraz rzadziej i pociski niby meteory przelatywały w ciemnościach. Gdzieś w nocy gdakały ohydnie kartaczownice z monotonnym uporem i trzeszczały karabinowe salwy. Słyszać było plusk kul, uderzających w cmentarne drzewa i gontowe dachy. Bitwa zdawała się już przy-
cichać, natomiast pożary wzmagały się z minuty na minutę. Miasto stawało się podobne do płonącego stosu, spowiniętego w czarne kłębowiska dymów, że tylko niekiedy odsłaniały się głębie ulic niby krwawe rany, pełne straszliwej grozy walących się domów, zapadających się dachów

i ulewy cegieł. A z tego piekła, ponad szумы ognia i trzaski, ponad ryki armat i świsty kul, wydierał się potworny krzyk człowieczy! Szlochy i płacze zdawały się wybuchać z wnętrza samej ziemi. Naraz okropny grzmot rozdarł powietrze tak blisko, że Józio uderzył o ścianę, odbił się od niej i potoczył do przydrożnego rowu.

Oprzytomniał dopiero na świtaniu i ledwie się zebrał na nogi.

Z domu pozostała jeno kupa połamanych ścian i dachów, a z pod rumowisk wydobywały się jakieś konające jęki.

Rzucił się na ratunek. Nadarmo jednak poszły wszystkie jego rozpaczliwe wysiłki; nadarmo krwawił ręce i padał z wyczerpania, nie poradził się przedostać.

Poleciał szukać ratunku u sąsiadów, ale domy stały puste i zrabowane.

Błagał, zebrał zmiłowania i skamlał u nóg każdego przechodnia o pomoc, bo jęki stawały się coraz cichsze i jakby coraz dalsze, aż wkońcu zupełnie umilkły. Zrozumiawszy, że wszystko skończone, padł bez sił, bez myśli i bez czucia.

Dzień się podniósł słoneczny, zadymiony jeno i pelen swędu spalenizny.

Miasto paliło się jeszcze, lecz bitwa już była skończona.

Dobrze już po wschodzie, na drodze zagrzmiała kapela i w tumanach kurzawy jęła się ukazywać maszerująca kolumna. Muzyka huczała coraz mocniej i triumfalniej, a wraz też zadygotała ziemia od kroków tysięcy. Zalśnił w słońcu nieprzejrany las bagnetów, rozpały się złociste pikelhauby, świeciły wypasione gęby i zajaśniały dzikie, okrutne oczy. Na wspaniałym gniadoszu jechał oficer i w jakiejś chwili, przed rogatką, dał znak i potężny chór głosów uderzył w niebo.

Parli się naprzód w ulice płonącego miasta, niby rzeka potężna, groźnie wezbrana mocą i wszystko po drodze druzgocąca.

Józio porwał się nagle, krew oblała mu twarz i serce przejęła takas traszliwa dzika nienawiść, że, porwawszy kawał cegły, trzasnął nią w łeb oficera.

— Masz za wszystkich, ty psie wściekły! — zakrzyczał nieprzytomnie.

Oficer zachwiał się w siodle, ale w tej chwili sto bagnetów, sto kolb i sto obcasów spadło niby huragan na zuchwalca.

Popłynęli dalej z triumfalnym śpiewem i muzyką, jeno przy drodze pozostała bezkształtna kupa ciała, z której wynosiła się tylko pięść groźnie zaciśnięta.

28-go listopada 1918 roku.

SKAZANIEC Nr. 437.

Maryś, zobacz-no, czy się tam kto nie wałęsa?
— zabrzmiał rozkaz z komory.

Kobieta, podsiewająca grubą razową mąkę nad płachtą rozpostartą pod kominem, odłożyła sito i, podniósłszy się z trudem z racji brzemienności, wyjrzała przed dom.

Było bardzo wczesnie i jeszcze dzień nie dawał żadnego znaku o sobie.

Śnieg padał suchy i gęsty, o kilka kroków niepodobna było nic rozeznąć. Wszelaki kształt rozwiewał się w białawych tumanach. Wieś zaledwie majaczyła w śnieżnej ulewie. Wszystko grażyło się w tej rozdrzanej, sypkiej, białej topieli. Olbrzymie przydrożne sokory wynosiły się ku niebu, jakby smugami strzępiastych, nikłych dymów. Powietrze stało bez ruchu i śnieg opadał równo, gęsto, nieustannie, a bez szelestu. Nie drgnęła ani jedna gałązka. Już nie dojrzał nigdzie płotów, dróg ni zagonów, nieba ni ziemi. Wszystek świat stawał się niepojętem, białem widzeniem, w któ-

rem jeno tu i owdzie, jakby przyczajone wilcze ślepia, migotały światelka chat. Czasem też przewiał w śnieżycy jakiś zbłąkany głos, niewiadomo skąd lecący. I koguty zaczynały pisać.

— Nigdzie żywego ducha — oznajmiła i, dorzuciwszy drewek na ogień, zabrała się z powrotem do roboty. — Nawet w opłotkach śniegu po pas, sypie i sypie — dodała.

— Folguje sobie Pan Jezus. Sroga zima, najstarsi takiej nie pamiętają.

Umilkli, jeno w komorze zaturkotały żarna, gwałtownie obracane.

— W gazecie pisali, jako wilki już całemi stadami podchodzą gdzieś do wsi.

— Wilki byle czem odpędzi, ale żeby tak napisali sposób na Niemców!

— Na taki czas i po nocy przecież nie przyjadą — uspokajała.

— Właśnie to pora najlepsza dla złodziejów. A jak to było w Zamościu? W taką samą zamieć i nad ranem wieś napadli i do cna ją obrabowali...

— W imię Ojca i Syna, byś nie wyrzekł w złej godzinie — przeżegnała się prędko.

Na kominie buchnęły nagle płomienie wesoło trzaskające i złocistymi brzaskami wypełniły całą izbę; zagrały rzędy obrazów na bielonych ścianach

i szyby zahaftowane srebrzystymi różgami mrozu. Izba pokazała się duża i niska, przygniatały ją poczerniałe belki, upstrzone kolorowemi wycinankami z papieru. Widniało też sporo sprzętu i niebylejakiego. Dwa łóżka piętrzyły się stosami pierzyn i poduszek. Między oknami stół dźwigał lampę z białym kloszem i sporo książek.

Tkacki warsztat brał miejsce pod oknem, a na nim prawie skończony wełniak ciągnął oczy pasami barw, niby rozwiniętą tęczą migocących. Były i police pełne talerzy i misek. I po kątach parę skrzyń suto malowanych w kwiaty. I sporo przeróżnego dobra, świadczącego o zamożności.

— To żydowska sprawka — zabrzmiał znowu głos z komory. — Oni zapanbrat z Niemcami. Jednakowo szwargocą, to się wnet zwąchali na naszą zgubę. Psia ich mać!

Zaklął siarczyście i w złości puścił żarna z taką mocą, że iskry posypały się z pod kamieni. Pracował zawzięcie i śpiesznie, jeno niekiedy ukazując na izbie swoją twarz umączoną. Zapalał wtedy papierosa, pomagał żonie odsianą mąkę zsypywać do worka i, nieco wytchnawszy, powracał do roboty.

— Słyszane to rzeczy, żeby kryć się ze swoim, jak złodziej! — rzekł w jakiejś chwili. — Żebym ja musiał własne żyto mleć ukradkiem i po nocy! A psie krwie!

— Aż dziwno, że takie na wszystko te Niemcy chciwe i łakome — zauważyła.

— Cudze tak im smakuje! Że to niema kary na tych zbójów!

— Cicho, Adam, jeszcze kto posłyszysz i doniesie — ostrzegła.

— A to już człowiek ledwie utrzyma, co ma na języku!

— Słowem nie poredzi naprzeciw takiej mocy.

— Niechby tylko zawołali, a pierwszybym ruszył na tych zbójów.

Srożył się coraz namiętniej na wspominki niemieckich gwałtów i złodziejstw.

— Człowiecza krzywda jeszcze nikomu na zdrowie nie poszła — dogadywała z głębokim przeświadczeniem. — Nie minie ich kara Boska, zobaczysz!

— Nim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje! — mruknął posepnie. — A co nam zabrali zboża, bydła, ziemniaków i pieniędzy, to któż nam powróci, kto?

— Juści, że wilkowi z gardzieli nie wydrze. Żeby się udławili naszą krzywdą!

— Dopóki się tych wściekłych psów nie wytępi co do nogi, nie będzie sprawiedliwości.

Pogadywali, nie przestając pracować. Dopiero kiedy dzień zajrzał przez zamarznięte szyby

do izby, Adam skończył mielenie; żarna schował w stodole, mąkę gdzieś pod strzechą na górze i, otrzepawszy kożuch, zabrał się do obrządzania gospodarstwa.

Tymczasem na świecie uczyniła się odmiana, bo równo ze świtem przestał padać śnieg, a zaczął szczypać niezgorszy mrozik.

Dzień się podnosił modrawy, zaś kiedy słońce czerwoną tarczą ukazało się z poza borów, ziemia stanęła w płomiennych skrzeniach i olśniewających białościach. Wieś też zawrzała nagle gwarem i ruchem. Ze śnieżnych kopiec i grobel jęły bić w niebo granatowe, kłębiaste słupy dymów, porykiwania, gęgoty, skrzypy wierzej i studziennych żórawi, naszczekiwania psów, Zaroily się drogi i obejścia. Przekopywano przejścia między domami; odwalano poniektóre chałupy, zasypane po strzechy. Już niegdzie po stodołach rozległy się głuche bicia cepów. Jakaś dziwna radość przejmowała serca, że w rozslonecznionem, mroźnem powietrzu rozbrzęczały się donośnie wesołe głosy i śmiechy. Już gdzieś pomimo mrozu zrywała się piosenka. Kobiety wołały do siebie wskroś zasypanych sadów. Jakieś nabożne kумы, okutane chustami, w męzowskich butach, przebiebrały się do kościoła.

Właśnie sygnaturka zaczynała zwolywać na

mszę, kiedy Maryś, omaściwszy otrębami picie dla krowy, próbowała dźwignąć z ziemi ciężką cebratkę.

— Postaw, jeszcze się podźwigasz, sam zaniesię — powstrzymał ją chłop.

— Ale przypilnuj, żeby nie wylała na ziemię! Kurom podrzucę ziarna i wnet przyjdę.

— Nie wychodź, póki śniegu nie przekopię. Już ja wszystko zrobię za ciebie, moje ty klejnoty! — objął ją i, pocałowawszy w poźółkły, zmizerowany policzek, wyszedł z cebratką.

— Że już lepszego niema na wszystkim świecie — szepnęła, goniąc za nim wdzięcznymi oczyma. — A może teraz Pan Jezus ulituje się nade mną — westchnęła, spoglądając błagalnie na święte obrazy. — Żeby jeno nie pomarło, jak tamte — myślała trwożnie.

Bowiem nie wiodły im się dzieci, już byli pochowali dwoje. Młodzi byli, dorodni, zdrowi, zamożni, boć siedzieli na dwudziestu morgach, a tylko w tem jednym jakoś im Pan Bóg nie błogosławił. I to ich okrutnie trapiło. Więc też obecnie, ponieważ Maryś była już w ostatnich tygodniach ciąży, Adam czuwał nad nią niczem kokosz nad pisklętami. Wszystkie kumy dworowały z niego, ale, puszczając mimo uszu wszelkie przekpiwania, wszystko robił za żonę i, jak

mógł, wyręczał. I dzisiaj było to samo, bo nie tylko napoił krowę i wydoił ją, lecz również dał żarcie świniom i gęsi wypuścił na świat, że z głośnym gęganiem, brodząc w śniegach, leciały pod chałupę. Zabrał się wkońcu do rąbania drzewa, gdy zawołała go żona na śniadanie. Jakoż w izbie już pachniała przysmażana słonina i na szerokiej ławie przed kominem smakowicie parowały ziemniaki i barszcz, bochen chleba leżał pobok.

Jakiś czas pojadali w milczeniu, jeno na skrzybot łyżek o wręby mich wysunęły się z komory pstrokate króle, hycając po izbie w śmiesznych podskokach, zaś co zmyślniejsze stawały słupka przed gospodarzami, strzygąc uszami i wąsami.

— Ta stara lada dzień się okoci, już brzuchem włóczy po ziemi — zauważył, rzucając im łyżkę przezornie ostudzonych kartofli. — I maciora ino patrzeć, jak się oprosi. Gniazdo już ściela i przystępu nie daje. Zagotuj dla niej siewienia lnianego.

— Ale kto ją przypilnuje, by znowu prosiąt nie podusiła? — zakłopotła się nagle.

— Zgodziłem Grzelową. Jak tylko zlegniesz, sprowadzi się do nas. Przyda się, boć nie dałabyś sobie rady z dzieckiem i gospodarstwem. Przyjdzie dzisiaj do umowy.

— Pyskacz baba i zakropić sobie lubi, ale robotna i mocna, jak koń.

— I parobekby się zdał. Teraz, jak mamy te pięć morgów więcej, to ciężko mi będzie uradzić samemu. Raili mi Marcina od młynarza. Chłop zdatny!

— Do dziewuch i do gorzałki, wiadomo. Józka Bialikówna nie chodziła to ze skargą do proboszcza na niego? Manił ją żeniączką i porzucił z dzieckiem. W żywe oczy się wyparł, choć stawiała świadków na wszystko!

— Trudno takiej dać wiary: lajdus dziewczyna. Za każdym parobkiem lata choćby i palcem na nią nie kiwnął. Chłopak nie głupi placić za drugich.

— Spytaj się o Jaśka Miazgowego, czterech ich siedzi w chałupie. Miazgowa mówiła, że jakby się trafiła służba we wsi, toby Jasiiek poszedł. Przewiedz się.

— Chłopak poczciwy i pracowity, cóż, kiedy należy do tej partji, co się to po lasach ćwiczy, więc jak go zawołają, musi wszystko porzucić i lecieć. Przysięgał na to.

— Aha! to o nich zeszłej niedzieli ksiądz wspominał na ambonie.

— I sam im pomaga. Wezmę chyba Marcina, jak uważasz, Maryś, co?

— Byleś jeno nie żałował! U młynarza się zwałkoniał na letkim chlebie. Bo to mało nasz mugłował mąki do Łodzi? Pono i na swoją rękę handluje! Życie ma tam dobre, co tydzień mięso, to nasze nie będzie mu do smaku. Miarkuj ino...

Adam, skończywszy śniadanie, zapalił papierosa i, puszczając dym, srodze się zamedytował nad słowami żony. Niemało go zaniepokoiły.

— Mróz niezgorzej owarzył owies, pójdę pomłócić — zdecydował nagle, powstając.

— Kiedy sprzedasz pszenicę? Stryj powiadał, jako teraz dobrze płacą.

— Mieli po nią przyjechać której nocy, ale po takiej śnieżycy drogi kopne i bokami zgoła nie przejedziesz. Musisz ją przenieść z góry i schować pod słomą w stodole.

— A żeby tak do kopca pod ziemniaki? Tamby i Niemiec nie zwąchał.

— Niepodobna na taki mróz otwierać kopca. Na nic zmroziłbym kartofle.

— Prawda. Że to nie pomyślałam. Przynieś mi z wiadro wody. Wezmę się do welniaka. Ale, zanieś psu jeść, bo już skowyczy aż trudno ścierpieć.

— Nie turbuj się, wszystko zrobię, jeno pracuj zwolna i nie szarp się — upominał, wychodząc.

Wody naniósł do sądka w kącie przy drzwiach, miskę zabrał i poniósł się do stodoły.

Kury wraz z gęsiami podniosły w sieni taki wrzask, że musiała je nakarmić i wypędzić przed dom. Rzuciła też przed progiem jęczmienia gołębiom, spływającym z pod strzechy stadem zrudziałych, jesiennych liści. Uprzątnąwszy po śniadaniu, zamiotła izbę, podrzuciła drew na ogień, posłała akuratnie łóżka i, zdjawszy z nóg drewniane, ciężkie trepy, zasiadła do warsztatu.

Króle, wypełznawszy z jam komory, znowu poczęły baraszkować na izbie w smudze bladego słońca, bijącego przez roziskrzone, zamarzniete szyby. W izbie robiło się coraz cieplej i rozpostarła się cichość; słycać było tylko monotonne, głuche uderzenia cepów, niekiedy jakieś wrzaskliwsze głosy wsi nadlatywały, a czasem zaszczekał żałośnie Kruczek, targający się na łańcuchu pod stajnią.

Brudzowa zabrała się do roboty z namaszczeniem i czujną cierpliwością, że co trochę rozlegał się suchy klekot warsztatu, przybijanie płochą i ledwie dosłyszalny świst czółenka przelatującego wskroś szarej przędzy wątku, a znaczącego swój ślad barwistą nitką wełny. Za każdym przybiciem płochy, szara przędza, rozpięta na war-

sztaście, drgała, jakby spływające nieustannie strugi deszczów.

Pracowała pochylona naprzód i w głębokiem skupieniu. Na tle srebrzystych szyb, roziskrzonych mroźnem światłem, Maryś, przybrana w barwisty wełniak i kaftan w poprzeczne paski żółte z niebieskiem, w seledynowej chustce na lnianych, bujnych włosach, smukła, śliczna, o twarzy ściągłej i niby ze złotawego wosku uczynionej, dawała obraz prządki, snującej ze siebie migotliwe przędze tęczy. Tkała bowiem niezmiernie wzorzysty wełniak: dno gorąco szafranowe przecinały pasma fioletu, młodej zieleni, purpury żywej, obrzeżonej nikłemi wrębami białości.

Nie miała żadnego wzoru, więc często zapadała w długie medytacje, rozpatrując cewki omotane kolorowemi wełnami. Często, odsunawszy się nieco w tył, patrzyła przymrużonemi oczyma na rozwijające się dzieło. A przychodziły chwile że, siedząc nieruchomo, przyzywała do pamięci łany żrałej pszenicy w skwarny dzień lipcowy, miedze grające w słońcu błękitami ostróżek i ostów, zagony kwitnącej gryki, zieleń młodych owsów, to półka lnów, kwitnących tak cudnie, jakby tysiącem tysięcy tych najdroższych dziecińskich oczów! Wtedy wzdychała cichutko i tęsknie za czemś gorąco upragnionem i, wsparłszy

twarz na dłoni, patrzyła przymglonemi oczyma we świat, niosąc się całą duszą do swoich drogich, często oplakiwanych mogiłek.

Bury, ogromny kot chlusnął naraz z pieca na środek izby, pomiędzy króle, które rozbiegły się z przerażeniem, przeciągnął się leniwie, wytarł łapkami pyszczek i, obwąchawszy statki puste po śniadaniu, jął się obcierać o nogi gospodyni.

Nie zauważyła, więc skoczył jej na kolana i, mrużąc, przypomniał się natarczywie.

— Ty, próżniaku, to nie chciało ci się zleźć z pieca, jak drudzy jedli, co? Poczekaj teraz!

Kot nasrożył się i, miauknąwszy, skoczył na łóżko i zapadł się w pierzynch.

— Widzicie go, jaki mi dziedzic, będzie się tu rozwałił na pierzynie!

Ale dała mu spokój, bo wpadła Franka, stryjeczna, i zaraz od progu zagadała:

— Wiecie? Niemcy zabierają po wsiach wełniaki, płótna i nawet przędzę...

— Jeszczeby tego brakowało! — opadły jej ręce. — A coby im przyszło z wełniaków?

— Zabrali w Modlicy, zabrali w Mrozach i zabrali w Zakrzewie — otrzepała o próg trepy, zapaskę ściągnęła z głowy, i, nagrawszy ręce, przystąpiła bliżej. — Śliczny wełniak. Jabym w ten

pas zielony wrobiła ze dwie granatowe nitki — wskazała palcem.

— Już tak ostać ostanie — odparła sucho.
— Każdy widzi po swojemu. A cóżeś tak się styłała w śniegu? Zaspły na drodze czy co?

— Grzelowe chłopaki zepchnęły mnie do rowu. Nie dadzą wisusy nikomu przejść.

— I, powiadasz, płótna bierą i przędzę? — zatroskane oczy podniosła na nią.

— I co im wpadnie w ręce. Dopieroco u soltysa rozpowiadał dziadek, ten ślepy i kulawy Paweł, znacie go, jako w Zakrzewie gospodarzowi zabrali całego wieprzka zabitego, wszystkie kielbasy i placki, jakie narządzili na wesele! Co?

— Że to ludzie pozwalają sobie odbierać! — zawrzała nagłym gniewem.

— Próbuście nie dać, to was zbiją, każą płacić kary i jeszcze wsadzą do kryminału. Mało to już ludzi pomarnowali, co?

Natrajkotała i poszła z tem samym do drugich chałup, a wnet po niej przybiegła stara Brzowska, okutana w chusty i czerwona jak, pionja.

— Kobieto, jeszcześ nie w łóżku? — krzyknęła na wstępie. — Coś długo się przeciąga!

I gdakającym głosem jęła dawać rady i rozpowiadać, jak to z nią bywało przy rodach.

— I tak im było bliżej południa, tem częściej ktoś wpadał na chwilę, załgując się o różne sprawy, byle przy tej okazji pogadać, nowiny swoje wysypać, języka zasięgnąć, chałupę spenetrować i coś niecoś nowego zachwycić dla drugich. A każdy wiedział najlepiej i sprawy najważniejsze. Zwłaszcza o Niemcach i Moskalach nie było końca opowiadaniom. Ktoś nawet przysięgał, że już po lasach zbierają się kozacy. Nie brakowało również i miejscowych plotek i wiadomości.

— Brudzowa, ile że sama była z natury powściągliwa w języku, przerwała niecierpliwie staremu Dryzdzie, który, zamówiwszy się o pożyczanie świderka, plótl już trzy po trzy.

— Trzeba mieć głowę, jak stodołę, żeby tylachna spamiętać.

— Juści, że w przetaku wody nie utrzyma — odparł z przekąsem i wyszedł.

Zabrała się do nastawiania obiadu, kiedy przed domem dały się słyszeć jakieś tupoty i skomlące głosy. Troje ludzi przyszło po proszonem.

Wpuściła ich do izby, niechętnie wskazując im ławę pod kominem.

Zasiedli, grzejąc w milczeniu ręce i sine, wynędzniałe twarze. Było ich troje: kobieta, mężczyzna i wyrostek. Ubrani byli z miejska, jeno pookręceni od zimna w jakieś chusty potargane

i płachty, w kaloszach przywiązanych do nóg sznurkami.

Brudzowa, nie bardzo im rada, jak wszystkim obieżyswiatom, zaczęła jednak spoglądać na nich ze współczuciem, bo siedzieli onieśmieleni, cisi i jacyś pokorni.

Pocziwość patrzała im z oczów i nie wyglądała na dziadów.

— Zdaleka to państwo wędrują? Pewnie fabrykanci? — spytała po długiej chwili.

— Tak. Idziemy z miasta Łodzi — odpowiedziała kobieta, podnosząc na nią przesmutne, wyplakane oczy. — Idziemy do swoich aż za Siedlce, będzie ze dwadzieścia mil. Pieniędzy nie mamy na kolej i musimy drałować piechotą. Po żebranym chlebie się wlecemy, od wsi do wsi — głos się jej załamał i schrypnął. — Może nas Pan Bóg nie opuści, a dobrzy ludzie wspomogą. Wyszliśmy przed czterema dniami, a jakby na nieszczęście, śniegi spadły i mrozy bierą coraz większe. A najgorzej, że ludzie boją się nas nocować. Tyle łajdactwa namnożyło się po świecie, że trudno rozpoznać, kto pocziwy, a kto zbój. I na dobitkę, mój mąż chory i ledwie już nogami powłóczy.

Mówiła z beznadziejnym smutkiem, co Brudzową przejęło serdeczną litością.

— Mleka wam nie dam, bo krowa na ocieleniu i już zostawiła, zasię drugą, najlepszą dójkę, zabrali nam Niemcy, ale zrobię wodzianki — zaproponowała i, nie czekając odpowiedzi, naląła w miszkę wrzątku, doprawiła go do smaku solą, pieprzem i tłustością, wkrajała z pół bochna chleba i podała. — Niech wam będzie na zdrowie.

— Bóg wam zapłać, pani gospodyni, od czterech dni nie jedliśmy gorącego.

Przypięli się do jadła łapczywie, zwłaszcza chłopak dziw nie wlaźł do miski, tylko stary po pierwszych łyżkach z jękiem chwycił się za żywot i posiniał.

— Jakby mi kto świdrem brzuch przewiercał! — jęknął, odkładając łyżkę.

— Co się stało? Loboga, może szkło było w chlebie! — zatrwożyła się Brudzowa.

— Od Niemców przywiózł tej choroby, że od czasu do czasu przy jedzeniu dostaje takiego bolenia w brzuchu. Zmarnował mi się chudziak, zmarnował! — wyrzekała.

— A gdzie, zapowietrzzone! — krzyknęła naraz Brudzowa, biegnąc do okna. — Adam, odegnaj!

— Nie gniewajcie się, zaraz sobie pójdziemy, — zabelkotała przerażona jej głosem.

— Co wam się troi? Gęsi włożą w zaspę i gotowe mi się potopić.

Wybiegła pędem. Wraz też rozgłosily się przed chałupą rozpaczliwe gęgania, gdakania kur i wrzaski.

— Czekaj, zbóju, niechno gęsi zniesą jaja, to cię dam Żydom na szabas. Zły, jak ten pies — objaśniała, powracając do izby — zawsze mnie musi uszczypać. — Kokoszkę, którą przyniosła pod pachą, wsadziła do koszyka pod łóżko i przykryła przetakiem. — Jajka gubi po dworze na psią uciechę — tłumaczyła, zabierając się do obierania ziemniaków.

Przystawiona do ognia kapusta już dawała znać gryzącemi parami.

— Myśleliście, że na was krzyczę? — wymówka zadźwięczała w jej głosie.

— Człowiek zganiany gorzej psa, to boi się własnego cienia. Wczoraj we Woli z chałupy, gdzie nas przyjęli na nocleg, skoro mojemu zrobiło się po zimnej kapuście tak słabo, jak teraz, gospodarze nas wypędzili. Bali się, żeby im w stancji nie umarł. Na kolanach zebrałam o miłosierdzie. Nie usłuchali; na mróz, na śnieg, na noc i zawieję wygnali nas, niby psów! Wygnali! — jęknęła cichutko i żałośnie.

— Przeprowadziliśmy się do księżej obory, między krowy, ciepło nam było! — uzupełnił

chłopak i, odłożywszy miszkę, jął się czaić po ką-
tach za uciekającemi królikami.

— Wicusz, nie drzyj portek! Cóż, przechodzi
ci, nieboraku?

— Przechodzi. Już mnie i poty odstąpiły —
odparł, obcierając zroszoną twarz, i ze smutkiem
spozierał na wymieconą do czysta miszkę.

Dojrzała to Brudzowa i hojnie ich opatrzyła
na drogę w chleb, kaszę, a nawet i spory kawałek
kiełbasy.

— Jest Pan Bóg nad sierotami, a dobrzy lu-
dzie na świecie — zawołała modlitewnie kobieta,
próbując ją pocałować w rękę.

Brudzowa cofnęła się zasromana.

— Oddacie kiedyś biedniejszym. To pan był
u Niemców? — spytała prędko.

— Dwa lata pracowałem ciężko na tych po-
ganów — ożywił się nagle i sprostował, twarz mu
zagrała nienawiścią i przemienił się zgoła nie do
poznania. — I tyle od nich wycierpiałem, że teraz
przed każdym krzyżem, przed każdą figurą i przed
każdym kościołem proszę Boga o mór i zarazę na
tych katów przeklętych. I nie opowie ludzkim
słowem, co tam nasz naród wycierpi. Takiej męki
nie było od stworzenia świata!

— Franusz, nie szarp się, bo cię znowu rozboli.
Ja pani gospodyni opowiem. Wicusz, bój się Boga,

ostatnie łachmany podrzesz — strofowała chłopca, któremu właśnie było widać tylko nogi z pod łóżka; wczłgał się tam za królikami. — Mój był szwajcarem w fabryce, w miasteczku Łodzi. Chłop był na pokaz, a nie takie chuchro, jak go pani gospodyni widzi. Dobrze nam było, Wicusz chodził do szkoły fabrycznej. Mielśmy trochę odłożonego grosza, mieszkanie, opał i światło darmo, nie brakowało nam niczego. Samych poduszek miałam cztery i dwie pierzyny, nie przymierzając jak te — wskazała z dumą na łóżko. — I nikomu ani powstało w głowie, że może zmienić się na gorsze. Aż tu nastąpiła wojna. Fabryki stanęły. Bitwy grzmiały coraz bliżej i kto mógł, z miasta uciekał. Naród bał się Niemców gorzej od zarazy. Kalisz mieli wszyscy w świeżej pamięci. Nasz fabrykant zawołał męża i powiada: nie bój się, Przytyk, i pilnuj mi fabryki. Niemcy, naród porządny, nikomu krzywdy nie zrobią, grzecznie tylko z nimi. Dał nam sporo pieniędzy i wyjechał do Warszawy. Kto czyj chleb je, tego słuchać powinien. Niezadługo przyszły straszne bitwy. Dziś był górą Niemiec, jutro Moskal; przewalali się przez miasto, jak ta burza. Wkońcu zapanowali Niemcy. Uspokoilo się. Zaprowadzili swoje porządki. Skóra cierpła, co wyrabiali z ludźmi. Płacz tylko usłyszał w mieście i przekleń-

stwa. Nędza zaczęła biedny naród żreć do żywego mięsa. Jakiegoś dnia zajechały przed naszą fabrykę ogromne wozy z niemieckimi żołdatami. „Otwierać bramę!“ — krzyczą. Mój otworzył posłusznie. Gdzie składy? Pokazał. Cały tydzień wywozili! Na tysiące tysięcy wzięli gotowego towaru. Płacili kwitami. Potem zabrali z farbiarni kotły miedziane i rury; potem wszystkie pasy, a wkońcu co najlepsze maszyny. Zostały gołe mury! Niejeden z naszych robotników zapłakał po fabryce, jakby po jakim nieboszczyku. Nie było czego pilnować. Może w tydzień potem jakieś dwa żandarmy zajrzały do naszego mieszkania. Akuratnie w domu nie byłam. Weszli, a starszy zaraz krzyknął do drugiego: „Zabieraj pościel, przyda się nam na kwaterze.“ Mój mąż się oparł. Rabunek w biały dzień, na jego oczach! Cóżby to człowiek był wart, żeby swojego nie bronił. Mocny był, rozwalil któremuś łeb stołem, ale wkońcu przemogli go, sponiewierali i okutego w kajdany powieźli do więzienia i pod sąd oddali! Za to, że swojego bronił! Niechże kto zrozumie! Przyleciałam już po wszystkim. Mieszkanie stało puste, bo czego nie zrabowali Niemcy, rozkradli złodzieje. Nie dbałam o to, szło mi o męża. Cóż, kiedy nie pomogły żadne starania ni prośby. Łacniej uprosić kamienie,

niżli tych katów. Nawet nie pozwolili mi się z nim zobaczyć. Wywieźli go do robót. Przez dwa lata pracował przy okopach na ruskim froncie. Było ich tam takich polskich nieszczęśników ze dwa tysiące. Żywili gorzej, niżli to mógł pies wytrzymać. Sypiali w nieopalanых szopach; za każdą skargę placili kijami, a któren uciekał i złapali go, dostawał kulą w łeb. Chorych nie leczyli. Wyzdrowiał, to dobrze. Konających często razem z trupami wrzucali do wspólnego dołu. Mój wytrzymał w tej katordze całe dwa lata, że to człowiek był młody, zdrowy i mocny. Zdarł się jednak wkońcu na łachman i kiedy już był do niczego, a zdychać nie chciał, odesłali go z takimi samymi kalekami z powrotem do Łodzi. Zima przeszłego roku była ciężka. Przywieźli ich na stację i rzucili pod szopę. Połowa już była zmarznięta na śmierć. Na własne oczy widziałam i póki życia nie zapomnę. Leżeli na kupie, niby lodowate kloce. Reszta dogorywała, czekając Boskiego zmiłowania. A wyglądali, że niepodobna było nikogo rozpoznać. Męża wyciągnęłam napół żywego, w ranach był cały i z odmrożonymi nogami. Jeno po głosie doszłam, że to on. Dużo byłoby powiadać, dużo. I com wycierpiała, to już na Boskim sądzie opowiem, bo tylko Pan Jezus może się nad nami ulitować i Niemców

sprawiedliwie pokarać za tyle krzywdy polskiego narodu. I pokarze ich, pokarze! — dodała, podnosząc pięść ku niebu.

Brudzowa słuchała zdrtwiała tej prostej, a tak straszliwej litanji.

Długo siedzieli w milczeniu, gdy jakiś chłopak zakrzyczał przez okno:

— Niemcy we wsi! Zajechali do proboszcza! — i poleciał z nowiną dalej.

— O wilku mowa, a wilk tuż! — Brudzowa krzyknęła.

— Uciekajmy! Wicuś, Franek, uciekajmy choćby do lasu! — odchodziła kobieta od zmysłów.

— Czegóż się boicie? — wystąpiła Brudzowa. — Cóż to wam zrabują? Tylko gospodarzy może spotkać nowa bieda. I gdzież to pójdziecie na taki mróz i śniegi?

— Nieszczęście ciągnie z nimi, nieszczęście! — szeptała śmiertelnie wystrachana, gorączkowo okręcając w łachmany siebie i swoich. I nie dała sobie wyperswadować. Wynieśli się śpiesznie, chyłkiem, niby tropione zwierzęta, i bokami przebiegali się ku borom.

Adam, posłyszawszy nowinę, przyleciał uspokajać żonę.

— Czego oni mogą chcieć od proboszcza? A może o te dzwony, co?

— Każą zapłacić karę i na tem się skończy
— bagatelizował z rozmysłem.

— A może będą szukali?

— Znajdą to pod śniegiem? Dobrze schowane
i ziemia zmarznięta.

— A może przyjechali po to niedostawione
żyto? — niepokoila się coraz głębiej.

— Nie dalim, to nie damy — rzekł twardo.

— Żeby im odstawić wszystko, co chcieli, toby
w żadnej chałupie nie zostało nawet na barszcz.
Niedoczekanie!

— Mogą wieś pokarać za nieposłuszeństwo! —
spojrzała przetrwożona.

— A mogą! Ale dobrowolnie nikt tym zbójom
nie da i jednego ziarna.

Zerwał się gwałtownie i poleciał na wieś za-
sięgnąć języka; powrócił rychło i jakiś nieswój.

— Jeszcze siedzą u proboszcza. Cztery wozy
ze żołdatami stoją pod karczmą.

— Darmo niemi nie przyjechali. Że to nikt
ze wsi ani zajrzy!

— Bo wszyscy zlecieli się pod kościół i patrzą
w Niemców, jak wrony w gnat.

Przestali rozmawiać, udręka przegryzała im
serca, ogarniał niepokój. Kobieta zasiadła do
warsztatu, cóż, kiedy robota dziwnie jej nie szła,
czołenko wyślizgiwało się z rąk, płątała się prze-

dza, myliły kolory welny i coraz trwoźniej wyglądała oknem.

Adam, nie wiedząc, czego się jąć w chałupie, poszedł w podwórze, zajrzał do inwentarza, zboże, omlócone przed południem, schował pod słomę. Kopnął w głuchej złości psa i zabrał się do rąbania drzewa pod szopą. Robota mu jednak szła źle i, poszczerbiwszy siekierę na sękach, rzucił wszystko i poleciał na drogę nasłuchiwać i patrzeć. Wieś była długa i kościół stał właśnie na drugim końcu, a tak przysłonięty przydrożnemi sokorami, sadami i chałupami, że niepodobna było nic dojrzeć. Jeno jakieś wrzawy leciały w mroźnem powietrzu.

Pełen głuchych obaw, zabrał taczalnik do sieni, żeby na nim wygładzić poszczerbioną siekierę, gdy pokazała się w opłotkach Grzelowa.

— Czekaliśmy na was. Rozmówcie się z moją i sprowadźcie choćby jeszcze dzisiaj.

— Niemcy rabują po chałupach — wyrzuciła zadyszana. — Zabierają, co im tylko wpadnie w pazury. U Górków zabrali zboże, dwie kopy jajek i płótno.

Brudzowa, wywarłszy drzwi, stanęła w nich, jakby spiorunowana.

— Widzieliście, czy wam powiadali? — żgnął ją drwiąco.

— Wszyscy widzieli, jak wynosili na wozy. Na oczach całej wsi grabią.

— To będzie, co Pan Bóg da! — mruknął, zabierając się do naostrzenia siekiery.

Kobiety weszły do stancji. Grzelowa była już w latach, ale jeszcze w sobie krzepka, obrotna i zdrowa. Włosy miała siwe, oczy jak tarki, twarz poznaczoną ospą i wszystkie zęby. Wdowa po wielu mężach i chociaż odumarły ją wszystkie dzieci, a nigdy nie wiedziała, gdzie będzie spać i kto ją przygarnie, serce miała dobre i humor.

Ogrzała się przy ogniu, nie omieszkując przytem opowiedzieć wszystkiego, co tylko zasłyszała na wsi, nie miała jednak zwyczaju obgadywania ludzi.

Brudzowa, zajęta tkaniem, odpowiadała tylko niekiedy, półsłówkami.

— Tyleśmy przetrzymali, to, da Bóg, przetrzymamy i Niemców! — rzekła.

— Święta prawda! — przytwardziła, podchodząc do warsztatu. — Piękny welniak. Niedarmo powiadają, jako w okolicy żadna piękniejszego nie utka.

— Klimkówny robią, jakich nigdy nie zobaczy. Do Warszawy je wozili.

— A Sułkowa wczoraj rzekła: „Brudzowa może robić pięknie, bo ma w domu spokój i o nic

ją głowa nie zaboli.“ Po prawdzie, to niejedna zazdrości wam męża...

— Bo i lepszego nie znajdzie na świecie. A to co znowu?

Dzwon nagle zahuczał.

— Komuś przedzwaniają na letkie skonanie, ale komu?

— W jedną stronę biją, to na trwoję. Pewnie się gdzie pali. Polecę zobaczyć.

Ale Adam, przykazawszy jej pozostać przy żonie, sam się wybrał na wieś.

Dzwon jęczał ponuro i na jego rozgłośnie wołania wszystka wieś wybiegała przed chałupy. Zaroily się naraz drogi, obejścia i opłotki. Powiała zgroza. Wybuchnęły trwożne szlochania i wrzaski, jakby przy jakimś zbójckim napadzie.

A w czystem, mroźnem powietrzu dzwon jęczał coraz prędzej i rozpaczliwiej, aż włosy powstawały na głowie; ludzie martwieli w śmiertelnej trwodze, nie wiedząc, z której strony uderzy na nich nieszczęście. Wszyscy patrzyli ku kościolowi, gdzie byli Niemcy i skąd rozchodziły się gniewne krzyki i lamentacje.

Jeszcze się nie pomiarkowali, co to wszystko znaczy, kiedy sołtysowe chłopaki zaczęły biegać po chałupach i coś cicho nakazywać i przedstawiać.

A nie wyszło i Zdrowaś, gdy wieś jakby nagle przecknęła z martwoty.

— Nie damy się tym zbójom! Pod kościół! Nie damy się! — poleciał zgodny krzyk.

I wraz, kto jeno Boga czuł w sercu, a krzepę w kościach, chwycił, co miał pod ręką, i leciał na Niemców, pod kościół. Zasię kobiety, starce i wyrostki wyprowadzili na gwałt co lepsze konie i krowy, i popędzali je drózkami za stodołami ku lasowi. Taki strach poszedł, że poniektóre wy- nosiły toboły z pościelami, pędziły stadka gęsi, a jakaś, modląc się w głos, z płaczem popychała tuczonego wieprza.

Tymczasem na placu przed kościołem, gdzie szeroko rozwartem półkołem siedziały chałupy pochowane w sadach i przysłonięte topolami, zieleniały na śniegach ogromne wozy, pod strażą zbrojnych niemieckich żołnierzy. Bowiem za niedostawione w nakazanej ilości zboże rekwirowali po domach, co im tylko wpadło w garście.

Ograbiali w ten sposób chałupę po chałupie, nie przepuszczając nawet sztukom domowego płótna, nowym wełniakom i pościom słoniny.

Okradane gospodynie krzyczały w niebogłosy, pomstując na czem świat stoi i wzywając pomocy, ale nikt nie śmiał się sprzeciwić, bo kolby tłukły

niemiłosiernie i nastawione bagnety trzymały wszystkich w respekcie.

Jakiś starszy, z cygarem w czerwonej, tłustej gębie, siedział najspokojniej w saniach i dopiero, gdy nagle zahuczał dzwon i ze wszystkich stron zaczęli się zbiegać ludzie, wydał jakiś rozkaz skrzekliwym głosem i rozglądał się złemi oczyma.

Cizba urastała z minuty na minutę i coraz ciaśniejszem kołem. I na widok tego, co się dzieje, wzburzenie zaczynało wszystkich ogarniać. Raz po raz wybuchał głuchy pomruk, zrywały się głośnie przekleństwa i tłum kołysał się, niby wzbierająca powoli woda. I chwiały się groźnie nad głowami żelazne widły, cepy, okute luśnie, a nawet gdzie niegdzie i kosy. Stali niezdecydowani jeszcze i chwiejni.

Jeno baby, jazgocąc coraz zapalczywiej, wykrzykiwały namiętnie i urągliwie zarazem:

— Nie dajcie się chłopcy! To wstyd! Nie dajcie swojego! Stoją juchy, kiej te barany!

— Portki wam pościągają i wy im pozwolicie! A do kądzieli, piecuchy jedne!

— W sam raz wam na niemieckich parobków. Ruszta się, wałkonie, i brońcie swojego!

Zawrzało naraz w gromadzie, pomruk poszedł, jakby bór zagadał, zaświeciły oczy, zacisnęły się pięści, gniew jął czerwienić twarze

i rozpierać serca i ponosić, już w pierwszych szeregach zaszeptano, jakby uderzyć, a soltys, wypychając naprzód zbrojnych w kosy, widły i drągi, nawoływał zajadle:

— Kupą chłopcy! Przez lby walić, nie oszczędzać! Kupą i prędko, nie zdążą wystrzelić.

I byłoby niechybnie przyszło do pogromu Niemców, gdyby w ostatniej chwili nie zjawił się proboszcz, który jął na wszystkie świętości prosić, zaklinać i błagać.

— Ludzie, zmiłujcie się nad sobą! Miejcie litość nad kobietami i dziećmi. Pobijecie tych złodziejów, a jutro przyślą cały pułk, wieś do cna ograbią, spalą, was rozstrzelają, ziemię zagrabią i wasze żony i dzieci pognają w niewolę. Skargę napiszemy, sam z nią pojedę do Warszawy. Tak zrobili w Zamościu i wyszło im na dobre.

Stary był, uważany i takim przejmującym głosem molestował, i tak płakał, i tak białe, bezsilne ręce łamał, że, chociaż z ciężkiem sercem, rad jego posłuchali.

Dzień się też już był kończył, słońce ogromne, jakby przesycone krwią, spadało na bory, śniegi pokryły się czerwonym zarzewiem brzasków, a drzewa kładły długie, granatowe cienie. Mróz brał siarczysty, śnieg skrzypiał pod nogami.

Ludzie się porozchodzili, że tylko tu i owdzie w opłotkach czerniała jakaś gromadka, bacznie śledząca obroty Niemców, którzy, czy z racji wieczora, czy też z innych przyczyn, zaczęli pomijać biedniejszych gospodarzy, rekwirując tylko u samych najbogatszych.

Słońce już się było schowało w połowie, kiedy wozy stanęły przed Adamową chałupą.

Czekał w progu spokojny na oko i w sobie zwarty. Maryś dygotała za nim, jak liść.

— Nie dostawiłeś pięć metrów żyta! — czytał mu z książeczki starszy.

— I nie dostawię, bo nie mam! — odrzekł twardo, nieustępliwie.

— Zobaczymy! Zrewidować chałupę! — zakrzyczał w złości, niezgorzej po polsku. — A jak się pokaże inaczej, skonfiskuję zboże i zapłacisz karę. Rozumiesz?

Niemieckie pacholy rozpełzły się po chałupie, jak plugawe robactwo, myszkując po wszystkich kątach, rozbijając drzwi, skrzynie i szuflady.

Starszy wszedł do izby i, zapaliwszy nowe cygaro, grzał się przy kominie.

Adama zawołali do stodoły, nakazując mu wyrzucić słomę ze sąsiedka na klepisko.

— A róbcie sobie sami, kiedy wam tego potrzeba! — przejął go jednak strach.

Skłęli go serdecznie, a tak żarliwie zabrali się do poszukiwań, że znaleźli pod słomą pięć worków pszenicy i parę ćwiartek jęczmienia.

Zbladł, jak trup, ale nie odezwał się.

— Ty polska świnio! ty psie! ty oszuście! — wymyślali kiepską polszczyznę. — Ty złodzieja, ty głupia chłopa! My zjemy twoja pszenica! Gruba kara cię czeka!

Ścierpiał obelgi, ścierpiał rabunek i chociaż serce mu się rozdygotało nienawiścią, krew zalewała oczy, gniew porywał, że byłby ich szarpał zębami, spokojnie patrzył, jak wynosili worki na wozy. I również spokojnie wysłuchał jeszcze gróźb starszego, który przyleciał do stodoły i pięściami mu wytrząsał pod nosem.

— Pięć korcy pszenicy! Całe pięć korcy! — zaskowyczał w nim straszliwy żal i, wyszedłszy za stodołę, patrzył na odjeżdżającą zbójecką karawanę dotąd, dopóki mu nie zniknęła w zmierzchu i oddalach. I jakoś nie pilno mu było do izby! Nie wiedział, jak powiedzieć o tem nieszczęściu żonie, żeby się zbytnio nie zmartwiła.

Gończka nim trzęsła, po kościach chodziły ognie, że i woda ze studni nie pomogła.

Jeszcze raz wyjrzał na drogę i dopiero poszedł do domu.

W izbie było ciemno i jakoś dziwnie cicho.

— Maryś! — zawołał, sądząc, jako poszła do komory albo na górę.

Odpowiedział mu słaby jęk, jakby gdzieś z pod ziemi.

Zapalił światło. Maryś leżała na podłodze, sina, z otwartymi oczyma, a zgoła nieprzytomna. Leciała mu przez ręce, niby woda, kiedy ją przenosił na łóżko; skropił jej twarz — ani drgnęła; potrząsał, przywoływał najczulszemi słowy — nic nie pomagało, leżała jak nieżywa. Włosy mu powstały na głowie i pochwyciła taka rozpacz, że, wybiegłszy przed chałupę, zakrzyczał rozpaczliwie.

Zbiegli się sąsiedzi, przyleciała i Grzelowa, wysłana jeszcze za dnia do sklepiku. Sprowadzono wreszcie starą Borucinę, znającą się na kobiecych słabościach, i ta, po długich trzeźwieniach rozmaitemi sposobami, przywróciła narazie omdlałą do życia. Ale wnet pochwyciły ją straszne bóle przedwczesnego porodu.

W izbie zapanowały przeraźliwe jęki. Śmierć zdała się zaglądać przez szyby.

Adam kręcił się nieprzytomnie po podwórzu, zaglądał do krowy, siedział czas jakiś przy koniu, to stał pod oknem i zamierającym sercem nasłuchiwał.

Dziecko urodziło się nieżywe. Przyjął to z pozorną rezygnacją, dopytując się jeno babki o zdrowie żony. Stara w odpowiedzi rozłożyła bezradnie ręce.

Ale po jakimś czasie zawołano go do chorej. Maryś, przygarnawszy się do niego, jak dzieciątko, wybuchnęła strasznym płaczem.

— Ten zbój zabił moje dziecko! Zabił! — szeptała wśród nieustannych łez. I nic więcej nie potrafiła ze siebie wydobyć, bo przyszła na nią gorączka tak wielka, że o Bożym świecie zapomniła, mającąc tylko nieprzytomnie.

— Nic nie potrafię wymiarkować, co się jej stało — głowił się Adam.

— Mościowy, a gdzie się to podział wełniak? — wykrzyknęła naraz Grzelowa, wskazując na pusty warsztat.

Istotnie, wisiały tylko strzępy nici przeciętych, wełniak zginął.

— Kto to mógł zrobić! Niemcy, bo któżby? O ścierwy zapowietrzone!

Te przypuszczenia potwierdziła Brudzowa, gdyż w parę dni potem, przyszedłszy nieco do siebie, powiedziała słabym, ledwie dosłyszalnym głosem:

— Poszło o wełniak. Niemiec chciał mi go zabrać, juści, co nie dałam, to mnie przez złość

trzasnął w łeb, skopał i swoje zrobił. Szkoda mi wełniaka, szkoda...!

Adam zadrżał; czerwona gęba z dymiącym cygarem, jak żywa, stanęła mu w pamięci.

— Skopał cię, z tego twoja choroba. Wyzdrowiej, a już się ja z nim porachuję...

Ale Maryś jakoś nie zdrowiała, przeciwnie, było jej coraz gorzej; słabła z dnia na dzień, krwotoki nie ustawały i trawiła ją silna gorączka. Sprowadził z miasta doktora; nie pomógł. Przywiózł z pod Łodzi sławnego znachora; na nic się również nie zdało. Wreszcie zakupił uroczystą mszę do Przemienienia Pańskiego, dziadom rozdał szczodłą jałmużnę i całe nabożeństwo, leżąc krzyżem, błagał o zmiłowanie. Wprawdzie potem Grzelowa znajdowała w chorej zmianę na lepsze, lecz on nie potrafił się tego dopatrzeć. A natomiast niechybnie przeczuwał śmierć zbliżającą się do niej pomalutku, a nieubłaganie. I dobrze widział żonę co dnia bledszą, słabszą i wątlejszą. I dobrze widział, jako jej oczy modre stają się przeźrocystsze, niby te wody coraz płytsze, jako jej wychudzone ręce poruszają się ruchem wiotkich, bezsilnych gałązek, a głos staje się cichy i jakiś zgoła obcy.

Chłop był w sobie zamknięty, twardy i niełatwy do roztkliwień, ale na widok żony odwracał

prędko oczy, żeby w nich nie zobaczyła rozpacz; zasię często nocami, kiedy spała, podkładał się do jej łóżka, z lękiem nasłuchując słabych oddechów.

— Bóg ci zapłać, kiedyś taki pocziwy — szepnęła kiedyś, poczuwszy jego obecność.

— Nie śpisz to? Chciałem ci poprawić pierzynę — tłumaczył się niezręcznie.

— A bo to mogę spać, kiedy mi po głowie chodzą takie myślenia różne...

— Powiedz je, to może ci ulży! — usiadł na łóżku i pochylił głowę ku jej twarzy.

— A to myślę, że może Pan Jezus karze nas na dzieciach za jakie ciężkie grzechy!

— I, miałyby się Pan Jezus mścić na takich robakach, co? Jakże, karałby niewiniątka!

— Czemu to innym Pan Bóg błogosławi? — przemówiła niezagojoną raną tęsknoty.

— I utrapienia z dziećmi mają po uszy. Choćby nasza Grzelowa, mało się to na swoje napłakała? A dzieci Tomczyków, co? — z rozmysłem podawał najgorsze przykłady.

— Dopust Boży — przerwała mu. — Nasz Waluś miałyby na siódmy, w sam raz do pasienia gęsi.

— Tylebyś miała pociechy, żeby ci gąsięta pogubił albo pozabijał, jak drugie chłopaki.

— Waluś-by pozabijał gąsięta, mój Waluś?
— protestowała srodze dotknięta. — Taki był cichy, jak ta woda letnia! Sam się całe dnie zabawiał. Pamiętam, jak do ognia rączyny wyciągał i niby ta ptaszka pjukał: gaga, matulu! gaga! — cichutki szloch zaszemrał w ciemnościach.
— A Hanusia miałaby akuratnie cztery lata na świętego Grzegorza. Mój Boże, a jaka była zbytnica, jaka mądrała! — rozmodlała się wspomnieniami.

— Pewnie, usadzała kupy na każdym kroku, i darła się, że ciężko było w chałupie wytrzymać! Jużes zapomniała tych smaków! — bronił się, jak mógł, od roztkliwień.

Dała więc spokój, lecz kiedy się znowu położył i posłyszała jego chrapanie, przysłoniwszy sobie głowę pierzyną, płakała gorzkiemi łzami żalów i wspomnień.

Owo tak się toczyły zimowe dnie w Brudzowej chałupie, a kobieta zamierała powoli, zaś Adam czerniał i schnął w nieustającej udręce wyczekiwanego nieszczęścia. A przytem ni sypiał, ni jadł, jak się patrzy. Poruszał się, jakby napół przytomny, bo chociaż chodził koło gospodarstwa, młócił, z lasu drzewo przewoził, a nawet czasami zaglądał do sąsiadów, to pod wiecznym strachem, czy się tam co złego nie stało.

— No jakże? — pytał po parę razy na dzień.
— Nie lepiej ci to?

— Dochodzę se pomaluśku, dochodzę! — odpowiadała jakby szmerem opadającego kwiatu.

Grzelowa, słysząc takie rozmowy, dziwowała się przed sąsiadkami:

— Wiecie, takiego męża jeszcze na wsi nie spotkała! On świata nie widzi za żoną.

I prawdę rzekła.

W jakiś czas potem zjawił się u Brudzów żandarm niemiecki, z nakazem zapłacenia tysiąca marek kontrybucji za znalezioną u nich pszenicę.

— Mam jeszcze dopłacać do swojej pszenicy?
— nie mogło mu się to pomieścić w głowie. — Za to, żeście mi ją ukradli! Niedoczekanie wasze! Żeby nie wiem co, nie zapłacę. Rzekłem! — wybuchnął groźnie do Niemca, któremu właśnie Żydek w złotych okularach tłumaczył jego słowa, — a teraz fora ze dwora!

Żandarm się rozszrożył, sklął go jak psa, nawet za rewolwer chwycił i wyszedł, trząsnąwszy drzwiami, ale po chwili Żydek wywołał Adama do sieni.

— Gospodarzu, dajcie sto marek żandarmowi, to nie napisze na was skargi za obrazę.

— Mogę mu dołożyć, ale kłonicą — mruknął zawzięcie. — Panie starozakonny, powiedzcie, że

ja podam skargę na jego kamrata za pobicie mojej żony, że aż poroniła, i za ukradzenie wełniaka!

— I to można. Niemcy naród sprawiedliwy. Jak wy macie rację i pewnych świadków, sprawę wygracie! Ja radzę dać żandarmowi w łapę choćby pięćdziesiąt marek, on musi o swój honor dbać, a wyście mu drzwi pokazali. Może być bardzo źle.

— Ze złodziejami układał się nie będę, panu starozakonnemu dam, a jemu nie dam.

I nie pomogły żadne prośby ni groźby, ni mądre rady sołtysa, ni nawet nalegania żony. A skończyło się na tem, iż mu zabrano konia na pokrycie kontrybucji, a za obrazę żandarma wytoczono mu sprawę. Machnął na wszystko ręką i splunął.

— Konisko było stare — tłumaczył żonie — ślepawe i zołzowate. Nie smuć się, Maryś, niech tylko Niemców wygonią, to ci sprzęgnę galantą parę. Do Łagiewnik na odpust świętego Antoniego zawiezę cię w kasztanki. Akuratnie ma takie na sprzedanie dziedzic w Tkaczewie, trzylatki, ogierek i źrebica. Chciałabyś to, Maryś, co?

— Na intencję wyzdrowienia ofiarowałam się iść pieszo do Częstochowskiej.

— To pójdziemy na pierwszy odpust w Zielone Świątki, pójdziemy — przytakiwał.

Uśmiechnęła się radośnie i, podnosząc głowę, szepnęła z przejęciem:

— Wiosna już niezadługo, przecież to dzisiaj świętej Agnieszki.

— Święta Agnieszka wypuszcza skowronka z pod kamyszka, powiadają. Nie prędko jednak wiosna — wyrztał oknem. — Będzie odmiana, bory poczerniały i kurzy z kominów.

Jakoż sprawdzili się jego przewidywania, na-
zajutrz bowiem odmieniło się powietrze, mróz
zelzał i przyszły śniegi, wichry i srogie zamiecie.
Całymi dniami gotowało się na świecie, niby
w garnku. Śnieżyce przewalały się po polach takie,
że nie rozpoznał ni lasów, ni chat, ni dróg, wszystko
było białym, wrzącym jak ukrop odmętem.

Wichry wyły rozwścieklonemi stadami, szu-
miały głucho bory i przydrożne sokory, targając
się jako psy na łańcuchach, miotały się wściekłem
porykiwaniem. Cała wieś jakby wymarła, bo nie
sposób było nosa pokazać z chałupy. Potworzyły
się zasy, jak góry, i drogi uczyniły się nie do
przebycia.

U Brudzów, ponieważ dom stał na skraju wsi,
śnieżyca jeszcze ciężej dawała się we znaki, wi-
chry bowiem waliły w nią dniami i nocami, za-
nosząc śniegiem pod same strzechy. Adam co-
dziennie musiał się przekopywać przez zasypane
śniegiem podwórze do stodoły i obory. Niepo-
dobna też było myśleć o żadnej robocie na po-

wietrzu, więc przeważnie przesiadywał w izbie, zajęty struganiem dzwonów i szprych do wozów, w czym był niemalże majster.

Grzelowa krzątała się koło gospodarstwa, zabawiając nieustannie gadaniem chorą gospodynią, która, słuchając piąte przez dziesiąte, patrzyła w rozkołysane za oknami drzewa.

— To na mnie wołają — ozwała się pewnego razu. — Dusze w czyścju ostające tak mnie wołają. Rozumiem co do słowa! Czas mi już w tę daleką drogę. Tam stoją moje braty pomarle, moje ojce i praojce, do okien się cisną, zagląдают.

— Co wam? To wiater tak buja drzewinami! — tłumaczyła się Grzelowa.

Adamowi wyleciała z rąk robota, z przerażeniem patrzył w żonę.

— Drzewiny — mówiła z przekąsem. — Ślepiście, kiedy nic innego nie widzicie!

Wicher był nagle uderzył w chałupę, aż obrazy poleciały ze ścian na podłogę.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — przemówiła, rozglądając się przytomnie.

Ale pomimo tego, Grzelowa, wyprowadziwszy Adama do sieni, szepnęła trwoźnie:

— Trzeba jej księdza. Może się jeszcze przemieni na lepsze. Niewiadomo komu z brzegu, komu jednak w drogę, temu czas!

Po południu, kiedy jednak wiatr się nieco uci-
szył i poprzekopywano zaspy na drodze, przyszedł
ksiądz z Panem Jezusem. Ludzi się też nabierało
sporo i zalegli sień, a całą kupą dreptali w opłot-
kach, czekając, póki nie otworzą do izby.

Brudzowa wypowiadała się przykładowo, przy-
jęła Komunię i Ostatnie Olejów Świętych namasz-
czenie, pod koniec tak jednak osłabła, że Grzelowa,
wsadziwszy jej w rękę zapaloną gromnicę, roz-
poczęła odmawiać modlitwy za konających.

Adam stał w nogach łóżka, zmartwiały w zgro-
zie i sam ledwie już dychający.

Jedno tylko rozumiał, że oto Maryś umiera,
a on temu przeszkodzić nie potrafi.

— Otworzyć drzwi, niech sobie dusza spokoj-
nie odleci na Jezusowe pola — rozkazała Grzelowa.

Otwarto je narozcież, ludzi się naszło, po-
klękali wszyscy, wionął gorący szmer pacierzy,
płaczów i szlochań. W żółtem świetle gromnicy
twarz konającej zdała się być pogrążoną w ja-
kiś ekstatycznym omdleniu, leżała bez ruchu.
I, ku powszechnemu zdumieniu, jeszcze tego dnia
nie odeszła na Jezusowe pola, gdyż po jakimś
czasie otworzywszy oczy, dziwnie się uśmiech-
nęła.

— Jużem się gdzieś niesła i wasze pacierze
mnie wstrzymały — szepnęła.

Porozchodzili się, dziwując się zdarzeniu tak szczególnemu i chwając miłosierdzie Pańskie. Sołtysowa, wychodząc na ostatku, kazała się Adamowi odprowadzić do drogi.

— To ci rzeknę, byś wiedział: uśnie, jak ptaszek, i nie będzie wiadomo, kiedy. I co ty sam poczniesz, chłopaku? — szeptała, pilnie orząc ślepiami po jego zbiedzonej twarzy. — Tyle gospodarstwo bez gospodyni! Rozkradną cię najemnicy. Weź tylko sobie na rozum...

— Dajże mi, ciotka, spokój, to grzech! — szarpnął się oburzony i powrócił do mieszkania.

Chora, po tyłu wzruszeniach i gdy w izbie ucichło i zmrozczało, głęboko zasnęła.

— Mówiłam, po spowiedzi może się odmienić — szeptała Grzelowa, obierając ziemniaki pod kominem. — Bywało, jako ksiądz już Olejami namaścił, dzwony zadzwoniły pozgonne, ludzie oplakali, a chory na drugi dzień o gorzałkę wołał i kielbasy się dopominał.

— Niech się wasze słowa sprawdzą, a dam wam zagon pod len! — obiecywał uroczyście.

— Zawsze na dwoje babka wróży. Nie tak, i nie owak, a jakoś być musi.

Brudzowa nie zawołała wprawdzie nazajutrz o gorzałkę, ale, poczuwszy się nieco silniejszą

spróbowała dojść do komina. Cóż, musiał ją zano-
sić z powrotem do łóżka.

— To z długiego leżenia nogi zrobiły mi się
jakby ze słomy — tłumaczyła. — Niechno sobie
odpocznę i podjem co dobrego, a zobaczycie! —
powiadała zuchowato.

Radość zapanowała. Adam przyniósł od księ-
dza słodkiego wina, zaś Grzelowa jeła pitrasić
przeróżne smaczności: a to jajecnicę, to kieł-
basę, to gołębie, to kurę, to rosoly, i podtykała
jak dzieciątku, namawiając czułemi słowy do
jadła.

— Jak patrzę, to aż mi ślina idzie — skarżyła
się chora — a wezmę do gęby, to jakbym kawałek
płótna gryzła! Przelknąć nie mogę!

Smakowało jej wino, dodając nieco sił, że któ-
regos dnia, kiedy Adam poszedł na wieś, zaczęła
się przed Grzelową uskarżać na swoją dolę.

— To nie jest sprawiedliwe, żeby młodzi umie-
rali przed starymi.

— Jezusowa wola! — odparła stara nieco do-
tknięta.

— I do roboty byłam pierwsza, i gospodarce
dałam radę, i ludziom pomagałam, i potrzebują-
cych wspierałam, i w służbie Bożej nie byłam le-
niwa, i dzieci mogłabym jeszcze mieć, boć mi do-
piero na trzydziesty rok. Niejedno dobre mogła-

bym zrobić jeszcze na tym świecie! A tyle biedoty, co się o śmierć skamle, żyje i żyje. Tylu niepotrzebnych nikomu dziadogów, tylu chorych, co ino zapaskudzają chałupy, tylu łajdusów i zbójów! Mój Boże, o takich to jakby całkiem śmierć zapomniała.

— Prawdę powiadacie — przytwardziła Grzelowa, żując jej słowa niby oset.

— A gospodyni na dwudziestu morgach to przecież nie dziadówka z pod kościoła — buntowała się rozżalona. — Cóż, bo to jest sprawiedliwość na świecie?

— Śmierć na morgi nie patrzy i dusi, kto jej bliższy z brzegu, zarówno dobry jej dziad proszalny, jak i największy dziedzic. A może to i sprawiedliwe! — wyznała cichutko.

Tak sobie pogadywały przyjacielsko, bowiem Brudzowa czuła się coraz lepiej.

Któregoś dnia, kiedy słońce zajrzało przez okna, poczuła się tak silną, że kazała wyjąć ze skrzyni wszystkie swoje świąteczne przyodziewy. Grzelowa rozłożyła je przy niej na łóżku. Z lubością niezmierną jęła przeglądać chusty, staniki, wełniaki, paciorki, zapaski i te przeróżne kobiece przystrojenia.

— Te pawią kupił mi Adam we Warszawie! — szepnęła, zawiązując chustkę na głowie.

— Mieni się, niby woda we słońcu. Żadna we wsi nie ma nawet podobnej...

— Albo ta żółciuszka ze szlakiem w palmy, co?

— Śliczności, aż oczy bołą patrzeć! — chwaliła ze szczerem uwielbieniem.

— Dla mojej dziewczuszki zbierałam — szepnęła żałośnie. — Myślałam: dorośnie i na wiano dostanie te korale po mojej matce, i te prawdziwe bursztyny, i ten krzyżyk z granatów, i te chusty co najśliczniejsze! Inaczej Pan Jezus zrzędził, inaczej! I ani dla niej, ani dla mnie! Wszystko trzeba zostawić i odejść! — łzy pociekły jej z oczu.

Grzelowa zabrała wszystko z powrotem do skrzyni.

— Człowiek zgnije pod ziemią, jak ten pies, a któraś dziewczucha we wsi będzie się w moje dobro przystrajała — wybuchnęła skargą. — O doło człowiekowa, doło!

Spląkała się strasznie pod wpływem nagle rozbudzonej zazdrości, która nią tak szarpała, że wieczorem późnym, kiedy Adam jak zwykle usiadł przy łóżku, by jej coś poczytać na książce do nabożeństwa, przerwała mu gwałtownie:

— A gdzieś to siedział całe popołudnie? U Kazimierzów byłeś, co? Juści, na Magdzie w sam raz będą pasowały wełniaki po mnie. Pewnie,

gospodarstwo bez kobiety zostać nie może! Ale to ci jeno zapowiadam — uniosła się gniewem, aż jej twarz spłynęła rumieńcem i oczy się zaiskrzyły — że od moich bursztynów i koralu wara! Po matce je wzięłam i niech idą ze mną do grobu. Niech zgniją ze mną, a nie dam!

Patrzył na nią tak jakoś smutnie i z taką rozpaczą, że, pochwyciwszy jego rękę i tuląc ją do serca, całując i oblewając rzewnymi łzami, zajęczała spazmatycznie:

— Nie pamiętaj, com ci rzekła! Już sama nie wiem, co mi przychodzi do głowy. Tak mi cię żal, Adaś, ostawiać samego, tak mi cię strasznie żal!

Uspokoił ją wreszcie, obtarł załzawioną twarz i wygodniej ułożył na poduszkach.

— Cóżby to Panu Jezusowi szkodziło, żebym pożyła choćby ten jeden roczek! Żebym jeszcze raz obaczyła kwitnące drzewiny i pola na wiosnę! Żebym jeszcze raz poszła sadzić ziemniaki, żebym len posiała i nasadziła kapusty! Żebym się jeszcze raz spiekła na słońcu we żniwa, żebym na Zielną poszła na odpust! Nie dłużej, Adam, nie! Na zimę wszystkobym ci narychtowała, jak się patrzy! Prosiakabym podpała na słoninę. Przychowalabym drobiu! Grzybówbym ci w boru nazbierała! Kapusty nakwasiła! I na późną jesień niechby mnie sobie śmierć zawołała! Cóż-

by to szkodziło Jezusowi? co? — szeptała rozdzierająco.

Nie potrafił długo wytrzymać tych skamlań okropnych; nie potrafił już patrzeć w jej twarz przeżartą w męce, ni w jej oczy pełne niewysłowionych żalów, więc pod jakimś pozorem uciekwszy z chałupy, zapłakał palącemi łzami rozpaczy.

Nie spała jeszcze, kiedy powrócił, i rzekła prosząco:

— Siądź przy mnie. Tak mi się czegoś cni i tak się czegoś boję...

Oddech miała przerywany, ręce lepkie od potu i oczy gorączkowo świecące.

— Jaby m zaraz poznała tego zbója! — buchnęła nienawiścią.

— Jakiego zbója? — Niczego się nie do rozumiewał.

— Tego, który zabił nasze dzieciątko i mnie, tego Niemca. Pamiętam go: gęba czerwona i spaśna, wąsy rude, a oczy jak u złego wieprza, maluśkie i żółtawe.

— Pamiętam go i ja. Nie bój się, nie zapomnę.

— Ja mu i po śmierci nie daruję. Panu Jezusowi do nóg upadnę o karę na niego. Jak mnie kopnął, to zaraz poczułam, że śmierć wstąpiła we

mnie. Nie o mnie idzie, ale o to biedactwo, które jeszcze świata Bożego nie oglądało, a już go ludzie zakatrupili. Ciągłe je widzę — obejrzała się błędnymi oczyma — chodzi po izbie, to na moją pierzynę robak kochany się skrobie, a czasem woła: „matulu!“ Prawda, nieraz nie śpię i uważam, za poduszkę ciągnie i do samego ucha powiada: „matulu!“

Opowiadała z przejęciem i wśród tych szeptów i majaczeń zasnęła cicho.

Nazajutrz znowu poczuła się tak rzeźwą, że rozkazała Grzelowej:

— Wpuście wszystką gadzinę, niechże nacieszę chociaż oczy.

Jakoż izba w mig napelniła się pierzastą hołotą; gęsi, kaczki, kury i gołębie zleciały się z niemalym wrzaskiem i dalejże się bić i gonić za sobą.

— Dajcie mi jęczmienia — prosiła i, otrzymawszy pełną miarkę, jęła słabą dłonią posiewać ziarno na rozchwiane głowy i skrzydła ptactwa. — Użyjcie sobie, niech wam pójdzie na zdrowie. A zgodą, dzieci, zgodą! — upominała dobrotliwie. — Ty wilku, będziesz mi tu rozbijał kokoszki. — powstała na gąsiora, odpędzającego kury od ziarna. — Poznał mnie ten zdrajca, poznał! — krzyknęła radośnie, kiedy ogromny stary gąsior,

kręcąc zmijowatą szyją i sycząc groźnie, jął z podniesionemi skrzydłami podsuwać się do łóżka. — On mnie znowu pobije, ten zbój! — wołała pełna radosnego lęku. — Chwal się, głupi, chwal — urągała, gdy gąsior ze zwycięskim gęgotem powracał do stada. — Te siemieniutki powinny już nieść jajka! Koguta trzebaby zmienić: stary i wygląda niby podskubany. Masz się też czem chwalić — zwróciła się do niego, bo właśnie był, stratowawszy dwie kokoszki z rzędu, skoczył na warsztat i piał triumfalnie. — Rozgłaszaj swoje, rozgłaszaj, ale przed gąsiorem uciekasz! — przyganiała i gdy jej Grzelowa podawała niektórą z kur, każdą ważyła w rękę, macała i, przytrzymując za skrzydła, przemawiała tkliwie: — Nie bój się, głupia, tylko nieś jajka, a nic ci się złego nie stanie. Tasiuchny! — ozwała się do paru starych kaczek. — Paskudne ptaszyska, żreć tylko i żreć, jak te nienasycone wilki!

Zmęczyła się jednak prędko tą niesforną wrzawą i, po wypędzeniu stada, długo leżała w milczeniu, przyglądając się figlom królików, baraszkujących na izbie.

— Grzelowa — nagle sobie coś przypomniała. — Śniło mi się dzisiaj, żem się kąpała we strudze za młynem. Woda była płytka i takie piachy, że grzęzłam po kolana...

Skrzywiła się stara: ten sen wydawał się jej złym prognostykiem.

— A ryby, widzieliście, co?

— Nie, wodę ino i piachy! I sromałam się, że to byłam nagusieńka!

— Organiścina ma taką książkę, w której stoi, co znaczy każdy sen. Pójdę się spytać. Woda, nago i głębokie piachy! — przepowiadała sobie, żeby nie zapomnieć.

I zaraz po obiedzie poleciała w stronę kościoła.

— Przez posły wilk nie syty — powiedziała organiścina. — Sama jej wyłożę.

Kobieta była chytra, w języku obrotna i, chociaż z przyrodzenia słabowita i pokaszująca, tęgi łykacz i sekutnica. Zaszedłszy do Brudzowej, z miejsca przymówiła się o gorzałkę, a przekąsiwszy chlebem, wyjęła swoją drogocenną księgę.

Chora z bijącym sercem czekała na jej słowa. Adam stał jakiś mroczny.

— Nago po wodzie chodzić — odczytywała uroczyście w senniku — znaczy: choroba! Ale że po wodzie czystej i bieżącej, znaczy też pomyslność i list z pieniędzmi.

— Chybaby Adamowy brat pisał z wojska. Coprawda, on się zawsze dopomina pieniędzy.

— Te piachy coś mi się nie podobają — wtrąciła Grzelowa srodze zafrasowana.

— Fraszki małe piaski! Jeżeli śnią się wysokie i sypkie, oznacza to śmierć, zaś jeśli się przyśnią pod wodą czystą i bystrą, to właśnie wróży zdrowie na długie lata. Gdyby w tej wodzie były ryby, oznaczałoby przeciwności, straty w gospodarce, choroby dzieci — upewniała z uroczystą powagą.

Brudzowa słuchała z wypiekami na twarzy, czepiając się jej słów niby tonący.

— Mój Boże, czegobym ja nie dała, żeby się to to sprawdziło! — westchnęła.

— Jesienią sama dziedziczka z Mrozów przysłała pokojówkę, żebym jej wytłumaczyła jeden sen. Wyłożyłam akuratnie i w miesiąc wszystko się sprawdziło. Jak dzieci kocham! Korczyk pszenicy przysłała mi za to.

— Na dwoje babka wróży i łże aż się kurzy! — zaśmiał się Adam. Tak wywarła na niego gębę, że, machnąwszy ręką, wyniósł się w podwórze.

— Te chłopy to do niczego, żaden nie ma wyrozumienia i dla nich kielbasa na misce to dopiero rzetelna prawda. Mój taki sam: nauczony przecież i z księdzem ciągle przestawa, i gazety czyta, a głupi, jak stołowe nogi. Ani mu gadaj o snach

i wróżbach. Do pustego domu wejść się boi, a niczemu nie wierzy.

Przyszły jeszcze jakieś kumy i, tak sobie społecznie ugwarzając, siedziały, gdy o samym zmierzchu zabręczały dzwonki na drodze wprost chałupy.

— Niemcy! — wrzasnęła Grzelowa, wyglądając oknem.

Widać było sanie, a kilku żołnierzy z karabinami wchodziło w opłotki.

— Grzelowa, zawołajcie Adama, prędzej! — rozkazywała wystraszona chora.

Jakiś gruby Niemiec wszedł do izby, tłukąc butami, aż zadygotały sprzęty, za nim weszło dwóch z karabinami. W izbie było zupełnie mroczno.

— Adam Brudz jest? — spytał jakiś ochryply głos, na który Brudzowa zadrżała.

— Jestem. Czego to? — odpowiedział Adam, właśnie wchodząc do stancji.

— Tu jest rozkaz — trzasnął w rozwinięty papier. — Za obrazę żandarma na służbie masz zapłacić tysiąc marek kary i za opór władzy drugi tysiąc.

— A jak nie zapłacę, to co? — rzucił hardo.

— To ci zarekwirujemy całe gospodarstwo, a zapłacić musisz. Hardy jesteś, to my cię na-

uczymy pokorności. Ostatnią krowę weźmiemy!
Światła!

Adam, zaświeciwszy lampę, postawił ją na okapie komina.

Ukazała się jasna głowa, twarz tłusta i czerwona, rude wąsy i małe oczki.

— To ten sam! — zakrzyczała strasznie chora, unosząc się z łóżka. — To ten piekielnik, co zabił moje dziecko, to ten zbój zapowietrzony. Ratunku, ludzie!

Niemiec cofnął się, jakby przed widmem, kobiety dygotały pod oknem, żołnierze stali przy drzwiach. Adam przy łóżku żony, która, potrząsając pięścią do Niemca, krzyczała obłądnym, nieludzkim głosem:

— Nie daruj mu! To ten zbój! Za moje dziecko! Za mnie! Nie daruj!

Adam, oszalały zgoła, rzucił się z krzykiem na Niemca.

— Ty psie zbójecki! Za nasze krzywdy! — trzasnęła go pięścią w twarz, aż zleciała mu piket-hauba, on zaś, zatoczywszy się na warsztat, rzygnął krwią.

Żołnierze runęli na ratunek. Zawiązała się krótka, straszliwa bitwa.

Kobiety krzyczały w niebogłosy, a Brudzowa padła zemdlona. Adam, napadnięty przeważają-

cemi siłami, bronił się z ponurą zawziętością, że w izbie powstał dziki wir tarzających się po ziemi ciał, wrzasków, klątw i chrapliwych, nieludzkich głosów. Chłop był mocny, ale uległ wkońcu. Powalili go na ziemię i tak przyrychtowali, że leżał zemdlony i w krwi swojej i cudzej uwalany.

Starszy, przyszedłszy nieco do siebie, popatrzył na niego złowrogo i szepnął:

— Tego ptaszka weźmiemy! Zapłacisz mi! Wstawaj, bydlaku! — kopnął leżącego.

Kobiety oblały go wodą, że otworzył oczy i powstał. Chwiał się na nogach. Noc miał w duszy. Straszliwa nienawiść zatykała mu gardło.

— Wziąć go w postronki! — rozkazywał Niemiec.

— Nie trzeba. Przecież wam nie ucieknę. Pójdę z dobrej woli.

Pozwolili mu się przebrać i wziąć nowy kożuch. Grzelowa naszykowała węzelek. Przystąpił do żony z pożegnaniem.

— Maryś! Maryś! — wydarł z siebie głos, ociekający krwią serdeczną.

Oprzytomniała i, zarzuciwszy mu ręce na szyję, załkała rozpaczliwie:

— O Jezu! Już my się zobaczymy na tamtym świecie! O Jezu! Jezu!

Krew jej buchnęła z ust, straciła przytomność.

Adam przykląkł na chwilę przy niej i, błyskawicznie pochwyciwszy siekiere z pod łóżka, schował ją pod kożuch.

— Prędszej, bo cię każę popędzać! — zakrzyczał Niemiec.

Adam odwrócił się jeszcze od progu. Maryś konała, Grzelowa zapaliła gromnicę i kobiety, klęcząc przy niej, w głos się modliły.

Na dworze pod domem, w opłotkach i na drodze zebrało się już sporo narodu. Odkrywały się głowy, gdy przechodził, wszystkie oczy szły za nim, kobiety szłochały w głos, cichość się uczyniła niby na pogrzebie.

— Zostajcie z Bogiem, braty kochane!

Wsiadł do sani, żołnierze go otoczyli, konie ruszyły z kopyta.

Noc się zrobiła. Wjechali w lasy. Konie szły coraz wolniej, bo śniegi leżały ogromne i droga mało była przetarta. Siedział we środku sań. Na przodzie twarzami do koni siedziało dwóch z karabinami, a z tyłu dwóch miało go na oku. Nikt się nie odzywał. Mróz brał niezgorszy. Śnieg skrzypiał pod płozami. Niebo wisiało ciemne i jakby nabite gwiazdami. Droga wiła się leśniami gąszczami, że z obu stron stały ogromne świerki zasypane śniegiem i raz po raz jakaś gałąź trącała go w głowę. Skulał się w sobie i zwierzał coraz po-

tężniej, nie czuł ran ni bólów. Marzył jeno coś dzi-ko i strasznie. Marzył o zemście, a co podniósł oczy, to spotykał złowrogie ślepie wroga. Czekał okazji. Nieznacznie dotykał ręką siekiery. — Nie, nie pora jeszcze! — nakazywał sobie. Las się skończył, szły puste, zaśnieżone pola, potem jakieś wsie z oświetlonemi oknami. Droga była daleka, przeszło pięć mil, i nużąca, Niemcy zaczęli drzemać, widział jak jeden i drugi kiwają się na strony. I konie też ustawały. Czujnemi oczyma dojrzał wszystko i wiedział już, co zrobi. Żeby uspić ich czujność, zaczął półgłosem odmawiać pacierze i bić się w piersi. Tym ruchem opuścił siekiere do nóg i mocno ujął za stelisko.

Aż przyszła nareszcie wymodlona pora.

Wjechali znowu w bór na drogę prawie ciemną, pod rozłożyste drzewa. Konie wlokły się krok za krokiem. Niemcy drzemali.

Porwał się nagle i jakby piorunem trzasnął siekierą w łeb Niemca: padł bez jęku; drugim ciosem, również błyskawicznym, zabił drugiego; wykręcił się, i, nim trzeci zdążył porwać za karabin, ciął go w kark, aż mu krew trysnęła na twarz. Czwarty zeskoczył z sań i strzelił, chybił jednak. Adam rzucił się na niego, niby żbik rozjuszony, i ciął go przez twarz. Zwalił się z wrzaskiem na śnieg. Trwało to wszystko krótką chwilę i czterech Niem-

ców leżało martwych, porąbanych jak w szlach-
tuzie.

— Mróz was dokończy — szepnął mściwie,
patrzac na ich ostatnie drgawki. — Co teraz,
co? — podniósł oczy w niebo. — Uciekać! ucie-
kać! — wrzasnął w nim jakiś mocny głos. —
A gdzie i po co? Będą ścigali, niby wściekłego
psa, i złapią. Maryś już musiała umrzeć! Gdzie
się będą tułał? — Zbrzydło mu już wszystko.
Nie może wrócić do chałupy, to już mu choćby
śmierć. Zemścił się za swoje krzywdy! Napił
się tej zemsty po gardło.

Ułożył trupy na saniach, niby martwe kloce,
i ruszył do miasta..

Rozmyślał jeno o Marysi i popłakiwał z wiel-
kiego wzburzenia.

Ani wiedział, jak o świtaniu konie same
stanęły przed urzędem niemieckim. Powstał
straszny gwałt, zbiegło się całe miasto. Adam
opowiadał wszystkim, jak się to stało, nie ukry-
wając niczego.

Wzięli go do kryminalu, zakuli w kajdany,
dostał Nr. 437.

A w parę dni sąd wojenny skazał go na roz-
strzelanie.

Uśmiechnął się i wyrzekł do sędziów z dzikim
triumfem:

— Jednego zabiłem za żonę, drugiego zabiłem za dziecko, trzeciego za konia, czwartego za siebie. A wy mnie tylko jednego! Cóż mi zrobicie? Możecie mnie jeszcze pocałować gdzieś.

Wyszedł z podniesionem czołem i nawet nie pozwolił zawiązać oczu.

KONIEC.



SPIS RZECZY.

	Str.
Pęknięty dzwon	1
Na Niemca!	11
Orka	29
Dola	43
Wołanie	53
I wynieśli	63
Za frontem	73
Echa	189
Skazaniec	197



WYDAWNICTWO POLSKIE

SPÓŁKA Z OGRANICZONĄ PORĘKĄ

POZNAŃ

ULICA ZWIERZYŃIECKA L. 6

PROSPEKT

BIBLIOTEKA
LAUREATÓW NOBLA

POD REDAKCJĄ DRA STAN. LAMA

PO RAZ pierwszy w Polsce ujęto w tem wydawnictwie literaturę przekładów w pewien system, dając dzieła o wysokiej wartości artystycznej z wszystkich piśmiennictw zagranicznych. Każdy z laureatów fundacji Nobla będzie tu reprezentowany szeregiem swych dzieł, tak iż z czasem cała biblioteka obejmie kwiat dorobku kulturalnego wszystkich narodów. Że zaś zarząd fundacji przy rozdawaniu nagród bierze pod uwagę nie tylko stronę estetyczną utworów, ale także ich wartość społeczną i moralną — przeto wydawnictwo skupiając w jedną całość te wszystkie prace — posiadać będzie również pewien podkład ideowy.

„BIBLIOTEKA LAUREATÓW NOBLA“ jest pierwszym tego rodzaju przedsiębiorstwem wydawniczym w Europie i dla tego też redakcja dołoży wszelkich starań, aby całe to przedsięwzięcie stanęło na wysokim poziomie. Główną więc troską jest dobór przekładów, któreby mogły godnie oddawać w słowie polskiem arcydzieła nowszej i najnowszej literatury zagra-

nicznej. Nie o poprawność tylko — do której zresztą daleko było dorywczym i przygodnym tłumaczeniem polskim — ale o artystyczne walory, odpowiadające wysokiej mierze oryginałów w tych przekładach iść będzie. Słowo bowiem jako wyraz treści jest z nią ściśle związane, a takie lub inne jego użycie obojętnem być nie może. Tłumacz, przyswajający piśmiennictwu ojczystemu obce dzieło — musi być jego współtwórcą. I o tę współtwórczą pracę zabiegać będziemy jak najusilniej.

Dotychczas wyszły następujące utwory :

- Tom I. ROMAIN ROLLAND — COLAS BREUGNON — POWIEŚĆ.
„ II. RABINDRANATH TAGORE — OPOWIADANIA.
„ III. MAURYCY MAETERLINCK — ŻYCIE PSZCZÓŁ.
„ IV. BJÖRNSTJERNE BJÖRNSON — SYNNØVE SOLBAKKEN.
„ V. RUDYARD KIPLING — KSIĘGA DŻUNGLI.
„ VI. RABINDRANATH TAGORE — ROZBICIE — POWIEŚĆ.
„ VII. SELMA LAGERLÖF — TĘTNIĄCE SERCE — POWIEŚĆ.
„ VIII. ANATOL FRANCE — POGLĄDY KSIĘDZA HIERONIMA COIGNARDA.
„ IX. RABINDRANATH TAGORE — SADHANA — SZEPT DUSZY — ZBLĄKANE PTAKI.
„ X. KAROL SPITTELER — IMAGO — ROMANS.
„ XI. HENEK PONTOPPIDAN — DJABEL DOMOWEGO OGNISKA.
„ XII. KNUT HAMSUN — BŁOGOSŁAWIENSTWO ZIEMI — POWIEŚĆ
„ XIII. MAURYCY MAETERLINCK — INTELIGENCJA KWIATÓW.
„ XIV. KAROL GJELLERUP — PIELGRZYM KAMANITA — ROMANS.
„ XV. RUDYARD KIPLING — DRUGA KSIĘGA DŻUNGLI.
„ XVI. RABINDRANATH TAGORE — WSPOMNIENIA.
„ XVII. MAURYCY MAETERLINCK — WIELKA TAJEMNICA.
„ XVIII. PAWEŁ HEYSE — L'ARRABBIATA — NOWELE WŁOSKIE.
„ XIX. RUDYARD KIPLING — STALKY I SP. — POWIEŚĆ.
„ XX. KAROL GJELLERUP — DOJRZALI DO ŻYCIA — POWIEŚĆ.
„ XXI. KNUT HAMSUN — GŁÓD — POWIEŚĆ.

- Tom XXII. HENRYK PONTOPPIDAN — ZIEMIA OBIECANA —
- „ XXIII. KAROL GJELLERUP — WĘDROWCY ŚWIATA — ROMANS.
- „ XXIV. BJÖRNSTJERNE BJÖRNSON — TOMASZ RENDAŁEN —
- „ XXV. ROMAIN ROLLAND — DUSZA ZACZAROWANA I.
ANETKA I SYLWJA — POWIEŚĆ.
- „ XXVI. VERNER v. HEIDENSTAM — HANS ALIENUS —
- „ XXVII. ROMAIN ROLLAND — DUSZA ZACZAROWANA II.
LATO — POWIEŚĆ.
- „ XXVIII. PAWEŁ HEYSE — WESELE NA KAPRI.
- „ XXIX. SELMA LAGERLÖF — GÖSTA BERLING — POWIEŚĆ.
- „ XXX. WŁADYSŁAW ST. REYMONT — PĘKNIĘTY DZWON.
- „ XXXI. GERHARD HAUPTMANN — GŁUPIEC — POWIEŚĆ.
- „ XXXII. MAURZYCY MAETERLINCK — GOŚĆ NIEZNANY.
- „ XXXIII. KAROL SPITTELER — KONRAD PORUCZNIK —
- „ XXXIV. MAURZYCY MAETERLINCK — MĄDROŚĆ I PRZE-
ZNACZENIE.
- „ XXXV. KNUT HAMSUN — KOBIETY U STUDNI. POWIEŚĆ.
- „ XXXVI. JACINTO BENAVENTE — ŻŁE KOCHANA.
- „ XXXVII. ROMAIN ROLLAND — JAN KRZYSZTOF. — TOM I.
- „ XXXVIII. SELMA LAGERLÖF — MAJA LIZA. — POWIEŚĆ.
- „ XXXIX. RUDOLF EUCKEN — WIELCY MYŚLICIELE. — TOM I.
- „ XL. RUDOLF EUCKEN — WIELCY MYŚLICIELE. — TOM II.
- „ XLI. WILLIAM BUTLER YEATS — OPOWIADANIA O HAN-
[RAHANIE RUDYM.
- „ XLII. KAROL GJELLERUP — GDYM PO RAZ PIERWSZY
UJRZAŁ JĄ. — POWIEŚĆ.
- „ XLIII. RABINDRANATH TAGORE — GORA — POWIEŚĆ.
- „ XLIV. ROMAIN ROLLAND — JAN KRZYSZTOF — TOM II
- „ XLV. MAURZYCY MAETERLINCK — SKARB UBOGICH.
- „ XLVI. RUDYARD KIPLING — KIM — POWIEŚĆ.
- „ XLVII. KAROL GJELLERUP — MŁYN NA WZGÓRZU, POWIEŚĆ.

W dalszym ciągu pojawią się następujące tomy :

ROMAIN ROLLAND — JAN KRZYSZTOF. — TOM III, IV.

MAURYCY MAETERLINCK — ŻYCIE TERMITÓW.
KNUT HAMSUN — OSTATNI ROZDZIAŁ. — POWIEŚĆ.
HENRYK PONTOPPIDAN — SZCZĘŚLIWIEC. — POWIEŚĆ.
RABINDRANATH TAGORE — DOM I ŚWIAT — POWIEŚĆ.
RUDYARD KIPLING — ŚWIATŁO, KTÓRE ZAGASŁO — POWIEŚĆ.

„*BIBLIOTEKA LAUREATÓW NOBLA*“ wychodzi
w odstępach mniejwięcej miesięcznych i każdy tom obejmuje
od 15 do 35 arkuszy druku.

Do nabycia we wszystkich większych księgarniach; gdzie
takiej niema, zamawiać można wprost u wydawcy

WYDAWNICTWO POLSKIE

Sp. z ogr. por.

w POZNANIU, ul. Zwierzyniecka 6.

S. 61

8 = 88

36.389

E

35103

20.0, .58

30 -

✓

POLITECHNIKA KRAKOWSKA
BIBLIOTEKA GŁÓWNA

L. inw.

29543

13. IX. 54

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



10000231565